



JOSEPH CONRAD

**Lord Jim, tom
pierwszy**



Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Nowoczesna Polska.

JOSEPH CONRAD

Lord Jim

TŁUM. ANIELA ZAGÓRSKA

TOM PIERWSZY

PRZEDMOWA AUTORA

Gdy powieść ta po raz pierwszy ukazała się w druku, rozeszła się pogłoska, że jej temat mię poniósł. Niektórzy z recenzentów utrzymywali, iż utwór, pomysły z początku jako nowela, rozrósł się wbrew intencjom autora. Paru krytyków odkryło i w treści książki stwierdzenie tego faktu, który wydał im się zabawny. Wskazywali na granice zakreślone formie narracyjnej. Dowodzili, iż nikt nie mógłby przez tak długi czas opowiadać ani też słuchać tak długo. Uważali, że to nie jest zbyt wiarygodne.

Myślałem nad tą sprawą przez jakieś szesnaście lat i nie zdaje mi się, aby owi krytycy mieli słuszność. Wiadomo, że — i pod zwrotnikami, i w klimacie umiarkowanym — ludzie siadają nieraz późno w noc, „snując opowieści”. Wprawdzie *Lord Jim* jest tylko jedną opowieścią, ale zachodzą w niej przerwy dające możliwość odpoczynku; a jeśli chodzi o wytrzymałość słuchaczy, trzeba przyjąć założenie, że opowieść *była* zajmująca. Jest to hipoteza zasadnicza i konieczna. Gdybym nie uważał tej historii za interesującą, nie mógłbym zacząć jej pisać. Co się zaś tyczy fizycznej możliwości jej opowiedzenia, wszyscy wiemy, że zdarzały się mowy w parlamencie trwające blisko sześć godzin; tymczasem całą część książki, która stanowi opowiadanie Marlowa, można przeczytać głośno — powiedzmy — w mniej niż trzy godziny. Przy tym omijałem starannie wszystkie błahy szczegóły w powieści, należy więc przypuszczać, że owego wieczoru podawano jakieś orzeźwiający napoje — na przykład szklankę wody mineralnej od czasu do czasu — co ułatwiało Marlowowi opowiadanie.

Ale — mówiąc poważnie — prawdą jest, że mym pierwotnym zamierzeniem była nowela mająca za temat tylko statek z pielgrzymami — i nic więcej. Był to pomysł zupełnie uzasadniony. Napisałem kilka stron, które mnie z jakiegoś powodu nie zadowolily, i na pewien czas odłożyłem pracę. Nie wyjmowałem tych kartek z szuflady, póki mi nieżyjący już William Blackwood nie przypomniał, iż powinienem dać coś znowu do jego przeglądu.

Dopiero wtedy sobie uświadomiłem, że epizod ze statkiem wiozącym pielgrzymów jest dobrym punktem wyjścia dla swobodnej, rozległej opowieści; że przy tym wypadek tego rodzaju mógłby z całym prawdopodobieństwem na całe życie zaważyć na „samopoczuciu” prostego i głęboko czującego człowieka. Ale z tych wszystkich przedwstępnych nastrojów i poruszeń ducha słabo zdawałem sobie wówczas sprawę, a i teraz nie wydaje mi się to jaśniejsze po upływie tylu lat.

Owych kilka kartek, które odłożyłem, nie były dla mnie bez znaczenia przy wyborze tematu. Lecz wszystko zostało z rozważą napisane na nowo. Gdy zasiadłem do pracy, wiedziałem, że będzie to długa książka, choć nie sądziłem, że się rozciągnie aż na trzydzieści numerów przeglądu.

Zapytywano mię nieraz, czy *Lord Jim* jest najulubieńszą mą książką. Jestem wielkim wrogiem wszelkiego faworyzowania tak w życiu publicznym, jak i prywatnym, a nawet w delikatnej dziedzinie stosunku autora do własnych dzieł. Z zasady nie chcę mieć ulubieńców; nie posuwam się jednak tak daleko, aby mię gryzło lub martwiło, gdy niektórzy dają pierwszeństwo *Lordowi Jimowi*. Nie powiedziałbym nawet, że „to jest dla mnie niezrozumiałe”... Nie! Jednakże raz usłyszałem coś, co zdumiało mnie i zaniepokoiło.

Jeden z moich przyjaciół, bawiąc we Włoszech, rozmawiał tam z pewną panią, której się *Lord Jim* nie podobał. Przykre to oczywiście, ale co mię zaskoczyło, to przyczyna jej niechęci do książki. „Wie pan — powiedziała — tam wszystko jest takie chorobliwe”.

Orzeczenie to dało mi materiał do niespokojnych rozmyślań na jaką godzinę. Doszedłem ostatecznie do wniosku, że wzięwszy nawet pod uwagę okoliczności łagodzące — bo sam temat jest raczej obcy dla przeciętnej kobiecej wrażliwości — owa pani nie mogła być Włoszką. Ciekaw jestem, czy była w ogóle Europejką. W każdym razie łański temperament nie mógłby dostrzec nic chorobliwego w dotkliwym poczuciu utraconego honoru. Takie poczucie może być słuszne albo niesłuszne, można je też potępić jako sztuczne; możliwe, iż ludzi podobnych do mego Jima często się nie spotyka. Ale mogę z czystym sumieniem zapewnić swych czytelników, że Jim nie jest owocem chłodnych spekulacji myślowych. Nie jest również wytworem północnych mgieł. Ujrzałem raz słonecznym

rankiem, jak szedł wśród zwykłego otoczenia wschodniej przystani — wzruszający, wymowny, tajemniczy... i niemy.

Takim właśnie powinien był mi się wydać. A do mnie już należało — z całym współczuciem, do jakiego byłem zdolny — znaleźć odpowiednie słowa dla wyrażenia jego istoty. Był to „jeden z nas”.

J. C.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Brakował mu cal — może dwa — do sześciu stóp wzrostu, był potężnie zbudowany, a gdy szedł prosto na kogoś, patrząc nieruchomo spode łba, z pochylonymi nieco plecami i wysuniętą głową, przypominał nacierającego byka. Głos miał głęboki, donośny; z zachowania jego przebijała jakby uparta pewność siebie, w której nie było nic agresywnego. Zdawało się, że ta pewność siebie jest nieunikniona, że się przejawia nie tylko w stosunku do innych, ale i do niego samego. Był nieskazitelnie czysty, ubrany w niepokalaną biel od trzewików aż do kapelusza, i w przeróżnych wschodnich portach, gdzie zarabiał na życie jako agent okrętowego dostawcy, bardzo był popularny.

Agent nie potrzebuje zdawać egzaminów z żadnego przedmiotu, ale musi posiadać zdolność kombinowania i wykazywać ją w czynie. Praca jego polega na ściganiu się łódką — żaglową, parową lub poruszaną za pomocą wiosł — z innymi agentami; chodzi o to, aby wyprzedzić wszystkich, dopaść okręt, nim go zakotwiczą, przywitać się wesoło z kapitanem, wetknąć mu kartę — anons dostawcy okrętowego — gdy zaś kapitan wysiądzie na brzeg, zaprowadzić go niepostrzeżenie, lecz stanowczo do obszernego sklepu, przypominającego jaskinię pełną produktów, które się jada i pija na okręcie; można się tam zaopatrzyć we wszystko, co czyni statek pięknym i zdolnym do podróży: zarówno w komplet haków linowych, jak i książeczkę z pozłotą do rzeźbionych ozdób steru; a w sklepie tym dostawca okrętowy wita po bratersku szypra, choć go nigdy przedtem nie widział. Czekają tam na gości chłodny gabinet, fotele, napoje, cygara, przybory do pisania, egzemplarz przepisów portowych i ciepłe powitanie, które roztopia sól nagromadzoną w sercu marynarza podczas trzymiesięcznej podróży. Póki okręt przebywa w porcie, agent podtrzymuje przez codzienne odwiedziny nawiązane w ten sposób stosunki. Wierny jest kapitanowi jak przyjaciel, pełen synowskiej atencji, a odznacza się przy tym cierpliwością Joba, altruistycznym oddaniem kobiety i wesołością dobrego kompana. Później posyła się dowódcy statku rachunek. Piękne to i humanitarne zajęcie. Toteż dobrzy pracownicy w tym fachu trafiają się rzadko. Gdy agent posiadający zdolność kombinowania ma w dodatku tę wyższość, że się zna z morzem, wówczas przynosi swemu chlebobdawcy moc pieniędzy i zasługuje na względy. Jim zawsze miał dobrą pensję, a okazywano mu tyle względów, że można było za nie kupić wierność skończonego wroga. Tymczasem z czarną niewdzięcznością rzucał nagle swoje zajęcie i wyjeżdżał. Przyczyny, które podawał chlebobdawcom, były oczywiście niedostateczne. Mówili o nim: „Dureń, psiakrew”, z chwilą gdy się odwrócił do nich plecami. Takie było ich zdanie o niezmiernej wrażliwości tego człowieka.

Dla białych ludzi pracujących w porcie i dla kapitanów różnych statków był po prostu Jimem — i niczym więcej. Miał naturalnie i nazwisko, ale chodziło mu o to, aby tego nazwiska nie wymieniało. Incognito Jima — dziurawe jak rzeszoto — miało ukrywać nie człowieka, lecz fakt. Kiedy ów fakt wychodził na jaw, Jim opuszczał nagle morski port, gdzie się wówczas znajdował, i udawał się do innego — zwykle dalej na wschód. Trzymał się portów, ponieważ był marynarzem wygnanym z morza i posiadał zdolność kombinowania nadającą się wyłącznie do zajęcia morskiego agenta. Cofał się w porządku ku wschodzącemu słońcu, a ów fakt doganiał go nieodwołalnie, wcześniej lub później. I tak w ciągu lat znano Jima kolejno w Bombaju, Kalkucie, Rangunie, Penangu, Batawii — i na każdym z tych postojów był tylko Jimem, agentem dostawcy okrętowego. Później, gdy zdał sobie jasno sprawę, że dłużej tego nie wytrzyma, opuścił na zawsze porty i białych ludzi, usuwając się aż w głąb dziewiczego lasu, i wówczas to Malaje ze wsi leżącej wśród dżungli — gdzie postanowił ukryć swe niefortunne zdolności — przyłączyli drugie słowo do jego jednozgłoskowego incognito. Nazwali go: Tuan Jim, co znaczy mniej więcej: Lord

Jim.

Urodził się na probostwie. Wielu dowódców pięknych statków handlowych pochodzi z tych przybytków spokoju i pobożności. Ojciec Jima posiadał ową wiedzę o Niewiadomym, stworzoną dla bogobojnych mieszkańców chat i nie mącąca spokoju ducha tym, którym nieomylna Opatrzność pozwala mieszkać w pałacach. Mały kościółek na wzgórzu przypominał w swej omszałej szarości skałę za postrzępioną zasłoną z gałęzi. Stał na tym miejscu już od stuleci, a drzewa wokół niego pamiętały zapewne chwilę, gdy kładziono kamień węgielny. Poniżej jaśniał ciepłą barwą czerwony front probostwa wśród trawników, klombów i jodeł, z sadem od tyłu, brukowanym podwórzem na lewo i pochyłymi szybami oranżerii, wspierającymi się o ścianę z cegieł. Probostwo należało do rodziny już od pokoleń; Jim był jednym z pięciu synów, a gdy przy końcu wakacji — w czasie których nazywał się lekkiej literatury — ujawniło się jego powołanie do służby na morzu, wysłano go od razu na „statek szkolny dla oficerów marynarki handlowej”.

Nauczył się tam brasowania górnych rei i trochę trygonometrii. Lubiano go ogólnie. Był trzecim w nawigacji i nadawał tempo wiosłując w pierwszym kutrze. Nie podlegał zawrotom głowy, a że miał przy tym bardzo silny organizm, wykazał dużo zręczności w pracy na masztach. Miał stanowisko manewrowe na marsie przedniego masztu. Patrzył stamtąd często w dół z pogardą człowieka, który ma błysnąć odwagą wśród niebezpieczeństw; ogarniał wzrokiem spokojne skupisko dachów, przecięte na dwoje brunatnym nurtem rzeki, i kominy fabryczne rozsiane po skraju okolicznej równiny, wznoszące się prostopadle na tle brudnego nieba; każdy z nich był smukły jak ołówek i zionął dymem jak wulkan. Jim mógł także oglądać odjazd wielkich okrętów, promy o szerokich belkach, sunące bez przerwy, małe czółenka hen, nisko pod stopami — a w oddali mglistą wspaniałość morza i nadzieję bujnego życia w świecie przygód.

Na niższym pokładzie wśród rozgwaru dwóchset głosów zapamiętywał się często, zawczasu przeżywając myślą życie marynarza na modłę lekkich powieści. Wyobrażał sobie, że ratuje ludzi z tonących okrętów, rąbie maszty wśród huraganu, że płynie u końca liny przez wzburzone fale; to znów zdawało mu się, iż jest samotnym rozbitkiem, półnagim i bosym, i chodzi po gołych skałach szukając skorupiaków, aby odpędzić śmierć głodową. Stawiał czoło dzikim na podzwrotnikowych wybrzeżach, uśmierzał bunty na pełnym morzu i w drobnym czółenku wśród oceanu budził ducha w zrozpaczonych ludziach — będąc zawsze wzorem obowiązkowości — niezłomny jak bohater z książki.

— Coś się tam stało. Chodźcie no!

Skoczył na równe nogi. Chłopcy wspinali się po drabinach. Na górnym pokładzie słychać było gwałtowną bieganinę i krzyki, a gdy Jim wydostał się przez luk, stanął jak wryty w oszłomieniu.

Był zmierzch zimowego dnia. Wicher wzmagął się już od południa, zatrzymując ruch na rzece, i dał teraz z siłą huraganu; jego wybuchy grzmiały jak salwy wielkich armat nad oceanem. Deszcz ciął ukośnymi pasmami, które to siekły, to znikaly, a od czasu do czasu odsłaniał się na chwilę przed Jimem groźny widok kotłującego się nurtu, drobny stateczek podrzucany falami, miotający się wzdłuż brzegu, nieruchome budynki wśród pędzącej mgły, szerokie promy rozkołysane ciężko na kotwicy, obszerne pływające pomosty, które bujały się w górę i w dół, przesłonięte bryzgami. Każdy następny poryw wichru zdawał się zmiatać to wszystko. Powietrze było pełne lecącej wody. Czulo się jakąś dziką celowość burzy, wściekłą zawziętość w huku wiatru, w brutalnym zgielku ziemi i nieba; Jim miał wrażenie, iż to wszystko zwraca się przeciw niemu, i trwoga zaparła mu oddech. Stał bez ruchu. Zdawało mu się, że go wir jakiś porywa.

Potrącano go. „Kuter na wodę!” Chłopcy przebiegali koło niego. Przybrzeżny statek, chcąc się schronić u lądu, zderzył się z zakotwiczonym szkunerem; jeden z instruktorów okrętu był świadkiem tego wypadku. Chłopcy włązili tłumnie na balustradę, czepiali się gromadnie żurawików szalupowych. „Zderzenie. Tuż przed nami. Pan Symons widział”. Ktoś pchnął Jima, który zatoczył się na trzeci maszt i chwycił jakiejś liny. Stary statek szkolny, przycumowany do beczi kotwicznej, dygotał cały, chyląc łagodnie dziób w stronę wiatru, a skąpy takielunek statku nucił głębokim, zdyszonym basem pieśń o jego młodości na oceanie.

„Na dół kuter!” — Jim ujrzał łódź z ludźmi opadającą szybko, za burtę i rzucił się ku niej. Usłyszał plusk. „Puszczaj! Wychaczyc kuter!” Wychylił się za barierę. Rzeka wzdłuż

statku wrzała pienistymi smugami. Dostrzegł wśród zapadających ciemności, że kuter miota się na jednej linii z okrętem, jakby urzeczony przez prąd i wiatr, które przez chwilę osadziły go na miejscu. Jim usłyszał niewyraźnie głos wrzeszczący na kutrze: „Równno, szczeniaki, jeśli chcecie kogoś wyratować! Równno!” A łódź wzniosła nagle dziób wysoko i skoczyła na bałwan z podniesionymi wiosłami, wylamując się spod czaru rzuconego przez wiatr i prąd.

Jim poczuł, że ktoś chwyta go mocno za ramię. „Za późno, chłopcze”. Kapitan statku położył hamującą dłoń na Jimie, który — zdawało się — już, już skoczy za burtę. Chłopiec spojrział na kapitana z bólem świadomej porażki w oczach. Kapitan uśmiechnął się życzliwie. „Następnym razem będziesz miał więcej szczęścia. To cię nauczy szybkiej decyzji”.

Wesoły okrzyk powitał kuter, który wracał, tańcząc po falach, napelniony do połowy wodą, z dwoma wyczerpanymi ludźmi miotanymi po belkach dna. Groźny huk wichru i morza wydał się Jimowi godny pogardy, zwiększając jego żal, że się dał zastraszyć ich pogrożkom. Teraz już wiedział, co myśleć o tym wszystkim. Zdawało mu się, że burza nic a nic go nie obchodzi. Mógłby stawić czoło większym niebezpieczeństwom. I uczyni to — lepiej niż wszyscy inni. Nie czuł już ani odrobiny strachu. Jednak tego wieczoru trzymał się chmurnie na stronie, podczas gdy dziobowy kutra — chłopiec z dziewczęcą twarzą i wielkimi szarymi oczami — był bohaterem dolnego pokładu. Zapaleni słuchacze tłoczyli się wkoło niego, a on opowiadał:

— Widziałem tylko jego głowę wynurzającą się raz po raz i cisnąłem bosak do wody. Uwiąż w jego spodniach; myślałem, że wypadnę za burtę, i rzeczywiście ledwie nie wyleciałem, tylko że stary Symons puścił ster i złapał mię za nogi — łódka o mało co nie poszła na dno. Stary Symons to byczy staruszek. Gderze na nas, ale niech go tam. Klął na mnie przez cały czas, co mię trzymał za nogę, ale chciał tylko dać mi do zrozumienia, że nie wolno mi puścić bosaka. Stary Symons okropnie jest porywczy, prawda? Nie, to nie ten mały blondyn, tylko ten dryblas z brodą. Kiedyśmy go wciągali, jęczał: „Oj, noga, noga! Oj, moja noga!”, i przewracał oczami. Pomyślcie tylko, taki wielki drab i mdłał jak dziewczyna! Czyby który z was zemdłał, gdyby go dziabnął bosakiem? Ja bym tam nie zemdłał. Bosak wszedł mu w nogę — o tyle. — Pokazał bosak, który przyniósł na dół w tym celu, i wywarł szalone wrażenie. — Ależ nie, cóż za bzdura! Bosak trzymał go za spodnie, nie za ciało. Tylko że naturalnie krew się lała okropnie.

Jim uznał to za nędzny popis próżności. Burza wywołała bohaterstwo równie pozorne jak jej udana groza. Jim był zły na brutalny zgiełk ziemi i nieba, ponieważ zaskoczył go znienacka i chytrze przeszkodził szlachetnemu popędowi do ratowania ludzi z groźnego niebezpieczeństwa. Skądinąd cieszyło go raczej, że się nie dostał do kutra, skoro pośledniejszy czyn wystarczył w danym wypadku. Jim pogłębił swe doświadczenie bardziej niż ci, którzy wykonali to zadanie. Dopiero gdy się wszyscy cofną ze strachu, wówczas — czuł to niezbitcie — on jeden potrafi zachować się jak należy wobec czczych gróźb wiatru i morza. Wiedział, co ma o nich myśleć. Oglądane chłodnym okiem wydawały mu się godne wzgardy. Nie mógł już w sobie wykrzyć ani śladu wzburzenia i ostateczny skutek owego wstrząsającego wypadku był taki, że Jim — nie zauważony przez nikogo i trzymający się na uboczu od hałaśliwej rzeszy chłopaków — rozkoszował się wzmocnionym poczuciem swej wszechstronnej odwagi i żądy przygód.

ROZDZIAŁ DRUGI

Po dwóch latach szkolenia wyruszył na morze i dostawszy się w strefy tak dobrze znane swej wyobraźni, uznał, że są dziwnie z przygód wyjałowione. Odbił wiele podróży. Poznał czarodziejską monotonię istnienia między niebem a wodą; musiał znosić ludzką krytykę, twarde wymagania morza i poziomą surowość codziennej roboty, która daje chleb — i której jedyną nagrodą jest doskonała miłość pracy. Ta nagroda go omijała. Ale cofnąć się nie mógł, gdyż nic tak nie nęci, nie rozczarowuje i nie przykuwa jak życie na morzu. Poza tym przyszłość Jima zapowiadała się korzystnie. Był dobrze wychowany, spokojny, zgodny, znał dokładnie swe obowiązki; i niebawem, jeszcze jako bardzo młody chłopiec, został pierwszym oficerem na pięknym statku, nie doświadczywszy nigdy tych wydarzeń na morzu, które dobywają na jaw wewnętrzną wartość człowieka, uwydatniają prawdziwe

cechy jego usposobienia i rdzeń charakteru, które ukazują stopień jego odporności i tajną prawdę ukrytą pod pozorami — nie tylko innym, ale i jemu samemu.

Tylko raz jeden przez cały ten czas Jim dojrzał znów przeblysk zawziętości w gniewie morza. Ta prawda nie przejawia się tak często, jakby można było przypuszczać. Jest wiele odcieni w niebezpieczeństwie przygód i burz i tylko niekiedy oblicze faktów zdradza ponurą, gwałtowną celowość — to coś nieokreślonego, co narzuca umysłom i sercom przekonanie, że pewien splot wypadków lub furia żywiołu spada na człowieka ze złośliwą premedytacją, z nieogarnioną siłą, z rozpętanym okrucieństwem, które chce wydrzeć człowiekowi jego nadzieję i jego strach, ból jego zmęczenia i tęsknotę za wypoczynkiem; które chce zmiażdżyć, zniszczyć, unicestwić wszystko, co widział, znał, kochał, czym się cieszył, czego nienawidził, wszystko, co jest potrzebne i bezcenne — blask słońca, wspomnienia, przyszłość; które chce zmieść doszczętnie sprzed jego oczu cały drogocenny świat przez prosty i przerażający akt — przez zabranie mu życia.

Na samym początku tygodnia (o którym kapitan Jima, Szkot, zwykł był opowiadać: „Mówię wam, ludzie, to cud prawdziwy, że statek przeżył to wszystko!”) Jim został ugodzony spadającą reją; spędził wiele dni leżąc na wznak, ogłuszony, poturbowany, pełen zwątpienia i udręki, jakby na dnie niespokojnej otchłani. Wszystko mu było jedno, jak się to skończy, a w chwilach przytomności przeceniał swą obojętność. Niebezpieczeństwo, kiedy go się nie widzi, ma mglistą nieokreśloność ludzkiej myśli. Trwoga staje się mętna; nie podsycona niczym wyobraźnia — wróg ludzi, źródło wszelkiej grozy — układa się do spoczynku w duszy stępiałej od nadmiaru wzruszeń. Jim widział tylko rozgardiasz w swej roztrzęsionej kabinie. Leżał tam, przykuty do miejsca wśród ciasnoty i spustoszenia, i czuł się w głębi ducha szczęśliwy, że nie potrzebuje wyjść na pokład. Ale od czasu do czasu niepokromiony napad trwogi chwycił go za gardło, tak że brakowało mu tchu i wił się pod kocami; bezsensowna brutalność istnienia, poddająca ludzi takim katuszom, napępiała go rozpaczliwą żądzą, aby się za wszelką cenę ocalić. Potem wróciła piękna pogoda i więcej już o tym nie myślał.

Jednakże kulał wciąż jeszcze, a gdy okręt przybył do jednego ze wschodnich portów, musiał iść do szpitala. Wracał do zdrowia bardzo powoli, przeto pozostawiono go w porcie.

Poza Jimem było tylko dwóch pacjentów w oddziale dla białych: płatnik z kanonierki, który złamał nogę spadłszy do luku, i jakiś niby dostawca kolejowy z sąsiedniej prowincji, dotknięty tajemniczą chorobą podzwrotnikową; uważał doktora za osła i oddawał się potajemnie leczeniu różnymi specyfikami, które jego służący, Tamil, przemyślał z niez mordowanym poświęceniem. Pacjenci opowiadali sobie nawzajem historię swego życia, grali trochę w karty lub też, ubrani tylko w pidżamy, wylegiwali się całymi dniami na leżakach ziewając i nie mówiąc do siebie ani słowa. Szpital stał na wzgórzu; lekki powiew, wchodzący przez okna otwarte zawsze na oścież, niósł do pustych pokoi łagodność nieba, omdlałość ziemi, czarowny oddech wschodnich wód. Były w nim jakieś aromaty, zapowiedź bezgranicznego spoczynku, dar snuty bez końca marzeń. Jim spoglądał co dzień ponad gąszcz ogrodów, ponad dachy miasta i kępy palm rosnących na brzegu, na tę przystań, która jest szlakiem na wschód, na przystań oświetloną radosnym słońcem — z wieńcem wysepek, z okrętami jak zabawki — wspaniałą i ruchliwą niby świąteczne widowisko pod wiecznie pogodnym niebem, pośród uśmiechniętego spokoju wschodnich mórz ogarniających przestrzeń aż do horyzontu.

Z chwilą gdy Jim mógł już chodzić bez laski, zeszedł do miasta i zaczął szukać jakiejś okazji, aby wrócić do kraju. Nic mu się wówczas nie nastęczyło, czekał więc obcując, naturalnie, w porcie z ludźmi swego zawodu. Dzielili się oni na dwa rodzaje. Jedni, bardzo nieliczni i rzadko tam widywani, wiedli tajemniczy żywot, odznaczali się niepokromioną energią, temperamentem korsarzy i mieli marzycielskie oczy. Żyli jak gdyby w obląkanym labiryncie planów, nadziei, niebezpieczeństw przedsięwzięć, w awangardzie cywilizacji, wśród mało znanych zakątków morza; śmierć była w ich fantastycznych egzystencjach jedynym wydarzeniem, które się wydawało dorzeczne i pewne. Przeważnie byli to ludzie rzućeni tam przez przypadek — jak Jim — którzy pozostali na miejscu w charakterze oficerów na statkach krajowych. Mieli wstręt do służby na okrętach europejskich, w trudniejszych warunkach, służby nacechowanej surowszym pojęciem obowiązku, grożącej ryzykiem burzliwych przepraw przez oceany. Zestroili się z wiecznym spokojem wschodniego nieba i mórz. Lubowali się w krótkich podróżach, wygodnych leżakach

na pokładzie, licznych załogach złożonych z krajowców i wyróżnieniu, które należy się białym. Myśl o ciężkiej pracy przejmowała ich dreszczem; wiedli wygodne życie z dnia na dzień, gotowi zawsze rzucić jeden statek i przenieść się na drugi, służąc Chińczykom, Arabom, Metysom — byliby służyli chętnie i diabłu, gdyby dał im dość wygodne warunki. Rozmawiali bez ustanku o przeróżnych szczęśliwych zdarzeniach; jak to taki a taki został kapitanem statku na chińskim wybrzeżu — świetna służba; temu znów trafiło się dogodne miejsce gdzieś w Japonii, a tamtemu powodzi się świetnie w syjamskiej marynarce; we wszystkim zaś, co mówili — w ich czynach, w ich wyglądzie, w ich osobach — można było wykrzyć jakieś słabe miejsce, znamię upadku, upartą chęć, aby przeproznować życie w spokoju.

Ta plotkująca czereda, oglądana oczyma marynarza, wydała się zrazu bardziej nierealna od zbiorowiska cieni. Ale z czasem urzekł Jima widok tych ludzi, którym zdawało się tak dobrze powodzić, choć narażali się w bardzo małym stopniu na niebezpieczeństwo i ciężką pracę. Obok pierwotnej pogardy rozwinęło się z wolna w Jimie inne uczucie; i nagle, zaniechawszy powrotu do kraju, zaciągnął się jako główny oficer na statek „Patna”.

„Patna” był to miejscowy parowiec, stary jak świat, smukły jak chart i bardziej zżarty przez rdzę od wysłużonej kadzi żelaznej. Właścicielem „Patny” był Chińczyk, dzierżawcą Arab, a dowodził nią pewien Niemiec, renegat z Nowej Południowej Walii, bardzo pochopny do publicznego wymyślenia na swój kraj rodzinny; miał fioletowy nos i rude wąsy, a wzorował się widać na zwycięskiej polityce Bismarcka, gdyż obchodził się brutalnie ze wszystkimi, których się nie bał, przybierając krwiożercze miny. „Patna” została pomalowana z zewnątrz i wybielona od środka, po czym wtłoczono na jej pokład ośmiuset pielgrzymów, gdy stała pod parą u drewnianego mola.

Pielgrzymi sunęli na pokład trzema schodnikami, nagłeni wiarą i nadzieją rajy, wśród nieustannego tupotu i szmeru bosych nóg, bez słowa, bez szeptu, nie oglądając się za siebie; wydostawszy się spomiędzy barier rozlewali się na wszystkie strony po pokładzie, ku przodowi i ku rufie, spływali w dół w ziejące luki, zapełniali wewnętrzne zakamarki statku — jak woda, która napęla cysterne, sączy się w szpary, szczeliny i wzbiera cicho aż po brzegi. Ośmiuset mężczyzn i kobiet, żywiących wiarę i nadzieję, przywiązania i wspomnienia, zebrało się tam, przybywszy z północy, południa i krańców wschodu, wędrując ścieżkami przez dżunglę, płynąc z biegiem rzek, sunąc wzdłuż mielizn na krajowych statkach, przeprawiając się w drobnych czółenkach od wyspy do wyspy, przechodząc różne udreki, patrząc na dziwne rzeczy, pozostając we władzy dziwnych obaw — a wszystkich podtrzymywało jedno pragnienie. Przybyli z samotnych chat stojących wśród puszczy, z ludnych *kampungów*¹, z nadbrzeżnych morskich wiosek. Na zew jednej idei opuścili swe lasy, polanki, opiekę swych władców, swój dobrobyt, swą biedę, krainę swej młodości i groby ojców. Przybyli okryci pyłem, potem, brudem, łachmanami — mężczyźni w sile wieku na czele rodzin, wychudli starcy dążący naprzód bez nadziei powrotu; młodzi chłopcy o nieulekłych oczach, rozglądający się ciekawie, trwożliwe dziewczątka o długich, poplątanych włosach, nieśmiałe, zakwefione kobiety, które cisnęły do piersi uśpione niemowlęta, okutane w luźne końce zbrukanych zasłon — nieświadomi pielgrzymi, posłuszni surowym wymaganiom swej wiary.

— Popatrz pan na to bydlę — rzekł Niemiec, szyper, do swego nowego oficera.

Arab, przywódca pobożnych podróżników, zjawił się na ostatku. Wkroczył z wolna na pokład, piękny i pełen powagi, w białej szacie i wielkim turbanie. Za nim postępował rząd sług obładowanych jego bagażem; „Patna” odcumowała i cofnęła się od wybrzeża.

Skierowawszy się między dwie małe wysepki przecięła na ukos kotwowisko dla żaglowców, zakreśliła półkole w cieniu wzgórza i przesunęła się tuż koło raf otoczonych pianą. Arab powstał ze swego miejsca na rufie i począł odmawiać głośno modlitwę dla podróżujących po morzu. Wzywał łaski Najwyższego dla pielgrzymki błagając Go, aby pobłogosławił znój ludzki i tajne zamysły serc; parowiec pruł w mroku spokojną wodę cieśniny — a hen w tyle za okrętem latarnia morska, umieszczona przez niewiernych na zdradliwej mieliźnie, zdawała się mrugać na „Patnę” płomiennym okiem, jakby szydząc z jej wyprawy, natchnionej wiary.

¹*kampung* (mal.) — wieś, osada. [przypis edytorski]

Statek przebył cieśninę, minął zatokę i płynął dalej w swą drogę przez przesmyk „One-degree”. Sunął wprost na Morze Czerwone pod pogodnym niebem, pod niebem palącym i nie osłoniętym chmurami, obleczonym w słoneczny blask, który zabijał myśl wszelką, uciskał serce, wypalał wszystkie porywy siły i energii. A pod ponurą wspaniałością nieba morze błękitne i głębokie leżało spokojnie, bez ruchu, bez szmeru, bez zmarszczki — kleiste, bezwładne, martwe. „Patna” sunęła z lekkim sykiem tą świetlistą, gładką równi- ną i rozwijała po niebie czarną wstęgę dymu, zostawiając za sobą na wodzie białą wstęgę piany, która znikala natychmiast jak widmo szlaku kreślone na martwym morzu przez widmo parowca.

Każdego rana słońce, jakby dotrzymując w swych obrotach kroku sunącej naprzód pielgrzymce, wylaniało się z bezgłośnym wybuchem światła ściśle w tej samej odległości za rufą statku, dopędzało go o południu, lejąc skupiony żar promieni na pobożne ludzkie zamysły, mijało „Patnę” i tocząc się w dół, znikalo tajemniczo w morzu wieczór za wieczorem, zawsze w tej samej odległości od sunącego naprzód dziobu.

Pięciu białych znajdujących się na statku mieszkało na śródkręciu, z dala od ludzkiego ładunku. Płócienna zasłona okrywała pokład białym dachem od dziobu do rufy i tylko słaby szmer, stłumiony gwar smutnych głosów, zdradzał obecność tłumu ludzi na wielkiej jasności oceanu. Tak upływały dni ciche, upalne, ociążałe, zapadając jeden za drugim w przeszłość, niby w otchłań otwartą zawsze na szlaku okrętu; a „Patna”, samotna pod pasmem dymu, dążyła wytrwale w swą drogę, czarna i dymiąca wśród świetlistej nieskończoności, jakby spalona przez płomienie sypiące się z bezlitosnego nieba.

Noce zstępowały na nią jak błogosławieństwo.

ROZDZIAŁ TRZECI

Cudowna cisza przenikała świat, a gwiazdy zdawały się ślać na ziemię nie tylko pogodę swych promieni, ale i pewność wiecznego spokoju. Młody, wygięty księżyc, jaśniejący nisko na zachodzie, wyglądał jak cieniutki wiórek zheblowany ze złotej sztaby; Morze Arabskie, gładkie i chłodne dla oka, niby płyta lodu, ślało się idealną równią aż po idealne koło ciemnego widnokręgu. Śruba kręciła się gładko, jakby jej rytm był jednym ze składników bezpiecznego wszechświata; z obu stron „Patny” dwie głębokie fałdy wody, nieprzerwane i ciemne na gładkiej, lśniącej powierzchni, zamykały między prostymi, rozchodzącymi się grzbietami nieliczne białe wiry piany pękającej z cichym sykiem, drobne falki i zmarszczki, które zostawały w tyle, wzburzając na chwilę powierzchnię morza po przejściu okrętu; po czym uspokajały się z łagodnym pluskiem, póki nie stopiły się wreszcie w cichość nieba i wody otaczającą w krąg czarną plamkę sunącego kadłuba, pozostającą wciąż w samym środku.

Jim stojąc na mostku płał się w wielkiej pewności nieskończonego spokoju i bezpieczeństwa, które można było wyczytać ze spokojnego wyglądu natury, jak się czyta pewność opiekuńczej miłości na spokojnej, tkliwej matczynej twarzy. Pod płóciennym dachem spali pielgrzymi hołdujący surowej wierze, poddawszy się mądrości białych i ich odwadze, ufając potędze ich niewiary i żelaznej łupinie ognistego statku; spali na matach, na kocach, na gołych deskach, na wszystkich pomostach, we wszystkich ciemnych zakamarkach, zawinięci w barwione szmaty, okutani w brudne lachmany, z głowami wspartymi na małych zawiniątkach, z twarzami przyciśniętymi do zgiętych ramion: mężczyźni, kobiety, dzieci, starzy z młodymi, zgrzybiali z pełnymi sił i życia — wszyscy zrównani wobec snu, brata śmierci.

Lekki powiew ciągnący od przodu, wywołany biegiem parowca, niósł się spokojnie przez długą mroczną przestrzeń między wysokimi nadburciami i muskał rzędy wyciągniętych ciał; kilka przyćmionych płomieni w latarniach wisiało na krótkich linkach tu i tam u poprzeczek płóciennego dachu, a w mętnych kręgach światła, drgających z lekka w rytm nieustannej wibracji statku, ukazywały się czyjeś zamknięte powieki, zadarta broda, ciemna ręka z srebrnymi pierścieniami, chude członki owinięte w podarte nakrycie, głowa odchylona w tył, goła stopa, szyja naga i wyprężona, jakby podająca się pod nóż. Zamożni urządzili dla swych rodzin schronienia z ciężkich skrzyń i zakurzonych mat; ubodzy spoczywali rzędem obok siebie, wspierając głowę na całym swym ziemskim dobytku, zawiniętym w gałgany; samotni starcy spali, podciągnawszy nogi, na modli-

tewnych dywanach, z rękoma na uszach i łokciami po obu stronach twarzy; jakiś ojciec wsunął głowę w ramiona i zgnębiony, oparł czoło na kolanach, drzemiąc obok chłopca, który spał na wznak ze skołtunioną czupryną i ręką wyciągniętą nakazująco; kobieta, okryta od stóp do głów białym prześcieradłem — niby trup — trzymała po nagim dziecku w zgięciu każdego ramienia; pakunki Araba, spiętrzone po prawej stronie rufy, tworzyły przysadzisty kopiec o łamanych liniach; nad nimi wisiła latarnia, a w głębi majaczyły przeróżne niewyraźne kształty: połyskliwe brzuchy mosiężnych naczyń, podnózek od leżaka, ostrze włóczni, prosta pochwa starego miecza oparta o stos po duszek, dziób cynowego dzbanka do kawy. Log² na tylnej barierze wydzwaniał miarowo jedno dźwięczne uderzenie za każdą milą przebytą w wędrówce nakazanej przez wiarę. Nad ciżbą śpiących przepływało niekiedy nikłe i cierpliwe westchnienie wyznione wśród zmaconego snu; a krótkie metaliczne dźwięki, rozlegające się nagle w głębiach statku — ostry zgrzyt szufli, gwałtowne trzaśnięcie drzwiczkami od paleniska — wybuchały brutalnie, jakby ludzie obcujący z tajemniczymi przedmiotami tam w dole, żywili dziki gniew w piersi; zaś smukły, wysoki kadłub parowca sunął równo naprzód, bez najlżejszego kołysania się nagich masztów, prując nieustannie wielki spokój wód pod niedostępnym spokojem nieba.

Jim spacerował w poprzek mostka, a własne kroki rozbrzmiewały mu głośno w uszach wśród wielkiej ciszy, jakby odbite przez czujne gwiazdy; jego oczy błądzące po linii horyzontu zdawały się sięgać chciwie za czymś niedościgłym i nie dostrzegły cienia zbliżającego się wypadku. Jedyne ciemne na morzu padał od czarnego dymu buchającego wciąż ciężko z komina olbrzymią chorągwią, której koniec rozplątał się ustawicznie w powietrzu. Dwaj Malaje, niemi i prawie nieruchomi, sterowali stojąc z dwóch stron koła, którego mosiężny brzeg połyskiwał częściowo w owalu światła padającego od pokrywy kompasu. Niekiedy ręka o czarnych palcach, puszczając i chwytając kolejno obracającą się szprychy, ukazywała się na oświetlonej części koła; ogniwa łańcucha zgrzytały głośno w rowkach rury sterowej. Jim rzucił wzrokiem na kompas, potem rozglądał się wkoło po niedościgłym widnokręgu, przeciągał się, aż stawy trzeszczały, przeginając się leniwie od nadmiernego wprost poczucia błogości; i — jakby rozzuchwalony widokiem niewzruszonego spokoju — czuł, że nie dba o nic, co by go mogło spotkać aż do końca jego dni. Od czasu do czasu spoglądał leniwie na mapę przymocowaną czterema pluskiewkami do niskiego stolika o trzech nogach, stojącego za osprzętem sterowym. Arkusz papieru, odtwarzający morskie głębie, rozpościął się jaśniejącą powierzchnią pod światłem ślepej latarki przywiązanej do stojaka — powierzchnią poziomą i równą jak połyskliwa gładź wód. Na mapie spoczywały linijki nawigacyjne i cyrkiel; położenie statku w południe było oznaczone małym czarnym krzyżykiem, a prosta linia, nakreślona pewną ręką aż do Perimu, odtwarzała kurs — szlak dusz dążących ku świętemu miejscu, ku obietnicy zbawienia, nagrodzie wiecznego życia — ołówek zaś, oparty ostrym końcem o wybrzeże Somali, leżał okrągły i nieruchomy jak nagi maszt w basenie zamkniętego doku.

„Jak my spokojnie suniemy” — pomyślał Jim z podziwem, z czymś w rodzaju wdzięczności za ten wyniosły spokój morza i nieba. W takich chwilach myśli jego były przepelnione walecznymi czynami; kochał te swoje marzenia i sukcesy urojonych czynów. Były najlepszą częścią życia, jego tajną prawdą, jego ukrytą rzeczywistością. Cechowała je wspaniała męskość i urok czegoś nieokreślonego; sunęły przed nim bohaterskim krokiem porywając za sobą jego duszę upojoną boskim napojem — bezgraniczną wiarą w siebie. Nie ma nic, czemu by nie potrafił stawić czoła. Tak się mu ta myśl podobała, że się uśmiechnął patrząc machinalnie ku przodowi statku; a gdy mu się zdarzyło spojrzeć w tył, widział białą smugę szlaku, kreśloną równie prosto przez kil okrętu, jak prosta była czarna linia narysowana ołówkiem na mapie.

Wiadra do popiołu hałasowały, przesuwane tam i z powrotem przez wentylatory palarni, a ten metaliczny dźwięk ostrzegwał Jima, iż koniec jego wachty się zbliża. Westchnął z zadowoleniem, a zarazem z żalem, że będzie musiał się rozstać z tą pogodą, która przyjała awanturycznej swobodzie jego myśli. Był przy tym trochę śpiący i czuł, jak przyjemna omdlałość ogarnia wszystkie jego członki; zdawało mu się, iż cała krew w jego ciele przemienia się w ciepłe mleko. Szyper zjawił się bezszelestnie na mostku w pidżamie rozchełstanej szeroko na piersiach. Był na wpół rozbudzony; twarz miał czerwoną, lewe oko

²log — przyrząd nawigacyjny do pomiaru przebytej drogi i prędkości statku. [przypis edytorski]

częściowo zamknięte, prawie idiotycznie wybałuszone i szkliste; zwiesił wielką głowę nad mapą i drapał się ospale po żebrach. Było coś plugawego w widoku jego nagiego ciała. Obnażone, pulchne piersi połyskiwały tłustością, jakby we śnie wypocił z siebie całe sado. Wypowiedział jakąś zawodową uwagę głosem chrapliwym i głuchym, podobnym do chrapiącego dźwięku piły trącej o krawędź deski; fałda podwójnego podbródka zwiślała mu jak worek przywiązany tuż pod zawiasami szczęk. Jim drgnął, a jego odpowiedź pełna była szacunku, lecz wstrętna opasła postać — jakby ujrzana po raz pierwszy w chwili objawienia — wyryła się na zawsze w jego pamięci niby wcielenie wszelkiej nikczemności i podłoty, czających się w ukochanym przez nas świecie; bowiem w głębi ducha ufamy, że nasze zbawienie leży w ludziach, którzy nas otaczają, we wszystkim, na co patrzą nasze oczy, w dźwiękach, które napęlniają nam uszy, i w powietrzu wchłanianym przez nasze płuca.

Cienki, złoty wiórek księżycy sphywał powoli, aż się zatracił w ściemniałej powierzchni wód, a wieczność poza niebem zdawała się do ziemi przybliżać ze wzmocnionym lśnieniem gwiazd i mrokiem, który się pogłębił w połyskliwej, na wpół przejrzystej kopule okrywającej płaską tarczę matowego morza. Parowiec płynął tak gładko, że ludzkie zmysły nie mogły uchwycić jego ruchu, jakby był zaludnioną szczelnie planetą śpieszącą przez ciemną przestrzeń eteru za rojem słońc, wśród groźnych i spokojnych pustkowi oczekujących na tchnienie przyszłych aktów stworzenia.

— Strach, co tam za upał na dole — rzekł jakiś głos.

Jim uśmiechnął się, ale nie obejrzał. Rozłożyste plecy szypra ani drgnęły; należało to do sztuczek renegata, że ignorował ostentacyjnie czyjąś obecność, jeśli nie uznał za stosowne zwrócić się do tego kogoś, zmierzyć go wściekłym spojrzeniem i zalać spienionym potokiem obelżywego żargonu, który tryskał jak ze ścieku. Teraz szyper ograniczył się do kwaśnego mruknięcia; a pomocnik mechanika u szczytu schodów mostka, miętoszając w wilgotnych dłoniach brudny gałgan do obcierania potu, wylewał w dalszym ciągu swoje żale, bynajmniej nie onieśmielony. Tu na górze dobrze się marynarzom powodzi i niech go kaczkę zdepczą, jeśli wie, po co ci marynarze są w ogóle na świecie. Mechanicy, nieboraki, muszą tak czy owak statek w ruch wprawiać, a przecież mogliby sobie poradzić doskonale i z resztą roboty; „jeszcze i jak, do jasnej cholery”...

— Stulić pysk — mruknął flegmatycznie Niemiec.

— Właśnie! Stulić pysk — a kiedy coś nie w porządku, to pędzicie do nas, prawda? — ciągnął tamten. I żalił się dalej, że jest na wpół ugotowany; ale za to teraz wszystko mu jedno, ile grzechów ma na sumieniu, bo przez te ostatnie trzy dni przeszedł porządny kurs wstępny do tego miejsca, dokąd źli ludzie idą po śmierci — porządny, bo porządny, żeby tak zdrow był — a w dodatku jeszcze ogłuchł jak pień od cholerycznego hałasu na dole. To podle, przekłete, zgniłe pudło, ten stary skraplacz, skrzypi tam i hałasuje jak stara winda pokładowa albo i jeszcze gorzej; a z jakiego powodu on, mechanik, naraża życie każdej nocy i każdego dnia — na gruchocie, który nadaje się tylko na złom i robi pięćdziesiąt siedem obrotów na minutę — tego wyjaśnić nie potrafi. Widać już się taki nieustraszony urodził, do jasnej cholery. Widać...

— Skądś pan wódkę wytrzasnął? — spytał Niemiec, bardzo wściekły, lecz nieruchomy, w świetle padającym od szafki z busołą, jak niezgrabny wizerunek człowieka ulepiony z bryły tłuszczu. Jim wciąż się uśmiechał ku cofającemu się widnokręgowi; serce miał pełne szlachetnych porywów, a w myśli rozważał swą wyższość.

— Wódkę! — powtórzył mechanik z uprzejmą pogardą; jego ciemna postać, chwiewająca się na nogach, czepiała się oburącz bariery. — Nie od pana, panie kapitanie. Pan jest na to o wiele za skąpy, do jasnej cholery. Porządny człowiek skonałby u pańskich nóg, a nie dostałby ani kropki sznapsa. Wy, Niemcy, nazywacie to oszczędnością. Oszczędzacie pensy, a wyrzucacie za okno tysiące. — Mechanik stał się sentymentalny. Szef dał mu wypić naparstek tak około dziesiątej — „jeden jedyny, żebym tak zdrow był!”. Pocziwy starowina; ale gdyby przyszło wyciągać z koi tego starego franta, nawet pięciotonowy żuraw nic by nie poradził. Nie ma gadania. A w każdym razie nie dzisiaj. Szef śpi słodko jak małe dzieciątko, z butelką wyborowej wódki pod poduszką.

Z grubego gardła kapitana wydarł się niski pomruk, w którym dźwięk słowa *Schwein*³ przebiegał się to nisko, to wysoko, jak kapryśne piórko w nikłym powiewie. Kapitan i główny mechanik byli kamratami już od dobrych kilku lat; służyli u tego samego jowialnego, podstępного starego Chińczyka, noszącego okulary w rogowej oprawie i czerwone jedwabne tasiemki wplecione w czcigodne siwe włosy warkocza. Nadbrzeźna fama w oczystym porcie „Patny” głosiła, że ci dwaj — w zakresie bezczelnych sprzeniewierzeń — „dokonali razem mniej więcej wszystkiego, co się tylko da pomyśleć”. Na oko źle byli dobrani; jeden miał tępe, złe oczy i opasłe ciało o miękkich liniach; drugi był chudy, cały we wklęsłościach — o głowie długiej i kościstej niby u starej szkapy, o zapadłych policzkach, zapadłych skroniach i obojętnym, szklistym spojrzeniu zapadłych oczu. Wyrzucono go gdzieś na wschodnim wybrzeżu — w Kantonie, Szanghaju, a może i Jokohamie; prawdopodobnie nie zależało mu na tym, aby pamiętać dokładnie ową miejscowość ani też powód swej katastrofy. Ze względu na jego młody wiek wylano go po prostu z okrętu dwadzieścia lat temu lub więcej, a mogło się to dla niego o tyle gorzej skończyć, że wspominając ów epizod nie uważał go właściwie za nieszczęście. Potem, gdy żegluga parowa rozwinęła się na tych morzach i ludzie jego fachu z początku trafiali się rzadko, powiodło mu się w pewnym znaczeniu. Miał zwyczaj skwapliwie informować obcych ponurym szeptem, że „zna te strony jak własną kieszeń”. Przy każdym ruchu tego człowieka zdawało się, że kościotrup kołaczę się w jego ubraniu; zamiast chodzić wałęsał się po prostu, a miał zwyczaj wałęsać się tak bez ustanku po maszynowni naokoło luku świetlnego. Palił przy tym bez przyjemności fałszowany tytoń w miedzianej czarce na końcu wiśniowego cybucha długości czterech stóp, z głupkowatą powagą myśliciela wywodzącego system filozoficzny z mglistych przeblysków jakiejś prawdy. Zazwyczaj daleki był od szafowania swym prywatnym zapasem alkoholu; ale owej nocy odstąpił od tej zasady, tak że jego pomocnik, głupkowaty syn Wappingu⁴, zaskoczony nieoczekiwanym poczęstunkiem i mocą alkoholu, stał się bardzo szczęśliwy, bezczelny i rozmowny. Wściekłość Niemca z Nowej Południowej Walii była niezmierna; sapał jak miech, a Jim, ubawiony nieco tą sceną, oczekiwał z niecierpliwością chwili, kiedy będzie się mógł znaleźć na dole; ostatnie dziesięć minut wachty były irytujące jak działo, które się ociąga z wystrzałem. Ci ludzie nie należeli do świata bohaterskich przygód, ale niezłe z nich były chłopcy. Nawet sam szyper... Obrzydzenie zdjęło Jima na widok tej bryły dyszącego ciała, z której wydobywały się gardłowe pomruki — mętny strumyczek niechlujnych wyrażań: lecz błoga ospałość zanadto nim owładnęła, aby się mógł zdobyć na czynną antypatię w stosunku do cokolwiek. Poziom tych ludzi był mu obojętny; ocierał się o nich, ale nic go nie obchodzili; oddychali tym samym powietrzem, lecz on był zupełnie inny... Czy też szyper rzuci się na mechanika?... Życie jest łatwe, a Jim taki jest pewien siebie — zanadto pewien siebie, aby... Granica dzieląca jego rozmyślania od potajemnej drzemki na stojąco była cieńsza od nitki pajęczej.

Pomocnik mechanika, zmieniając temat z łatwością, jął rozpatrywać swą materialną pozycję i swą odwagę.

— Kto jest pijany? Ja? Nie, nie, panie kapitanie! Nic podobnego. Powinien pan przecie już wiedzieć, że szef zanadto jest skąpy, aby spoić nawet wróbla, do jasnej cholery. Nigdy w życiu nie byłem wstawiony; nie wynaleziono jeszcze trunku, który by *mnie* spoił. Mogę pić płynny ogień, a pan będzie pił to wasze whisky — ja kieliszek, pan kieliszek — i pozostanę chłodny jak lód. Gdybym myślał, że jestem pijany, skoczyłbym za burtę i byłby koniec ze mną, do jasnej cholery. Tak! Od razu! A z mostka nie zejść. Gdzie pan chce, żebym odetchnął świeżym powietrzem w taką noc jak dzisiejsza, co? Na pokładzie, wśród tego robactwa? To akurat do mnie podobne! Nie boję się pana — co mi pan może zrobić!

Niemiec podniósł ku niebu dwie ciężkie pięści i potrząsnął nimi z lekka, bez słowa.

— Ja nie wiem, co to strach — ciągnął mechanik z zapalem i szczerym przekonaniem. — Nie boję się całej tej, psiamac, roboty na tym zgniłym pudle, do jasnej cholery! A jaka to dla was gratka, że są na świecie tacy ludzie jak my, co nie drżą o swoją skórę — bo gdyby nie to, ładnie byście wyglądali — i pan, i ten tu stary gruchot, co ma obicie jak z szarego papieru — zupełnie jak z szarego papieru, żebym tak zdrów był. Panu to dobrze

³*Schwein* (niem.) — świnia. [przypis edytorski]

⁴*Wapping* — osiedle we wsch. części Londynu, dawniej dzielnica portowa. [przypis edytorski]

— wyciąga pan ze statku moc pieniędzy na wszystkie sposoby; a ja — co ja dostaję? Parszywe sto pięćdziesiąt dolarów na miesiąc — i to bez utrzymania. Pytam ja się pana z całym szacunkiem, uważa pan, z szacunkiem — kto by nie kopnął takiej podłej roboty? Człowiek nadstawia karku, żebym tak zdrow był, oj, nadstawia! Tylko że ja to jestem chłop nieustraszony...

Puścił barierę i wykonywał szerokie gesty, jak gdyby demonstrując w powietrzu kształt i objętość swej odwagi; jego piskliwy głos sunął w przeciągłych skrzekach nad morzem. Chwilami robił krok naprzód lub się cofał dla lepszego uwydatnienia swych słów i nagle rymnął głową w dół, jakby go palnął kto z tyłu. „Psiakrew!” — mruknął padając; chwila ciszy nastąpiła po jego gadaniu; i Jim, i szyper potknęli się jednocześnie: odzyskawszy równowagę stali bardzo sztywno, patrząc wciąż w zdumieniu na niezamąconą gładkość morza. Potem spojrzeli w górę na gwiazdy.

Co to się stało? Maszyny dudniły i sapwały bez przerwy. Czy ziemia zatrzymała się w biegu? Nie mogli nic zrozumieć; i nagle spokojne morze, niebo bez jednej chmurki wydały im się straszliwie niepewne w swym bezruchu, jak gdyby się ważyły nad krawędzią ziejącej zatury. Maszynista zerwał się na równe nogi i opadł znów jak bezkształtna masa; dobiegło z niej stłumione pytanie pełne głębokiej troski: „Cóż to znowu?” Przebrzmiał z wolna słaby odgłos niby grzmotu, niezmiernie odległego grzmotu — czegoś, co było słabsze od dźwięku i zaledwie mocniejsze od drgnienia — a statek zadrżał w odpowiedzi, jakby ów grzmot zawarczał gdzieś w głębi wody. Oczy Malajów u koła błysnęły ku białym, lecz ciemne ich ręce pozostały zamknięte na szprychach. Zdawało się, że ściły kadłub, sunący w swą drogę, podnosi się kolejno o parę cali przez całą długość — jakby się stał giętki — po czym osiadł znów sztywno, wracając do pracy, i w dalszym ciągu pruł gładką powierzchnię morza. Drżenie kadłuba uspokoiło się, a nikły odgłos grzmotu nagle ustał, jakby statek przebył wąski pas rozedrganej wody i dudniącego powietrza.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Mniej więcej w miesiąc później, gdy Jim odpowiadał na rzeczowe pytania, usiłując powiedzieć uczciwie prawdę o tym, co wówczas przeżył, wyraził się mówiąc o statku:

— Przesunął się przez to coś tak łatwo jak wąż pełznący przez kij.

Porównanie było dobre; pytania dotyczyły faktów, a działo się to podczas urzędowego dochodzenia w sądzie do spraw karnych pewnego wschodniego portu. Jim stał z rozpalonymi policzkami na podwyższeniu przeznaczonym dla świadków, w chłodnej, wysokiej sali; wielkie ramy do *punkab*⁵ poruszały się łagodnie tam i z powrotem wysoko nad jego głową, a z dołu wiele oczu patrzyło na niego z ciemnych twarzy, z białych twarzy, z czerwonych twarzy, z twarzy uważnych, urzeczonych, jak gdyby wszyscy ci ludzie siedzący karnymi rzędami na wąskich ławkach byli spętani czarem jego głosu. A głos ten, bardzo donośny, brzmiał przerażająco w uszach Jima; był to jedyny głos słyszalny na świecie, bo okropnie wyraźne pytania, które wydzierały mu odpowiedzi, zdawały się kształtować same przez się w jego własnej piersi wśród udręki i bólu, a docierały do niego, dotkliwe i ciche, jak straszne pytania zadane przez sumienie. Na dworze jaśniało słońce — na sali sądowej był wiatr od wielkich *punkab*, który przejmował dreszczem, był wstyd, który palił ogniem, były uważne oczy, których wzrok przeszywał na wskroś. Wygolona twarz sędziego patrzyła niewzruszenie na Jima, śmiertelnie blada między czerwonymi twarzami dwóch asesorów. Światło padało z góry, od szerokiego okna pod sufitem, na głowy i plecy trzech ludzi, którzy rysowali się z okrutną wyrazistością w półcieniu wielkiej sali sądowej, publiczność zaś składała się jakby ze spokojnych, zapatrzonych cieni. Żądali faktów. Faktów! Domagali się od niego faktów, jakby fakty mogły cośkolwiek wytłumaczyć!

— Kiedy pan doszedł do wniosku, żeście się zderzyli z czymś pływającym po wodzie, powiedzmy z zalanym wodą wrakiem, dostał pan rozkaz od kapitana, aby pójść na dziób i upewnić się, czy statek nie został uszkodzony. Czy pan uważał to za możliwe, sądząc po sile zderzenia? — zapytał asesor siedzący z lewej strony. Miał rzadką brodę w kształcie podkowy i wystające kości policzków; oparłszy oba łokcie na biurku, splótł kosmate ręce przed twarzą, patrząc w zamyśleniu na Jima niebieskimi oczami; drugi zaś, tęgi mężczy-

⁵*punkab* a. *pankhā* — duży wachlarz z rozpiętego na ramie liścia palmy, piór lub materiału, używany w płd. Azji do wentylacji pomieszczeń. [przypis edytorski]

zna o pogardliwym obliczu, oparty o tylną poręcz krzesła, wyciągnął lewą rękę i bębnił leciutko końcami palców po suszce. Pośrodku siedział w obszernym fotelu wyprostowany sędzia przechyliwszy nieco głowę i skrzyżowawszy ramiona na piersiach; kilka kwiatów w szklanym wazonie stało obok jego kałamarza.

— Nie, nie spodziewałem się tego — rzekł Jim. — Powiedziano mi, abym nikogo nie wołał i nie robił hałasu, żeby nie wznieść paniki. Uznałem te ostrożności za słuszne. Wziąłem jedną z lamp, które wisiały pod płóciennym dachem, i poszedłem naprzód. Kiedy otworzyłem luk dziobowego skrajnika, usłyszałem plusk tam w środku. Wówczas spuściłem lampę na całą długość liny i zobaczyłem, że w dziobowym skrajniku woda sięga wyżej niż do połowy. Wtedy już wiedziałem, że musi tam być wielka dziura pod linią wodną. — Umilkł na chwilę.

— Tak — powiedział olbrzymi asesor uśmiechając się z rozmarzeniem do suszki; przebierał nieustannie palcami dotykając bezgłośnie bibuły.

— Nie myślałem wówczas o niebezpieczeństwie. Może byłem trochę zaskoczony tym wszystkim; stało się to tak spokojnie i tak bardzo nagle. Wiedziałem, że nie ma innej grodzi na statku prócz grodzi zderzeniowej, oddzielającej skrajnik dziobowy od wnętrza przedniego. Wróciłem, aby zawiadomić o tym kapitana. Natknąłem się na drugiego mechanika, który dźwigał się na nogi u stóp schodków mostkowych; wyglądał na ogłuszonego i powiedział mi, że złamał chyba lewą rękę; schodząc ze schodków obsunął się z górnego stopnia, gdy ja byłem na dziobie. Wykrzyknął: „Wielki Boże! Zgniła gródź ustąpi lada chwila i ten parszywy gruchot pójdzie z nami na dno, jak kamień”.

Odepchnął mnie prawą ręką i krzycząc wbiegł przede mną po schodkach. Lewa ręka zwisała mu u boku. Szedłem tuż za nim i widziałem, jak kapitan rzucił się na niego i powalił go na plecy. Nie uderzył go jednak; stał nad nim pochylony i mówił coś z gniewem, lecz zupełnie cicho. Pewnie pytał go, czemu, u diabła, nie pójdzie i nie zatrzyma maszyn zamiast drzeć się na cały pokład. Słyszałem, jak powiedział: „Wstawaj pan! Biegnij! Leć!” Klął przy tym. Mechanik zsunął się po prawostronnych schodkach i obiegił wokół luku świetlnego ku zejściu do maszynowni, które znajdowało się po lewej stronie. Biegł i jęczał...

Jim mówił powoli; przypominał sobie wszystko w mig, z niezmierną wyrazistością; byłby mógł odtworzyć jak echo jęk mechanika dla lepszego poinformowania tych ludzi, którzy żądali faktów. Z początku bunt go ogarnął, ale potem doszedł do przekonania, że tylko drobiazgowość zeznań uwydatni prawdziwą groźbę kryjącą się za okropnymi pozorami. Fakty, których ci ludzie tak pożąдали, były widoczne, dotykalne, dostępne dla zmysłów i zajmowały swoje miejsce w przestrzeni i czasie; wydarzyły się na tysiąc-czterystatonowym parowcu w ciągu dwudziestu siedmiu minut wachty; składały się na całość mającą pewien charakter, subtelną wyrazistość, wygląd skomplikowany, który oko mogło zapamiętać — ale było tam coś jeszcze poza tym, coś niewidzialnego, jakiś władczy duch zagłady tkwiący wewnątrz jak nieprzyjazna dusza w obmierzłym ciele. Jim starał się usilnie to wszystko wyjaśnić. Nie była to zwykła historia, każdy jej szczegół miał wagę pierwszorzędną, a Jim na szczęście pamiętał wszystko. Pragnął mówić o tym wszystkim ze względu na prawdę, a może też i ze względu na siebie samego; i podczas gdy cedził rozważnie wyrazy, jego myśli po prostu latały i latały naokoło zacieśnionego kręgu faktów, co się wyłoniły odcinając go od reszty ludzi; był jak stworzenie uwięzione w ogrodzeniu z wysokich pali, które objaja się w krąg, oszalałe wśród nocy, usiłując znaleźć jakieś słabsze miejsce, szparę, nierówności, po których można by się wdrapać, jakiś otwór pozwalający się przecisnąć i uciec. Ta okropna ruchliwość umysłu sprawiała, że chwilami Jim ociągał się mówiąc.

— Kapitan wciąż chodził po mostku tam i z powrotem; wydawał się dosyć spokojny, tylko potknął się kilkakrotnie; a raz, kiedy stał i mówił do niego, wszedł wprost na mnie, jakby był zupełnie ślepy. Nie odrzekł nic konkretnego na wszystko, co musiałem mu powiedzieć. Mruczał coś pod nosem; zrozumiałem z tego tylko parę słów; zdaje mi się, że powiedział: „ta, psiakrew, para!” i „przekłęta para!” — coś o parze. Przyszło mi na myśl...

Jim zaczął odbiegać od tematu; rzeczowe pytanie przecięło mu mowę jak skurcz bólu. Poczul się niezmiernie znużony i zniechęcony. Już, już miał to na końcu języka, a teraz, zatrzymany brutalnie, musiał odpowiedzieć: tak lub nie. Odrzekł szczerze i krótko: „Tak”.

Stał wyprostowany na podwyższeniu — wysoki, okazały, o jasnej twarzy i młodzieńczych, posępnych oczach — a dusza wiła się w nim po prostu. Odpowiedział jeszcze na jedno pytanie, takie bardzo rzeczowe i takie zbyteczne, po czym znów czekał. W ustach miał to suchość bez smaku, jak gdyby najadł się kurzu, to znowu słoność i gorzkość, niby po napiciu się morskiej wody. Obtarł wilgotne czoło, przesunął językiem po spiekłych wargach i poczuł dreszcz przebiegający mu po grzbiecie. Tęgi asesor opuścił powieki i bębnił bezgłośnie palcami, obojętny i ponury; oczy drugiego zdawały się jaśnieć życzliwością sponad splecionych rąk, spalonych przez słońce; sędzia pochylał się naprzód, jego blada twarz unosiła się nad kwiatami, wreszcie osunął się bokiem na poręcz fotela i oparł skroń na rękę. Wiatr sphywał od *punkah*, wirując na głowy, na ciemne twarze krajowców zawiniętych w obfite draperie, na Europejczyków w ubraniach z dymki zdającej się przylegać jak skóra; biali siedzieli razem, bardzo zgrzani, trzymając na kolanach okrągłe hełmy korkowe; pod ścianami przemykali sądowi policjanci, krajowcy, opięci ciasno w długie białe kapoty; migali szybko tu i tam, biegając bosy na palcach, przepasani czerwonymi szarfami, w czerwonych turbanach na głowie, bezszelestni jak cienie i czujni jak psy gończe.

Oczy Jima, błądzące po sali w przerwach między odpowiedziami, zatrzymały się na białym, który siedział oddzielnie; miał twarz zniszczoną i chmurną, a spokojne jego oczy patrzyły wprost na Jima, jasne i pełne zainteresowania. Jim odpowiadał właśnie na jakieś pytanie i miał ochotę krzyknąć: „Po co to wszystko! Po co!” Uderzał z lekką nogą o podium, przygryzał wargi i patrzył w dal ponad głowami. Napotkał oczy białego. Spojrzenie utkwione w nim różniło się od urzeczonego wzroku innych widzów. Był to akt światłej woli. Jim zapomniał się tak dalece między dwoma pytaniami, że znalazł czas, aby pomyśleć: „Ten człowiek patrzy na mnie, jakby widział kogoś czy coś za moimi plecami”. Jim spotkał go już kiedyś — może na ulicy. Był pewien, że nigdy z nim nie rozmawiał. Od dni, od wielu dni nie mówił do nikogo, lecz rozprawiał po cichu, bez ładu i bez końca, z samym sobą, jak samotny więzień w celi lub wędrowiec zagubiony wśród dzikiej głuszy. Teraz odpowiadał na pytania — które nie miały żadnego znaczenia, choć dążyły do określonego celu — ale wątpił o tym, czy się jeszcze kiedykolwiek w życiu wypowie. Dźwięk jego własnych, szczerych zeznań utwierdzał go w przekonaniu, powziętym po dłuższej rozwadze, że mowa jest już dlań zbyteczna. Miał wrażenie, iż tamten człowiek zdaje sobie sprawę z jego beznadziejnych trudności. Jim popatrzył na niego, po czym odwrócił się stanowczo, jakby w chwili ostatecznej rozłąki.

A później niejednokrotnie, w odległych częściach świata, Marlow przejawiał skłonność do wspomniania Jima, do szczegółowych i głośnych rozpamiętywań na jego temat.

Może zdarzyło się to po obiedzie, na werandzie udrapowanej w nieruchome listowie, uwieńczonej kwiatami, w głębokim mroku pocętkowanym ogieńkami cygar. Wydłużone kształty trzcinowych foteli gościły milczących słuchaczy. Niekiedy żarzący się, czerwony krążek poruszał się niespodziewanie, oświetlając palce leniwej ręki i część twarzy pogrążonej w głębokim spokoju, albo rzucał karmazynowe błyski w dwoje zadumanych oczu ukrytych w cieniu gładkiego czoła.

A z pierwszym słowem Marlowa jego postać, wyciągnięta spokojnie na leżaku, zapadała w zupełny bezruch. Wydawało się, że duch tego człowieka odlatuje wstecz, w minionie czasy i przemawia jego wargami — z przeszłości.

ROZDZIAŁ PIĄTY

O tak. Byłem obecny na sprawie — mówił Marlow — i do dziś dnia nie przestaję się dziwić, po co tam chodziłem. Gotów jestem uwierzyć, że każdy z nas ma swego anioła stróża, jeśli zgodzicie się ze mną, że każdy z nas ma również swego własnego diabła. Chcę, abyście się do tego przyznali, ponieważ pod żadnym względem nie lubię się czuć wyjątkiem, a wiem, że go mam — mówię o swoim diable. Nie widziałem go oczywiście — ale opieram się na dowodach rzeczowych. Krąży koło mnie z pewnością, a że jest złośliwy, robi mi kawały tego rodzaju. Zapytacie, jakiego rodzaju? No więc takie jak ta cała sprawa sądowa, jak ta historia z żółtym psem. — Powiedźcie tylko, do czego to podobne, aby pozwalano parszywemu małajskiemu kundlowi płatać się ludziom między nogami na werandzie sali sądowej, co? — A te podstępne, nieoczekiwane, istic szatańskie podejścia,

dzięki którym natykam się na ludzi o różnych słabościach, narowach, ukrytych skazach, na Boga! ludzi, którym mój widok rozwiązuje języki pobudzając ich do piekielnych zwierzeń; jak gdybym doprawdy sam przed sobą nie miał się z czego zwierzać, jak gdybym — niestety — nie posiadał aż nadto poufnych wiadomości o samym sobie, wiadomości, które będą dręczyły moją duszę aż do końca wyznaczonych mi dni. I pragnąłbym wiedzieć, co uczyniłem, aby być wyróżniany w ten sposób. Oświadczam, że tyle mam własnych spraw na głowie co i wszyscy ludzie, a pamięć taką samą jak każdy przeciętny pielgrzym na tym padole; widzicie zatem, że nie nadaję się szczególnie na studnię zwierzeń. Więc dlaczego mię to spotyka? Nie mam pojęcia — chyba dlatego, aby czas mijał prędko po obiedzie. Karolku, chłopcze kochany, twój obiad, był znakomity i z tego powodu ci oto panowie uważają spokojnego robra za zbyt burzliwe zajęcie. Wylegują się na twoich wygodnych fotelach i mówią sobie: „Ani myślę się fatygować. Niech tam ten Marlow gada”.

A więc będę mówić! Niech i tak będzie. A wcale łatwo jest mówić o Imć Panu Jimie po dobrej wyżerce, siedząc dwieście stóp nad poziomem morza, z pudełkiem porządnych cygar pod ręką, w rozkoszny wieczór pełen świeżości i gwiazdnego blasku, wieczór, który by i najlepsze z nas kazał zapomnieć, że znajdujemy się tu tylko na krótkim urlopie i że nadal musimy wynajdywać na rozstajach naszą własną drogę bacząc czujnie na każdą cenną minutę, każdy nieodwołalny krok, wierząc jednak, że w końcu zdołamy wybrnąć z tego przyzwoicie — choć niezbyt pewni siebie w gruncie rzeczy. I diablo mało możemy liczyć na pomoc tych, o których się ocieramy na prawo i na lewo. Naturalnie, że tu czy tam trafiają się ludzie, dla których całe życie jest jak poobiednia godzina spędzona z cygarem w rękę; łatwe, przyjemne, puste, może urozmaicone jakąś bajką o walce — bajką, o której się zapomina, nim się jej wysłuchało do końca — nim się jej wysłuchało — nawet jeśli się zdarza, że bajka ma jakiś koniec.

Nasze oczy spotkały się po raz pierwszy w czasie tego śledztwa. Trzeba wam wiedzieć, że każdy, kto miał jakikolwiek związek z morzem, był tam na sali, ponieważ sprawa stała się głośna od chwili, gdy ów tajemniczy telegram kablony przyszedł z Adenu i rozpętał nam wszystkim języki. Nazywam go tajemniczym, choć zawierał nagi fakt — tak dalece nagi i brzydki, jakim tylko fakt być może. Całe wybrzeże o niczym innym nie mówiło. Z samego rana słyszałem już przez gródź, ubierając się w kajucie, mego Persa, Dubosza, paplącego o „Patnie” ze stewardem, który został dopuszczony łaskawie do wypicia w kredensie filiżanki herbaty. Ledwie się znalazłem na brzegu, spotykałem kogoś znajomego, a ten pytał od razu: „Słyszał pan kiedyś o czymś podobnym?”, i — zależnie od swojej natury — uśmiechał się z cynizmem albo wyglądał posępnie, albo rzucał parę przekleństw. Ludzie zupełnie obcy zaczepiali się poufale tylko po to, aby ulżyć sobie w duchu na ten temat; byle łazik z miasta znajdował okazję do porządnej wypitki rozprawiając o tej historii; słyszało się o niej w urzędzie portowym, u każdego dostawcy okrętowego, u agentów; była na ustach białych, krajowców, Metysów, i — słowo daję — nawet półnagich wiosłarzy siedzących w kucki na kamiennych schodach, którymi się szło w górę. Trochę się oburzano, żartów strojono co niemiara i rozprawiano bez końca na temat, co też się mogło stać z tymi ludźmi. Ciągnęło się to już parę tygodni lub więcej i zaczynała przeważać opinia, że to, co było tajemnicze w tej sprawie, okaże się w końcu tragiczne, aż pewnego pięknego poranku, gdy stałem w cieniu obok schodów prowadzących do urzędu portowego, spostrzegłem czterech ludzi idących ku mnie bulwarem. Dziwiłem się przez chwilę, skąd się wzięła ta dziwna kompania, i nagle, że tak powiem, krzyknąłem w duchu: „Oto oni!”

Byli to naturalnie oni — trzej o zwykłych wymiarach, a czwarty o tuszy przekraczającej znacznie objętość normalnego człowieka. Wsunąwszy porządne śniadanie wysiedli właśnie przed chwilą z parowca linii Dale, dążącego na Wschód, który to parowiec przybył mniej więcej w godzinę po wschodzie słońca. Omyłka była niemożliwa; poznałem jowialnego szypra „Patny” od pierwszego spojrzenia: najtłuściejszy człowiek w całym przeklętym pasie podzwrotnikowym naokolutenko naszej poczciwej starej ziemi. Z jakie dziewięć miesięcy przedtem zetknąłem się z nim w Semarangu. Parowiec jego brał ładunek w Roads, a on wymyślał na tyrańskie urządzenia cesarstwa niemieckiego i złopał piwo od rana do wieczora, dzień po dniu, w pokoju za sklepem De Jongha; aż wreszcie De Jongh, który liczył mu guldena od flaszki bez zająknięcia, wziął mnie na stronę i oświadczył poufnie, marszcząc swą małą, jakby skórzaną twarzą: „Interes intere-

sem, ale kiedy patrzę na tego człowieka, panie kapitanie, to aż mi się robi niedobrze. Tfu!” Stojąc w cieniu patrzyłem na szypra „Patny”. Szedł spiesźnie, wyprzedzając nieco tamtych, a promienie słońca biły w niego uwydatniając jego objętość w sposób zastraszający. Przywodził na myśl tresowane sloniątko chodzące na tylnych nogach. A przy tym był cudacznie jaskrawy — miał na sobie wybrudzoną pidżamę w jasnozielone i ciemnopomarańczowe pionowe pasy; gołe jego nogi były obute w parę obszarpanych słomianych chodaków, a na wielkiej głowie tkwił wyrzucony przez kogoś korkowy hełm, bardzo brudny i o dwa numery za mały, przywiązany sznurkiem z manili na samym czubku. Zrozumiecie, że człowiek, który tak wygląda, nie może mieć ani krzty szczęścia, kiedy przyjdzie mu pożyczyc ubranie. No i dobrze. Zbliżał się z gorączkowym pośpiechem, nie patrząc ani w prawo, ani w lewo, przeszedł o trzy stopy ode mnie i w niewinności swego serca popędził w górę po schodach do portowego urzędu, aby złożyć zeznanie czy raport, czy jak wam się spodoba to nazwać.

Podobno zwrócił się przede wszystkim do głównego inspektora żeglugowego. Archie Ruthvel przyszedł właśnie do biura i — jak mi później opowiadał — zaczynał mozolny dzień od zmycia głowy głównemu swemu urzędnikowi. Może który z was znał Ruthvela — taki ugrzecznioty, mały portugalski Metys, o nędznej, wychudłej szyi, czyhający stale na to, aby wyłudzić od szyprów jakieś wiktuały — kawał solonej wieprzowiny, worek sucharów, trochę kartofli i w ogóle, co się tylko dało. Pamiętam, że podczas jednej podróży darowałem mu żywą owcę z reszty mych morskich zapasów; wcale nie dlatego, abym czegoś od niego potrzebował — bo nie mógł nic dla mnie uczynić — ale jego dziecinna wiara w swoje święte prawo do ubocznych dochodów po prostu wzięła mnie za serce; była tak silna, że stawała się niemal piękna. Jego rasa — a raczej obie rasy — i w dodatku klimat... No, ale mniejsza, o to. Wiem, gdzie znajdę przyjaciela na śmierć i życie.

Ruthvel mówił mi, że właśnie w trakcie dawania nauk swemu urzędnikowi — przypuszczam, że na temat etyki obowiązującej stan urzędniczy — posłyszał za sobą jakieś stłumione poruszenie; odwrócił głowę i ujrzał — wedle jego własnych słów — coś okrągłego i olbrzymiego, co przypominało beczkę z cukrem wagi tysiąca sześciuset funtów, zawiniętą w pasiastą flanelę i ustawioną na środku rozległego biura. Tak go to zaskoczyło, iż przez dłuższy czas nie zdawał sobie sprawy, że to coś jest żywe, i siedział bez ruchu rozmyślając, w jakim celu i jakim sposobem ten przedmiot znalazł się przed jego biurkiem. W sklepionych drzwiach prowadzących do przedpokoju tłoczyli się ludzie obsługujący *punkah*, zamiatacze, krajowi policjanci, bosman i załoga portowej szalupy parowej — a wszyscy wyciągali szyje i prawie włożyli jeden drugiemu na plecy. Zupełnie jak podczas jakichś rozruchów. Tymczasem ów osobnik z wysiłkiem zdarł z głowy kapełusz i sunął w lekkich ukłonach ku Ruthvelowi; według własnych słów Ruthvela było to tak niepokojące, iż przez pewien czas słuchał przemowy zjawiska nie mogąc wyrozumieć, o co właściwie mu chodzi. Mówiło głosem ochryplym, ponurym, lecz nieustraszoną i stopniowo Ruthvel zrozumiał, iż to jest dalszy ciąg wypadku „Patny”. Opowiadał mi, że w chwili gdy pojął, kto przed nim stoi, zrobiło mu się dosłownie słabo — Archie taki jest wrażliwy i tak łatwo się wzrusza — ale opanował się i krzyknął:

— Dość tego! To nie moja rzecz pana słuchać. Musi pan się zgłosić do kapitana portu. Ja stanowczo nie mogę pana wysłuchać, to kapitan Elliot jest od tego. Tędy, o, tędy.

Zerwał się z krzesła, obiegł długi kontuar, ciągnął szypra, popychał, a ów dał się prowadzić, zaskoczony, lecz posłuszny na razie, i dopiero u wejścia do prywatnego gabinetu kapitana, jakby pod wpływem zwierzęcego instynktu, zaczął się opierać i prychać jak przestraszony byk.

— No, no! Co to jest? Proszę mnie puścić! No, panie!

Archie otworzył gwałtownie drzwi bez pukania.

— Dowódca „Patny”, panie kapitanie! — krzyknął. — Proszę, niech pan wejdzie.

Widział, jak staruszek podniósł głowę znad papierów tak gwałtownie, że aż binokle spadły mu z nosa. Archie zatrzasnął drzwi i uciekł do biura, gdzie różne papiery czekały na jego podpis; ale — opowiadał mi — awantura, która wybuchła w tamtym pokoju, była tak straszna, że nie mógł się na tyle opanować, aby sobie przypomnieć litery własnego nazwiska. Archie jest najwrażliwszy ze wszystkich inspektorów żeglugowych na obu półkulach. Oświadczył mi, że miał wówczas wrażenie, jakby rzucił człowieka głodnemu

lwu na pożarcie. Nie ma dwóch zdań, hałas był wielki. Słyszałem go z dołu i mam wszelkie dane po temu, że słyszano go wyraźnie poprzez całą Esplanadę aż do pawilonu dla orkiestry. Stary dziadzio Elliot posiadał wielki zasób słów i umiał krzyczeć, a wszystko mu było jedno na kogo. Byłby krzyczał i na samego wicekróla. Mawiał do mnie nieraz w te słowa:

— Wyższego stanowiska już nie dostanę; emeryturę mam zapewnioną. Odłożyłem sobie tam z parę funtów i jeśli się moje poglądy na obowiązek komu nie podobają, każdej chwili mogę wrócić do kraju. Jestem starym człowiekiem i zawsze mówiłem otwarcie, co myślę. Teraz chodzi mi tylko o to, żeby przed śmiercią wydać za mąż moje dziewczęta.

Miał na tym punkcie lekkiego bzika. Jego trzy córki były strasznie miłe, choć zdumiewająco przypominały ojca, a w te ranki, kiedy stary Elliot budził się z ponurym przeczcuciem co do ich matrymonialnych widoków, całe biuro wyczytywało to z jego oczu i trzęsło się, ponieważ, jak mówiono, kapitan z pewnością pożre kogoś na śniadanie. Jednak owego ranka nie pożarł renegata, ale — jeśli mi wolno doprowadzić metaforę do końca — zżuł go na miazgę, że tak powiem, i — ach! wypłuł go.

Tedy w bardzo krótkim czasie ujrzałem znów potworną postać szypra, który zbiegł po stopniach w pośpiechu i zatrzymał się u zewnętrznych schodów. Przystanął blisko mnie i zamyslił się głęboko; jego wielkie, purpurowe policzki drgały. Gryzł wielki palec, a po chwili zauważył mnie i zmierzył spode łba wściekłym spojrzeniem. Trzej inni, którzy z nim wylądowali, tworzyli małą gromadkę czekającą opodal. Był wśród nich wybladły, niepozorny człowieczek z ręką na temblaku i długi osobnik w granatowym flanelowym kaftanie, suchy jak wiór i nie grubszy niż kij od szczotki; miał obwisłe, siwe wąsy i rozglądał się z niefrasobliwą głupotą. Trzecim był prosto się trzymający, barczysty młodzieniec z rękami w kieszeniach, zwrócony tyłem do tamtych dwóch, którzy zdawali się prowadzić jakąś poważną rozmowę. Patrzył poprzez pustą Esplanadę. Zniszczony, okryty pyłem powozik z żaluzjami zatrzymał się naprzeciw tej grupy i woźnica, położywszy prawą nogę na kolanie, oddał się krytycznemu przeglądowi swych palców. Młody człowiek stał nieruchomo, nie poruszając nawet głową, i patrzył po prostu w blask słońca. Oto, jak po raz pierwszy ujrzałem Jima. Wyglądał tak obojętnie i nieprzystępnie, jak to się zdarza tylko u młodych. Stał trzymając się mocno na nogach, harmonijnie zbudowany, z twarzą pełną szczerości i robił wrażenie najbardziej obiecującego chłopca pod słońcem; a gdy tak na niego patrzyłem, wiedząc o wszystkim, co on wiedział, i jeszcze oparu rzeczach poza tym, zdjął mnie gniew, jakbym go przyłapał na wyludzaniu czegoś ode mnie pod fałszywym pozorem. Nie powinien był tak wyglądać. Pomyślałem sobie w duchu — no, jeśli człowiek tego rodzaju może zjechać na psy... i zdawało mi się, że ze zmartwienia cisnę na ziemię kapelusze i podepczę go — widziałem raz, jak to zrobił szyper włoskiego barku, ponieważ jego cymbał pomocnik poplątał coś z kotwicami, gdy w biegu cumował się do boi kotwicznej na redzie pełnej statków. Zapytywałem siebie patrząc na pozorną swobodę tego chłopca — czy on jest taki ograniczony, czy też zatwardziały? Wydawało się, iż za chwilę zaczną pogwisdywać. A zważcie, że zachowanie tamtych dwóch nic a nic mnie nie obchodziło. Ich osoby pasowały jakoś do historii, która była na wszystkich językach i miała się stać przedmiotem urzędowego śledztwa.

— Ten stary bzik, ten łotr tam na górze nazwał mnie psem — rzekł kapitan „Patny”.

Nie zdaję sobie sprawy, czy mnie poznał — myślę, że raczej tak, ale w każdym razie nasze spojrzenia się spotkały. Wytrzeszczył na mnie oczy, a ja się uśmiechnąłem: pies był najłagodniejszym z epitetów, które dosięgły mnie przez otwarte okno.

— Doprawdy — rzekłem, bo dziwnie jakoś język mię świerzbił. Szyper kiwnął głową, przygryzł znów wielki palec, mruknął jakieś przekleństwo; wreszcie podniósł głowę i rzekł patrząc na mnie z posępną i zażartą bezczelnością:

— Co mi tam! Pacyfik jest wielki, mój przyjacielu. Choćbyście pękli, nic mi nie zrobicie, przekłete Angliki; wiem dobrze, gdzie się znajdzie w bród miejsca dla takiego jak jak człowieka; mam dużo znajomych w Apia, w Honolulu, w...

Urwał i namyslił się, a ja mogłem sobie wyobrazić bez trudu „znajomych”, z którymi przestawał w owych miejscowościach. Nie będę tał, że i ja także przestawałem z wielu ludźmi tej kategorii. Bywają czasy, kiedy człowiek musi postępować tak, jakby życie było jednakowo słodkie w każdym towarzystwie, przeżywałem i takie czasy, i co więcej, nie myślę teraz stroić nad tym smętnych min, gdyż niejedyn człowiek z owego złego towa-

rzystwa — wskutek braku moralnego... moralnego... jakby to powiedzieć? nastawienia lub wskutek innej, równie głębokiej przyczyny — był dwakroć ciekawszy i stokroć zabawniejszy niż zwykły szacowny kupiec-szachraj, którego zapraszacie do stołu bez żadnej istotnej potrzeby — z przyzwyczajenia, z tchórzostwa, z dobroduszości, z tysiąca przyczyn obłudnych i niewłaściwych.

— Wszyscyście dranie, wy, Anglicy — ciągnął mój patriotyczny Australijczyk ze Szczecina czy Flensburga.

Nie pamiętam już teraz, który z porządnych małych portów bałtyckich był gniazdem tego cennego ptaka.

— Jakim prawem pan na mnie krzyczy? Co? Odpowiadaj pan! Nie jesteś pan lepszy od innych, a ten stary, zbzikowany drań urządził mi wścieklą awanturę.

Opasłe cielsko szypra drżało na nogach podobnych do dwóch słupów; drżało od stóp aż do głowy. — To u was, Anglików, jest w zwyczaju wyprawianie piekielnych awantur o lada głupstwo, dlatego że się człowiek nie urodził w waszym, psiakrew, kraju. Odbierze mi świadectwo. A odbieraj sobie! Nie potrzebuję żadnego świadectwa. Taki człowiek jak ja nie potrzebuje waszych *verfluchte*⁶ świadectw. Pluję na nie. — Splunął. — Przyjmuję obywatelstwo amerykańskie — krzychał pieniać się z wściekłości i suwając nogami, jakby je chciał wyswobodzić z jakiegoś niewidzialnego, tajemniczego uchwytu, który nie pozwalał mu ruszyć z miejsca.

Taki był rozgorączkowany, że z jego okrągłej głowy literalnie się dymilo. Przyczyna, która nie pozwalała mi odejść, nie była wcale tajemnicza: ciekawość jest najbardziej zrozumiałym z uczuć i ona to właśnie trzymała mię na miejscu; pragnąłem się przekonać, jakie wrażenie wywrze wiadomość o wszystkim, co zaszło, na tym chłopcu, który z rękami w kieszeniach stał tyłem do trotuaru, spoglądając ponad trawniki Esplanady ku złotemu portykowi hotelu „Malabar”, i miał minę człowieka wybierającego się na spacer, z chwilą gdy jego kolega będzie gotów. Tak właśnie wyglądał i to było wstrętne. Czekałem, chcąc zobaczyć, jak go owa wiadomość przytłoczy, zmiesza, przebijie na wskroś; sądziłem, że będzie się wil jak chrząszcz nadziany na szpilkę — i bałem się to zobaczyć — nie wiem, czy mię rozumiecie. Nic okropniejszego, jak śledzić człowieka, który został przyłapany nie na zbrodni, lecz na gorszej niż zbrodnia słabości. Przeciętna moralna dyscyplina nie pozwala nam popełniać zbrodni — w prawnym znaczeniu tego wyrazu; ale nikt z nas nie czuje się bezpieczny wobec jakiejś słabości nieznaney — choć może podejrzewanej, tak jak w niektórych częściach świata podejrzewamy, że każdy gąszcz kryje jadowitego węża; wobec słabości, która się może przyczaić w ukryciu, czy ją śledzimy, czy też nie — od której szukamy ucieczki w modlitwie albo gardzimy nią po męsku; którą tłumimy lub też nie wiemy, że istnieje przez więcej niż pół życia. Człowiek daje się zniecka wciągać w sprawy, za które mu wymyślają, albo w sprawy trącające szubienicą, a jednak duch jego może przetrwać to wszystko — przetrwać ogólne potępienie, a nawet i strzyk — zaiste! A zdarzają się czasem rzeczy — na pozór dość blahe — które zupełnie gubią pewnych ludzi. Obserwowałem tego młodego chłopca. Podobał mi się z powierzchowności; znałem ludzi tego typu; pochodził z dobrego gniazda — był jednym z nas. Przedstawiał tu cały pokrewny mu rodzaj, kobiet i mężczyzn ani szczególnie zdolnych, ani bardzo zajmujących — ludzi, których istnienie opiera się po prostu na uczciwej wierze i instynktownej odwadze. Nie chodzi mi o odwagę wojskową ani odwagę cywilną, ani żaden specjalny rodzaj odwagi. Mam na myśli tę wrodzoną zdolność do spojżenia pokusie prosto w oczy — gotowość bynajmniej nie intelektualną, lecz pozbawioną pozy — odporność, być może, wyzbytą z wdzięku, ale bezcenną — instynktowną i błogosławioną, nieugiętość wobec zewnętrznych i wewnętrznych trwóg, wobec potęgi przyrody, wobec kuszącego ludzkiego zepsucia — nieugiętość popartą przez wiarę, która nie ulega sile faktów, niedostępna jest dla zarazy przykładu, dla ponęt idei. Precz z ideami! To są włóczęgi, łaziki, co się dobierają do tylnych drzwi duszy, aby cząstka po cząstce unosić naszą istotę; aby wykradać okruchy wiary — tej wiary w parę prostych pojęć, których człowiek musi się trzymać, jeśli chce żyć przyzwoicie i mieć lekką śmierć.

Wszystko to nie ma nic wspólnego z Jimem; ale jego wygląd był typowym wyglądem człowieka z tego zacnego, rzadkiego gatunku, który przyjemnie jest czuć wkoło siebie;

⁶*verfluchte* (niem.) — przeklęte. [przypis edytorski]

gatunek nie spaczony przez wybryki inteligencji i dziwactwa... dziwactwa, powiedzmy, nerwów. Był to rodzaj człowieka, któremu by się oddało — na podstawie jego wyglądu — statek w opiekę, mówiąc dosłownie i w przenośni. Twierdzą, że byłbym to zrobił, a powinienem się przecież znać na tym. Czyż swego czasu nie wychowałem sporo chłopców, aby służyli brytyjskiej banderze, aby uprawiali ten zawód, którego cała tajemnica da się zawrzeć w jednym krótkim zdaniu — a jednak trzeba ją wbijać dzień po dniu w młode głowy, póki się nie stanie składową częścią każdej ich myśli na jawie — póki nie zawładnie każdym snem ich młodości! Morze było dla mnie łaskawe, ale kiedy sobie przypomnę wszystkich tych chłopców, co przeszli przez moje ręce — niektórzy z nich są już dorośli, inni utonęli w morzu, a wszyscy byli dobrym materiałem na marynarzy; kiedy ich sobie przypominam, nie sądzę wcale, aby moja praca była jałowa. Gdybym jutro miał się znaleźć w kraju, założę się, że przed upływem dwóch dni jakiś opalony młody pierwszy oficer przyłapałby mnie u wejścia do któregoś z doków i zapytałby czystym, głębokim głosem: „Czy pan mnie pamięta, panie kapitanie? Przecież jestem mały ten a ten. Taki a taki okręt. To była moja pierwsza podróż”. A mnie by stanął w pamięci oniesmielony brzdąc, nie wyższy od poręczy tego krzesła, odprowadzany przez matkę, a często i dorosłą siostrę; widzę, jak stoją obie na bulwarze, bardzo spokojne, lecz zbyt wzruszone, by powiewać chustką ku statkowi, co sunie powoli między dwoma występami mola; lub może przypomniabym sobie jakiego zanego ojca w średnich latach, który przybył wcześniej, aby odprowadzić swego chłopca, i został na pokładzie przez cały ranek, okazując niezmiernie zainteresowanie wyciągiem kotwicznym; został za długo — i musi gramolić się na brzeg w ostatniej chwili, kiedy nie ma już czasu się żegnać. Pilot na rufie woła do mnie przeciągając śpiewnie: „Panie pomocniku, niech no pan przytrzyma linę na chwilę. Tu jest jeszcze jeden pan, co chce wysiąść. No, dalej, panie! Mało brakowało, abyśmy powieźli pana do Talcahuano! Teraz niech pan wysiada; powoli... Dobrze. Puszczajcie tam linę na przodzie”. Holowniki, dymiące jak otchłań potępienia, pochwyciły nas i młóca starą rzekę przyprawiając ją o wściekłość; pan na brzegu otrzepuje sobie z kurzu kolana — dobrotliwy steward rzuca za nim jego parasol. Wszystko, jak się należy. Ów pan złożył swoją ofiarę morzu, a teraz pójdzie do domu udając, że wcale o tym nie myśli — zaś ta dobrowolna ofiara w postaci jego syna bardzo będzie cierpiała na morską chorobę, nim ranek nadejdzie. Z czasem, kiedy nauczy się wszystkich mniejszych sekretów swego zawodu i jednej jego wielkiej tajemnicy — będzie zdalny do życia lub gotowy na śmierć na morzu — zależnie od jego wyroku; a człowiek, co przykładał rękę do tej szaleńczej gry, w której morze zawsze jest górą, z przyjemnością poczuje na plecach uderzenie młodej, ciężkiej ręki i usłyszy wesoly głos morskogo szczeniaka: „Czy pan mnie pamięta, panie kapitanie? Jestem mały ten a ten”.

Mówię wam — że to daje zadowolenie; świadczy, że przynajmniej raz w życiu człowiek wykonał robotę, jak się należy. Trzepnięto mnie tak nieraz w plecy; wzdrygałem się, bo uderzenie było silne, a potem cieszyłem się przez cały dzień i kładąc się do łóżka, czułem się mniej samotny na świecie dzięki temu serdecznemu trzepnięciu. Ja bym nie miał pamiętać tych smyków! Mówię wam, że chyba się znam na tym, jak przyzwoity człowiek powinien wyglądać. Byłbym powierzył temu młodzikowi statek na podstawie jednego rzuconego na niego spojrzenia, zasnąłbym najspokojniej i — jak mi Bóg miły — to by nie było bezpieczne. Całe głębie zgrozy są w tej myśli. Wyglądał pełnowartościowo jak nowa moneta — a jednak była w tym metalu jakaś szatańska domieszka. Jak dużo jej było? Tylko odrobina, kropelka czegoś niezwykłego i przekłętą — drobniutka kropelka! Gdy tak stał z tą swoją niedbałą, lekceważącą miną, zadałem sobie pytanie — czy nie jest on przypadkiem ulany z metalu bardzo pospolitego?

Trudno mi było w to uwierzyć. Pragnąłem ujrzyć jego udrękę — pragnąłem tego dla honoru mego zawodu. Tamci dwaj faceci spostrzegli swego kapitana i ruszyli z wolna w naszą stronę. Rozmawiali idąc ku nam powoli i tak zupełnie nie brałem ich pod uwagę, jakby się ich wcale gołym okiem nie dostrzegąło. Szczyrzyli zęby do siebie; opowiadali sobie pewnie jakieś kawały, o ile mogłem sądzić. Widziałem, że jeden z nich ma złamaną rękę; drugi zaś — wysokie indywidualum o siwych wąsach, główny mechanik — była to z wielu względów wcale znana osobistość. Jeden z drugim — nicość zupełna. Zbliżali się. Szyper patrzył martwo w jakiś punkt między swymi stopami; zdawało się, że spuchł do

nienaturalnych rozmiarów wskutek jakiejś okropnej choroby lub tajemniczego działania nieznanego trucizny. Podniósł głowę, ujrzał przed sobą tych dwóch czekających na niego, otworzył usta z dziwnym, szyderczym grymasem na rozdętej twarzy — pewnie, aby coś im powiedzieć — gdy wtem uderzyła go widać jakaś myśl. Jego grube, prawie fioletowe wargi zamknęły się bez dźwięku; ruszył stanowczym krokiem ku powozikowi, kołysząc się jak kaczką, i zaczął szarpać klamkę drzwiczek z tak brutalną niecierpliwością, że zdawało się — cała buda przewróci się razem z kucykiem. Woźnica, wyrwany z medytacji nad swoją stopą, ujawnił natychmiast wszystkie oznaki potężnego strachu i trzymał się kozła oburącz, patrząc na pękate cielsko torujące sobie drogę do jego wehikułu. Mały powozik trząsł się i kiwał hałaśliwie, a pochylony, szkarłatny kark szypra, objętość wyprężonych ud, olbrzymie, falujące, brudne plecy w pasy zielone i pomarańczowe, cały wysiłek tej jaskrawej i niechlujnej bryły mącił moje poczucie rzeczywistości, wywierając śmieszne i groźne wrażenie, niby groteskowe, wyraźne majaki, które przerażają i fascynują nas w gorączce. Oczekiwałem niemal, że dach się rozpadnie na dwoje, że małe pudło na kołach pęknie na kształt dojrzałego strąka bawełny — lecz tylko opadło niżej z brzękiem splaszczonych sprężyn i nagle jedna z żaluzji opuściła się grzechocząc. Ukazały się znów ramiona wciśnięte w mały otwór i wychylona głowa szypra, rozdęta i podskakująca jak balon na uwięzi, spocona, wściekła, bełkocząca. Siegał ku woźnicy wywijając wściekle opasłą pięścią, czerwoną jak kawał surowego mięsa. Ryknął na niego, żeby ruszał, żeby jechał. Dokąd? Może na sam środek Pacyfiku. Woźnica zaciął kuca, który parsknął, wspiął się na tylne kopyta i puścił z miejsca galopem. Dokąd? Do Apia? Do Honolulu? Dowódca „Patny” miał przed sobą sześć tysięcy mil pasa podzwrotnikowego, gdzie się mógł rozbijać do woli, a dokładnego adresu nie słyszałem. Parskający kuc porwał go w *Ewigkeit*⁷ w mgnieniu oka i nigdy go już nie zobaczyłem; co więcej, nie znam nikogo, kto by widział go kiedykolwiek od chwili, gdy znikł mi z oczu siedząc w małym, roztrzęsionym powoziku, który zakręcił gwałtownie na rogu ulicy w białym tumanie pyłu. Odjechał, znikł, przepadł, uszedł; i w jakiś idiotyczny sposób wyglądało to, jakby zabrał z sobą i ten powozik, bo nigdy już więcej nie zobaczyłem gniadego kuca o rozciętym uchu i niemrawego woźnicy, Tamila, o chorej nodze. Pacyfik jest wielki zaiste; nie wiem, czy szyper znalazł na nim miejsce dla rozwijania swych talentów, pozostaje jednak faktem, że uniósł się w przestrzeń jak czarownica na miotle. Mały człowieczek z ręką na temblaku zaczął tak biec za powozikiem becząc: „Kapitanie! Hej, kapitanie! He-e-aj!”, ale po kilku krokach zatrzymał się, zwiesił głowę i ruszył wolno z powrotem. Na ostry zgrzyt kół młody człowiek obrócił się na pięcie. Nie zrobił żadnego innego ruchu, gestu czy znaku i pozostał tak, zwrócony w nowym kierunku, choć powozik już zniknął.

Wszystko to zajęło znacznie mniej czasu niż moje opowiadanie, ponieważ usiłuję wytłumaczyć wam dokładnie błyskawiczne wrażenia wzrokowe. W następnej chwili zjawił się na scenie urzędnik Metys; został wysłany przez Archiego, aby się trochę zająć biednymi rozbitkami z „Patny”. Wybiegł skwapliwie z gołą głową, patrząc w prawo i lewo, bardzo swą misją przejęty. Nie miała mu się powieść, jeśli chodzi o główną osobę, lecz zbliżył się do pozostałych z hałaśliwą arogancją i wplątał się prawie natychmiast w gwałtowną kłótnię z facetem, który miał rękę na temblaku i który, jak się okazało, pożywał namiętnie awantury. Ów facet oświadczył, że ani myśli pozwolić, aby mu rozkazywano — jeszcze czego, do jasnej cholery! Nie zastraszą go łgarstwa takiego zarozumiałego mieszańca, gryzpiórka. Nie pozwoli sobą pomiatać „byle chłystkowi”, nawet jeśli by ta cała historia okazała się rzeczywiście prawdziwa. Wrzasnął, że chce, że pragnie, że musi położyć się do łóżka. Słyszałem, jak wrzeszczał: „Gdyby pan nie był zatraconym Portugalczykiem, wiedziałby pan, że moje miejsce jest tylko w szpitalu”. Podsunał pięść zdrowej ręki pod nos tamtego; zaczął się zbierać tłum; zmieszany Metys usiłując zachować miłą pełną godności tłumaczył, jak mógł, swoje zamiary. Odszedłem nie doczekawszy się końca.

Tak się jednak złożyło, że w tym samym czasie jeden z moich ludzi leżał w szpitalu, i gdy w przeddzień rozpoczęcia sprawy poszedłem go odwiedzić, zobaczyłem w oddziale dla białych owego człowieczka, który miotał się na łóżku, z ręką w łupkach, zupełnie nieprzytomny. Ku memu wielkiemu zdumieniu towarzysz jego, długi osobnik o białych,

⁷*Ewigkeit* (niem.) — wieczność. [przypis edytorski]

obwisłych wąsach, znalazł się tam również. Pamiętałem, że go widział uchodzącego chyłkiem w czasie kłótni; kroczył z powagą, suwając nogami, i starał się ze wszystkich sił nie dać poznać po sobie, że się boi. Port był mu widać znany; pomimo strapienia potrafił od razu wytropić szynk Marianiego z bilardowym pokojem koło bazaru. Ten nędzny włóczęga, Mariani, który znał mechanika i schlebiał jego nałogom już w paru innych miejscowościach, padł mu do nóg, że się tak wyrażę, i zamknął go z baterią butelek na piętrze swojej nędznej lepianki. Okazało się, iż mechanik miał jakieś niejasne obawy co do swego bezpieczeństwa, i chciał się ukryć. Mariani mówił mi w długi czas później (gdy przyszedł raz na pokład wydebić na moim stewardzie zapłatę za jakieś cygara), że bez żadnego wahania byłby zrobił dla mechanika i więcej, z wdzięczności — o ile zrozumiałem — za jakąś podejrzaną usługę, którą mu tamten wyświadczył przed wielu laty. Mariani palnął się dwakroć w muskularną pierś i potoczył olbrzymimi, czarno-białymi oczami błyszczącymi od łez: „Antonio nie zapomina — Antonio nigdy nie zapomina!” Jakiego właściwie rodzaju było to niemoralne zobowiązanie, nie dowiedziałem się nigdy, lecz tak czy owak, Mariani ułatwił mechanikowi, zdjętemu wariackim strachem, ukrycie się w zamkniętym na klucz pokoju — z krzesłem, stołem, matercem leżącym w kącie i warstwą opadłego tynku na podłodze — gdzie mógł się pokrzepiać wszystkimi możliwymi trunkami, którymi Mariani rozporządzał. Trwało to aż do wieczora trzeciego dnia, kiedy mechanik krzycząc wniebogłosy musiał szukać ratunku w ucieczce przed legionami stonóg. Wywalił drzwi, rzucił się na leb na szyję ze zmurszałych, wąskich schodków, wylądował na brzuchu Marianiego, pozbierał swoje gnaty i wypadł na ulicę jak strzała. Nazajutrz wczesnym rankiem policja podniosła go z kupy śmieci. Wyobrażał sobie z początku, że prowadzą go na szubienicę, i jak lew walczył, aby się oswobodzić; ale gdy zasiadłem przy jego łóżku, leżał już od dwóch dni bardzo cicho. Jego chuda, opalona na brąz twarz z białymi wąsami wyglądała na poduszce pięknie i spokojnie jak twarz wycieńczonego przez wojnę żołnierza o dziecięcej duszy; lecz w bezbarwnym połysku spojrzenia czyhał cień upiornego niepokoju, podobny do zgrozy wcielonej w jakąś nieokreśloną postać, czającą się po cichu za taflą szkła. Był taki spokojny, że oddałem się dziwacznej nadziei, iż usłyszę od niego jakieś komentarze do rozgłosnej historii z „Patną”. Dlaczego pragnąłem się grzebać w oplakanych szczegółach wypadku, który właściwie obchodził mnie tylko jako członka nieznannej ludzkiej społeczności, zjednoczonej przez wspólny niesławny znój i wierność dla pewnej modły postępowania — tego wytłumaczyć nie umiem. Może wam się podoba nazwać to jakąś niezdrową ciekawością; lecz ja mam wrażenie, że chciałem do czegoś dotrzeć. Może tkwiła we mnie podświadoma nadzieja, że znajdę to coś, tę jakąś głęboką, odkupiającą przyczynę, miłosierne wyjaśnienie, cień przekonywującej wymówki. Widzę teraz dokładnie, że pragnąłem niemożliwości, że usiłowałem odżegnać coś, co jest najuporczywszym z upiórów stworzonych przez człowieka: jątrzące zwątpienie, które się podnosi jak mgła, a mrozi bardziej niż pewność śmierci, ukryte i toczące niby robak — zwątpienie o tym, że istnieje władająca nami potęga uznana jako ustalony wzór postępowania. Takie zwątpienie jest najniebezpieczniejszą z przeszkód, o które człowiek może się potknąć; wywołuje wrzaskliwy popłoch i dobroduszne, spokojne podłostki; jest widmem prawdziwej klęski. Czyżbym wierzył wówczas w możliwość cudu? I dlaczego pragnąłem go tak gorąco? Czy ze względu na samego siebie pragnąłem znaleźć choćby cień czegoś, co by mogło wytłumaczyć postępek Jima — tego Jima, którego nigdy przedtem nie widziałem? Już sam jego wygląd sprawił, że rozmyślając o jego załamaniu się, zainteresowałem się nim głęboko, że jego postępek był dla mnie tajemnicą pełną grozy — jakby przeblyskiem zgubnego losu czyhającego na nas wszystkich — których młodość była ongi podobna do jego młodości. Obawiam się, że na tym właśnie polegał tajny powód mego wścibstwa. Oczekiwałem zaprawdę cudu. Jedyna rzecz, która teraz, z odległości czasu, uderza mnie jako zakrawająca na cud, to bezmiar mojej głupoty; bo miałem wówczas doprawdy nadzieję, że uzyskam od tego pogiębionego, mglistego osobnika egzorcyzm przeciwko duchowi zwątpienia. A przy tym musiałem być doprawdy szalony, bo nie tracąc czasu — po kilku uprzejmych i przyjaznych zdaniach, na które maszynista odpowiedział z gotowością, osłabłym głosem, jak przystoi dobrze wychowanemu choremu — wyjechałem ze słowem „Patna”, owiniętym w delikatne pytanie, niby w puch jedwabnej przędzy. Moja delikatność płynęła z egoizmu — nie chciałem chorego spłoszyć; troskliwość nie miała z tym nic wspólnego; anim się na niego wściekał, anim go żałował; jego przeżycia by-

ly bez znaczenia, jego zbawienie nic by mnie nie obeszło. Postarzał się wśród drobnych podłostek i nie mógł już wzbudzać ani wstrętu, ani litości. Powtórzył pytająco: „Patna?”, zdawał się wyteżać przez chwilę pamięć i rzekł:

— Aha. Znam to wszystko jak własną kieszeń. Widziałem, jak tonęła.

Chciałem dać ujście swemu oburzeniu wobec tego idiotycznego kłamstwa, gdy dodał gładko:

— Pełna była gadów.

To mię zatrzymało. Co on chciał przez to powiedzieć? Miałem wrażenie, że niepokojny upiór strachu znieruchomiał za jego szklistym wzrokiem i tęsknie spojrzał mi w oczy.

— Wyrzucili mię z koi podczas nocnej wachty, żebym widział, jak tonie — dodał z namysłem.

Głos jego zabrzmiał nagle z niepokojącą siłą. Zawstydzilem się swojej głupoty. W perspektywie sali nie dostrzegało się śnieżnoskrzydłego kornetu pielęgniarce, lecz daleko, pośród długiego rzędu pustych żelaznych łóżek, jakiś człowiek, który uległ wypadkowi na statku w Roads, dźwignął się na posłaniu, opalony i chudy, z czołem przewiązanym bandażem na ukos. Nagle mój interesujący chory wyciągnął gwałtownie ramię cienkie jak u ośmiornicy i wpił mi się palcami w łokieć:

— Tylko moje oczy mogły to dostrzec. Jestem znany ze swego wzroku. Pewnie dlatego mnie zawołali. Żaden z nich nie miał dość bystrych oczu, aby dojrzeć, jak „Patna” tonie, ale przekonali się jednak, że zatoneła, i krzyknęli wszyscy razem — o tak... — Wycie podobne do wilczego przejęło mię do szpiku kości.

— Ach, niechże pan zatka mu gębę — irytował się płaczliwie człowiek, który uległ wypadkowi.

— Zdaje się, że pan mi nie wierzy — ciągnął tamten z niesłychanie zarozumiałą miną. — Mówię panu, nie ma takich oczu jak moje po tej stronie Zatoki Perskiej. Niech pan zajrzy pod łóżko.

Naturalnie, schyliłem się natychmiast. Któż by tego nie zrobił?

— Co pan tam widzi? — rzekł.

— Nic — odpowiedziałem i zawstydzilem się strasznie samego siebie. Spojrzał na mnie badawczo z dziką i miażdżącą pogardą.

— Otóż to właśnie — powiedział — ale gdybym ja tam spojrzał, to bym zobaczył — mówię panu, nie ma takich oczu jak moje. — Wpił mi się znowu w ramię i ciągnął mię ku sobie szukając ulgi w poufnym zwierzeniu: — Miliony różowych ropuch. Nie ma takich oczu jak moje. Miliony różowych ropuch. To jest gorsze niż widok tonącego statku. Mógłbym cały dzień patrzeć na tonące statki i palić fajkę. Dlaczego mi nie oddadzą mojej fajki? Paliłbym sobie pilnując tych ropuch. Statek był pełen ropuch. Pan rozumie, ich trzeba pilnować!

Mrugnął jowialnie. Pot kapął na niego z mojej głowy, dymkowa kurtka przylepiła mi się do mokrych pleców; wieczorny powiew przebiegł gwałtownie nad łózkami, sztywne fałdy firanek poruszyły się grzechocząc na mosiężnych prętach, kapy okrywające szereg pustych łóżek powiewały bezszelestnie tuż nad gołą podłogą, a mnie przejął dreszcz do szpiku kości. Łagodny powiew tropikalny igrał posępnie w tej pustej sali jak zimowy wichur w Anglii hulający po pustej stodole.

— Niech pan nie pozwoli mi więcej ryczeć — zawołał z daleka ranny z rozpaczą i gniewem, a głos jego rozbrzmiał wśród tych ścian, drgając niby krzyk w tunelu. Szpony wbite w ramię przyciągały mię; mechanik patrzył na mnie znacząco z ukosa.

— Okręt był ich pełen, uważa pan, a myśmy musieli zmiatać chyłkiem — szepnął niezmiernie szybko. — Wszystkie różowe. Wszystkie różowe, wielkie jak brytany, z jednym okiem na wierzchu głowy i szponami naokoło brzydkich pysków. Brr! Brr!

Szybkie wstrząsy, jakby wywołane elektrycznym prądem, ujawniły pod płaską kołdrą zarys chudych, niespokojnych nóg; mechanik puścił moje ramię i sięgnął po coś w powietrze; drżał na całym ciele, wyprężony niby trącona struna harfy; a gdy tak z góry na niego patrzyłem, przyczajony upiór zgrozy przedarł się przez jego szklisty wzrok. W jednej chwili ta twarz starego żołnierza, o szlachetnych, spokojnych rysach, uległa w mych oczach rozkładowi, skażona przez podstępny chytry, przez wstrętą ostrożność, przez rozpaczliwy strach. Powstrzymał się od krzyku.

— Szszsz! Co robią teraz tam w dole? — zapytał wskazując na podłogę z niesłychaną ostrożnością w głosie i ruchu. Ponury błysk zrozumienia ukazał mi nagle, co znaczy właściwie ta ostrożność; przejął mię wstręt do własnej przenikliwości.

— Śpią — odpowiedziałem śledząc go bacznie. Otóż to. Chciał właśnie to usłyszeć; było to jedyne słowo, które mogło go uspokoić. Odetchnął głęboko.

— Szszsz! Spokojnie, spokojnie. Jestem w tym kraju jak u siebie. Znam te bestie. Po łbie pierwszego, który się ruszył! Takie ich mnóstwo, a statek nie utrzyma się na wodzie dłużej niż dziesięć minut. — Zaczął znów głośno dyszeć. — Bywaj! — wrzasnął nagle i ciągnął dalej jednostajnym krzykiem: — Zbudzili się wszyscy — miliony ich, miliony! Tratują mnie! Czekajcie, ach, czekajcie! Będę ich rozgniatał kupami, jak muchy! Czekajcie na mnie! Ratunku! Ra-tun-ku!

Przeciągłe wycie bez końca dopełniło mojej porażki. Widziałem z dala, jak ranny podniósł żałośnie obie ręce do obandażowanej głowy; sanitariusz w fartuchu sięgającym po brodę ukazał się w głębi sali; widać go było jakby przez odwrócony teleskop. Uznałem się za bezwzględnie pokonanego i, nie zwlekając dłużej, uciekłem na zewnętrzną galerię wychodząc przez jedno z długich okien. Wycie ścigało mię jak zemsta. Skręciłem na puste schody i nagle zapanowały wokół spójność i cisza; szedłem po nagich, połyskliwych stopniach wśród milczenia, które mi pozwoliło zebrać rozproszone myśli. Na dole spotkałem jednego ze szpitalnych chirurgów; przechodził przez podwórze i zatrzymał mię.

— Odwiedzał pan swego człowieka, co, kapitanie? Chyba jutro go wypuścimy. Tylko że te bałwany nie wiedzą, jak się potem należy zachować! — Wie pan, mamy tu pierwszego mechanika, który był na tym statku z pielgrzymami. Ciekawy wypadek. *Delirium tremens* najgorszego rodzaju. Pił na umór trzy dni w szynku tego Greka czy Włocha. Musiało się tak skończyć. Dzień w dzień cztery butelki tej tam ich wódki, jak mi mówiono. Nadzwyczajne, jeśli to prawda. Ten człowiek ma chyba wewnątrz z hartownego żelaza. Przytomności oczywiście ani śladu, ale co najciekawsze w tym wszystkim, to pewna metoda w jego majaczeniach. Staram się ją wykryć. Bardzo niezwykle, ta nić logiki w tego rodzaju bredzeniu. Właściwie powinien widzieć węże, ale nic podobnego. Dobre stare tradycje biorą w łeb w dzisiejszych czasach. Tak! Jego — hm — wizje dotyczą płazów. Cha, cha! Doprawdy, mówiąc poważnie, nie pamiętam, aby mię kiedy wypadek *delirium tremens* tak zainteresował. Powinien był umrzeć, uważa pan, po takich libacjach. Oho! twardą ma skórę. A w dodatku spędził dwadzieścia cztery lata między zwrotnikami. Niechże pan doprawdy rzuci na niego okiem. Ten stary opój ma bardzo szlachetną minę. Nie spotkałem nigdy tak niezwyklego człowieka — z punktu widzenia medycznego, oczywiście. No, pójdzie pan?

Przez cały czas ujawniałem zwykle, uprzejme oznaki zaciekawienia, lecz teraz szepnąłem coś z ubolewaniem o braku czasu i uściśnięciem mu śpiesznie rękę.

— Panie kapitanie — zawołał za mną — on nie może się stawić na to śledztwo. Jak pan myśli, czy jego zeznania są ważne?

— Ale skądże znowu! — odkrzyknąłem mu z bramy.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Władze były najwidoczniej tego samego zdania. Śledztwo nie zostało odroczone. Rozpoczęło się w oznaczonym dniu, aby zadośćuczynić prawu, a publiczność uczęszczała nań licznie, gdyż interesowano się sprawą ze względu na jej ogólnoludzki charakter. Nie było żadnej wątpliwości co do faktów, to znaczy co do jednego materialnego faktu. Jakim sposobem „Patna” została uszkodzona, niepodobna było wykryć i trybunał wcale się tego nie spodziewał, a wśród całej publiczności nikogo to nie obchodziło. Ale jak już wspomniałem, wszyscy marynarze z portu byli obecni na sali, a i przedstawiciele nadbrzeżnego handlu zjawili się w komplecie. Świadomie lub też nieświadomie, przybyli pod wpływem ciekawości czysto psychologicznej; spodziewali się jakiejś zasadniczej rewelacji co do siły, potęgi, grozy ludzkich wzruszeń. Oczywiście, nic podobnego nie mogło się ujawnić. Badanie jedynego człowieka, który mógł i chciał poddać się śledztwu, obracało się jałowo naokoło dobrze znanego faktu, a gra w zadawanie pytań była równie pouczająca jak stukanie młotkiem w żelazną skrzynkę, aby się przekonać, co tam jest w środku. Jednakże oficjalne śledztwo nie mogło przebiegać inaczej. Przedmiotem badań nie było zasadnicze:

dłaczego, ale powierzchowne: *jak* to się stało.

Ów młody człowiek mógłby to wyjaśnić i choć publiczność tylko tym się interesowała, pytania zadawane świadkowi odwoływały go z konieczności od tego, co — według mego zdania na przykład — było jedyną prawdą wartą poznania. Nie można wymagać od urzędowych władz, aby wglądały w stan duszy człowieka — a choćby tylko w stan jego wątroby. Ich sprawą było rozpatrywać skutki i szczerze mówiąc, pierwszy lepszy sędzia pokoju i dwóch asesorów nie nadają się tak bardzo do czegoś innego. Nie chcę przez to powiedzieć, aby to byli durnie. Sędzia wykazywał wielką cierpliwość. Jeden z asesorów, kapitan żaglowca, miał rudawą brodę i odznaczał się pobożnością. Drugim był Brierly. Wielki Brierly. Niejeden z was musiał słyszeć o Wielkim Brierly'm — kapitanie najszybkniejszego statku z linii Blue Star. To właśnie ten.

Wydawał się piekielnie zdruzony zaszczytem, który mu narzucono. Nigdy w życiu nie popełnił żadnego błędu, nie spotkał go żaden przykry wypadek ani niefortunny zbieg okoliczności, ani przeszkoda w spokojnym wznoszeniu się w górę; wyglądał na jednego z tych szczęśliwych ludzi, którzy nie wiedzą nic o braku decyzji, a jeszcze mniej o braku wiary w siebie. Mając trzydzieści dwa lata dostał dowództwo — jedno z najlepszych we wschodnim handlu — i co więcej, bardzo był swym powodzeniem przejęty. Uważał, że jego kariera jest czymś jedynym w świecie, i prawdopodobnie, gdyby go był kto spytał prosto z mostu, wyznałby, że jego zdaniem nie ma w ogóle takiego jak on dowódcy. Wybór padł na właściwego człowieka. Reszta ludzkości, która nie dowodziła stalowym parowcem „Ossa”, robiącym szesnaście węzłów, była godna pożałowania. Brierly ocalił życie wielu ludziom na morzu, ratował nieraz tonące okręty, miał złoty chronometr ofiarowany przez akcjonariuszy i lornetkę z odpowiednim napisem od jakiegoś obcego rządu na pamiątkę tych czynów. Oceniał najdokładniej swoje zasługi i nagrody, które za nie otrzymał. Dosyć go lubiłem, choć wielu z moich znajomych — i to potulnych, dobrodusznych ludzi — nie mogło wprost go znieść. Nie mam żadnych wątpliwości, że uważał się za daleko bardziej wartościowego ode mnie; doprawdy, sam Cesarz Wschodu i Zachodu musiałby się czuć pyłkiem w jego obecności — ale jakoś nie mogłem się zdobyć na prawdziwe uczucie obrazy. Nie pogardzał mną za coś, co było we mnie, co przedstawiałem — czy rozumiecie? Nie wchodziłem w rachubę po prostu dlatego, że nie byłem najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi, kapitanem Montague Brierly, dowódcą „Ossy”, że nie posiadałem złotego chronometru z podpisanymi i oprawnej w srebro lornetki, świadczących o mej doskonałości jako marynarza i o mym niepohamowanym męstwie; że nie miałem dokładnego poczucia swych zasług i należnej mi za nie nagrody, nie mówiąc już o miłości i przywiązaniu czarnego wyżła, które on też posiadał — najpiękniejszego wyżła, jakiego sobie można wyobrazić: nigdy jeszcze równie piękny pies nie ubóstwiał takiego jak Brierly człowieka. Nie ma dwóch zdań, narzucanie człowiekowi tego wszystkiego było naprawdę drażniące; ale gdy przyszło mi na myśl, że dzielę swój smutny los z tysiącem dwustu milionami mniej lub więcej ludzkich stworzeń, przekonywałem się, iż mogę udźwignąć ciężar dobrodusznej i pogardliwej litości kapitana Brierly ze względu na coś nieokreślonego i pociągającego w tym człowieku. Nigdy nie zdałem sobie sprawy, na czym to polegało, ale były chwile, kiedy mu zazdrościłem. Żądło życia tyle znaczyło dla jego duszy pełnej zadowolenia, co drapnięcie szpilką po gładkim obliczu skały. To było godne zazdrości. Gdy się przypatrywałem kapitanowi Brierly — siedzącemu obok skromnego sędziego o bladej twarzy, który przewodniczył śledztwu — miałem uczucie, że zadowolenie z siebie Brierly'ego zwraca się ku mnie i ku całemu światu powierzchnią twardą jak granit. Wkrótce potem popełnił samobójstwo.

Nic dziwnego, że sprawa Jima go nudziła, a kiedy rozmyślałem z uczuciem podobnym do trwogi, jak olbrzymią pogardę musi czuć ten człowiek dla młodzieńca poddanego badaniu, Brierly przeprowadzał prawdopodobnie śledztwo we własnej sprawie. Wyrok uznał snadź winę bez okoliczności łagodzących, a skazaniec zabrał z sobą tajemnicę dokonanego przestępstwa skoczywszy w morze. Jeśli się trochę na ludziach rozumiem, chodziło tu z pewnością o rzecz największej doniosłości — o jeden z tych drobiazgów budzących do życia myśl, z którą niepodobna żyć człowiekowi nienawykłemu do takiego towarzystwa. Wiem na pewno, że nie wchodziły tu w grę pieniądze ani nadużycie trunków, ani kobieta. Skoczył ze statku w morze zaledwie w tydzień po ukończonym śledztwie, a w niecałe

trzy dni po opuszczeniu portu w drodze na Wschód; jak gdyby właśnie w tym miejscu wśród oceanu spostrzegł nagle wrota tamtego świata rozwarte na swoje przyjęcie.

Nie stało się to jednak pod wpływem nagłego porywu. Siwowłosego oficera Brierly'ego, marynarza, pierwszorzędnego, bardzo miły w obejściu z obcymi, lecz w stosunku do swego komendanta najopryskliwszy oficer, jakiego spotkałem, opowiedział mi tę całą historię ze łzami w oczach. Podobno, kiedy przyszedł na pokład nad ranem, Brierly pisał w kajucie nawigacyjnej.

— Była wtedy czwarta za dziesięć — mówił oficer — a środkowa wachta jeszcze się, naturalnie, nie skończyła. Kapitan usłyszał, jak mówiłem na mostku do drugiego oficera, i zawołał mnie. Poszedłem bardzo niechętnie; powiem panu całą prawdę — nie mogłem znieść biednego kapitana Brierly. Mówię to panu ze wstydem; nie wiadomo nigdy, co tkwi w człowieku. Wyprzedził w swej karierze zbyt wielu ludzi, nie licząc mnie samego, i miał taki jakiś przekłety zwyczaj wytykania człowiekowi jego małości, choćby tylko przez sposób, w jaki mówił dzień dobry. Nie zwracałem się do niego nigdy, chyba tylko w kwestiach służbowych, a wówczas robiłem, co mogłem, aby utrzymać język za zębami. (Pochlebiał sobie. Dziwiłem się często, jak Brierly mógł znieść jego maniery dłużej niż przez połowę podróży). Mam żonę i dzieci — ciągnął — i dziesięć lat byłem w spółce, spodziewając się zawsze, że dostanę następne wakujące dowództwo; byłem głupi. A więc mówi on do mnie w te słowa tym swoim nadętym głosem: „Niech pan tu wejdzie, panie Jones, niech pan tu wejdzie”. No więc wszedłem. „Oznaczmy pozycję statku” — mówi dalej, nachylając się nad mapą z cyrkiem w ręku. Według obowiązujących przepisów oficer opuszczający pokład byłby to zrobił przy końcu swej wachty. Jednak nic nie odrzekłem i przypatrywałem się, jak znaczył położenie statku drobnymi krzyżykami, wpisując datę i godzinę. Widzę go jeszcze w tej chwili, gdy pisze porządnymi literkami: siedemnaście, osiem, czwarta A. M.⁸ Rok był zawsze napisany czerwonym atramentem u góry mapy. Kapitan Brierly nie używał nigdy swych map dłużej niż rok, gdzieżby zaś. Mam teraz tę mapę. Kiedy skończył, nie poruszył się wcale i patrzył na zrobiony znaczek uśmiechając się do siebie, po czym spojrzał ku mnie w górę: „Jeszcze trzydzieści dwie mile tego kursu — mówi — i wszystko w porządku; będzie pan mógł zmienić kierunek o 20 stopni na południe”.

Właśnie wtedy mijaliśmy Hector Bank od północy. Mówię mu: „Tak, panie kapitanie”, dziwiąc się, dlaczego się o to kłopotuje, i tak musiałem go wezwać przed zmianą kursu. Akurat wówczas dzwon uderzył osiem razy; wyszliśmy na mostek i drugi oficer, jak zwykle przed odejściem, oznajmił: „Siedemdziesiąt jeden na logu”. Kapitan Brierly rzucił okiem na kompas i rozejrzał się wkoło. Było ciemno i pogodnie, widać było wszystkie gwiazdy tak wyraźnie jak w mroźną noc na wysokich szerokościach geograficznych. Nagle mówi jak gdyby z lekkim westchnieniem: „Idę na rufę i sam dla pana ustawię wskazówkę logu na zero, żeby nie było żadnej pomyłki. Trzydzieści dwie mile jeszcze na tym kursie i jest pan bezpieczny. Zobaczmy — poprawka logu wynosi sześć procent *in plus*⁹, więc, powiedzmy, jeszcze o trzydzieści mil w tym kierunku i może pan zmienić kurs o dwadzieścia stopni na stronę podwietrzną. Nie trzeba tracić na dystansie, prawda?” Nie słyszałem nigdy, aby mówił jednym ciągiem tak długo i to zupełnie bez celu, jak mi się wydało. Nic nie odpowiedziałem. Zszedł po drabinie, a pies, który włóczył się wszędzie za kapitanem, gdziekolwiek się ten ruszył w nocy czy we dnie, zsunął się za nim nosem naprzód. Słyszałem odgłos obcasów: tup, tup, na tylnym pokładzie; kapitan się zatrzymał i rzekł do psa: „Wracaj, Korsarz. Na mostek, stary! No, dalej, marsz!” Potem zawołał do mnie z ciemności: „Panie Jones, niech no pan zamknie psa w kajucie nawigacyjnej, dobrze?”

Słyszałem wówczas jego głos po raz ostatni, panie kapitanie. To były ostatnie słowa, które powiedział i które usłyszała żyjąca istota ludzka. — Tu głos starego stał się niepewny. — Bał się, żeby biedne zwierzę za nim nie skoczyło, rozumie pan? — ciągnął z drżeniem. — Tak, panie kapitanie. Nastawił dla mnie log; i — czy pan uwierzy? — wpuścił do niego kropkę oliwy. Oliwiarka leżała tam, gdzie ją zostawił, obok logu. O wpół do szóstej pomocnik bosmana wyciągnął na rufę węża, aby myć pokład, ale wkrótce rzucił węża

⁸A. M. — skrót od łac. *ante meridiem* (przed południem), używany powszechnie w jęz. angielskim. [przypis edytorski]

⁹*in plus* (łac.) — na plus. [przypis edytorski]

i wbiegł na mostek. — „Panie Jones, może pan przyjdzie na rufę — mówi. — Taka tam jest dziwna rzecz. Wolę jej nie dotykać”. Był to złoty chronometr kapitana Brierly, przywiązany starannie łańcuszkiem do poręczy.

Gdy tylko moje oczy na niego padły, coś mnie tknęło i już wiedziałem, panie kapitanie. Nogi się ugięły pode mną. Jakbym go widział wyskakującego za burtę; i mogłem powiedzieć, jak daleko pozostał w tyle. Log na rufie pokazywał osiemnaście mil i trzy czwarte, a naokoło głównego masztu brakowało czterech żelaznych kołków. Włożył je pewno do kieszeni, żeby pójść na dno; ale, Boże wielki, cóż to jest cztery nagle¹⁰ dla człowieka o tak potężnej budowie jak kapitan Brierly! Może jego wiara w siebie zachwiała się trochę w ostatnich czasach. Jedyna to oznaka braku równowagi, którą ujawnił w ciągu całego życia, jak sądzę; a gotów jestem ręczyć, że kiedy znalazł się w morzu, nie usiłował płynąć ani przez chwilę — gdyby zaś wypadł za burtę niechcący, byłby miał dosyć odwagi, żeby na chybił trafił utrzymać się przez cały dzień na powierzchni. Tak, panie kapitanie. On nie ustępował nikomu — jak to raz powiedział do samego siebie, co na własne uszy słyszałem. Napisał dwa listy podczas nocnej wachty, jeden do spółki, a drugi do mnie. Dawał mi tam mnóstwo wskazówek co do podróży — choć pracowałem w swoim zawodzie, kiedy go jeszcze nie było na świecie — i instrukcje bez końca, jak mam postępować z naszą zwierzchnością w Szanghaju, aby zachować dla siebie dowództwo „Ossy”. Pisał jak ojciec do ukochanego syna, panie kapitanie, a ja byłem starszy od niego o dwadzieścia pięć lat i zakosztowałem słonej wody, kiedy on jeszcze koszulę w zębach nosił. W liście do armatorów — nie zakleił go, abym mógł przeczytać — pisał, że spełniał zawsze wszystkie swoje względem nich obowiązki — aż do tej chwili — a nawet i teraz nie zawiódł ich zaufania, ponieważ zostawia okręt najtęższemu marynarzowi, jakiego mogą znaleźć — mówiąc o mnie, panie kapitanie, mówiąc o mnie! Pisał dalej, że jeśli ostatni jego postępek nie pozbawi go w ich oczach całego szacunku, to ocenią należycie moją wierną służbę i jego gorące polecenie, gdy będą obsadzali miejsce opróżnione przez jego śmierć. I jeszcze dużo więcej rzeczy w tym sensie, panie kapitanie. Nie chciałem wierzyć własnym oczom. I tak dziwnie mi było — ciągnął stary już zupełnie rozklejony, rozgniatając coś w kąciku oka końcem wielkiego palca szerokiego jak szpachla. — Wyglądało na to, panie kapitanie, że skoczył za burtę tylko po to, aby dać pechowcowi ostatnią sposobność do wybicia się. Tak mną wstrząsnęła ta jego nagła, okropna śmierć, a przy tym i myśl, że zrobiłem przez to karierę! Przez tydzień chodziłem jak kołowaty. Ale nic z tego! Kapitan „Pelionu” został przeniesiony na „Ossę” — wsiadł na statek w Szanghaju — taki mały fircyk w popielatym garniturze w kratki, z rozdziałkiem przez środek głowy. „Hm... jestem, hm... pańskim nowym kapitanem, panie, panie... hm, Jones”. Tonął w perfumach, po prostu cuchnął perfumami. Tak mi się coś zdaje, że jąkał się pod wzrokiem, który w nim utkwilem.

Szepnął coś o moim zrozumiałym rozczarowaniu — lepiej, żeby się dowiedział od razu, iż jego starszy pomocnik dostał dowództwo „Pelionu” — on sam nie miał z tym naturalnie nic wspólnego — prawdopodobnie w biurze orientują się najlepiej — przykro mu, że... A ja na to: „Co tu gadać o starym Jonesie, panie kapitanie, on jest, psiakrew, tego zwyczajny”. Spozrzegłem od razu, że obraziłem jego subtelne uszy, a gdyśmy siedzieli razem przy pierwszym lunchu, zaczął w brzydki sposób czepiać się to tego, to owego na okręcie. Nie słyszałem jeszcze nigdy tak błazeńskiego głosu. Zacisnąłem zęby, wbilem oczy w talerz i trzymałem język za zębami tak długo, jak mogłem to ścierpieć, w końcu jednak musiałem coś odpowiedzieć; a ten, jak się nie zerwie, jak nie najeży tych swoich ładnych piórek, niby walczący kogucik: „Przekona się pan, że nie z kapitanem Brierly ma pan do czynienia!” — „Już się przekonałem” — ja na to; posępnie mi było na duszy, ale udawałem, że bardzo jestem zajęty swoim kotлетem. „Stary gbur z pana, panie — tego — Jones; i co więcej, wszyscy wiedzą dobrze o tym” — skrzeknął do mnie. Pomywacze, psiakrew, stali naokoło słuchając z gębami rozdziawionymi od ucha do ucha. „Może i mam twardą skórę — odpowiadam — ale nie do tego stopnia, żeby znieść widok pana siedzącego na miejscu kapitana Brierly”. Co rzekłszy, składałem nóż i widelec. „Pan sam chciałby na nim siedzieć, ot co w trawie piszczy!” — zaszydził.

¹⁰nagel (niem.) — gwóźdź, kolek. [przypis edytorski]

Wyszedłem z kajuty, zebrałem swoje graty i znalazłem się na bulwarze z całym dobytkiem u nóg, zanim ładownicy okrętowi zabrali się znów do roboty. Tak. Bez pracy — na brzegu — po dziesięciu latach służby, a o sześć tysięcy mil biedna kobiecina i czworo dzieci czekały na moją pensję, żeby mieć co do ust włożyć. Tak, panie kapitanie! Kopnąłem to, żeby nie słuchać, jak wymyślają na kapitana Brierly. Zostawił mi swoją nocną lornetkę — oto jest; i życzył sobie, abym się zaopiekował jego psem — oto on. Pójdź tu, Korsarz — biedna psina. Gdzie jest kapitan, Korsarz? — Pies spojrzał na nas w górę posępny żółtymi oczami, szczechnął żałośnie i wczuł się pod stół.

Wszystko to się działo przeszło dwa lata później, na pokładzie tego morskiego grata „Królowej Ognia”, której dowództwo Jones dostał — także dziwnym przypadkiem — od Mathersona (nazywano go ogólnie szalonym Mathersonem) — tego samego, który włóczył się często po Haifongu, pamiętacie, jeszcze przed okupacją. Staruszek mówił dalej, pociągając nosem:

— Tak, proszę pana, o kapitanie Brierly będzie się tu zawsze pamiętało, nawet jeśli go gdzie indziej zapomną. Napisałem obszerny list do jego ojca i nie dostałem ani jednego słowa odpowiedzi — ani: dziękuję, ani: idź do diabła — nic! Może woleli o tym wcale nie wiedzieć.

Widok starego Jonesa we łzach, obcierającego łysą głowę czerwoną bawełnianą chustką, żalosne szczekanie psa, niechlujstwo tej rojącej się od much kabiny, która była jedynym relikwiarzem wspomnień o Brierly’em — wszystko to rzuciło zasłonę niezmiernie pospolitego tragizmu na pamiętną mi jego postać; była to pośmiertna zemsta losu za tę jego wiarę w swoją doskonałość, wiarę, która go prawie że pozbawiła uzasadnionej grozy życia. Prawie! A może i zupełnie. Bo któż może wiedzieć, do jakiego stopnia pochlebiał Brierly’emu własny sąd o zamierzonym samobójstwie?

— Dlaczego on popełnił to szaleństwo, jak pan to sobie wyobraża, kapitanie? — zapytał Jones składając ręce. — Dlaczego? To niepojęte! Dlaczego? — Uderzył się po niskim i pomarszczonym czole. — Gdyby był biedny i stary, i zadłużony, gdyby mu się nie powiodło w życiu albo gdyby był zwariował! Ale on nie należał do tych, co wariują — nic podobnego. Może mi pan wierzyć. Czego pomocnik nie wie o swoim szyprze, tego w ogóle wiedzieć nie warto. Młody, zdrowy, bogaty, żadnych kłopotów... Siedzę tu czasem i myślę, i myślę, aż głowa mi pęka. On miał jakiś powód do tego.

— Może pan być pewien, kapitanie, że ten jakiś powód nie byłby tak bardzo obszedł ani mnie, ani pana — rzekłem; i nagle biedny stary Jones znalazł na koniec słowo zdumiewającej mądrości, jakby mu coś zaświtało w mętnej mózgowicy. Wytarł nos i rzekł kiwając boleśnie głową:

— Tak, tak! Ani pan, ani ja, kapitanie, nigdyśmy tyle o sobie nie trzymali.

Wspomnienie mej ostatniej rozmowy z Brierly’em zabarwione jest, naturalnie, świadomością jego śmierci, która nastąpiła tak krótko potem. Mówiłem z nim ostatni raz podczas tej sprawy toczącej się w sądzie, po pierwszym posiedzeniu, kiedyśmy wyszli razem na ulicę. Był podrażniony, co zauważyłem ze zdziwieniem, ponieważ zwykle, gdy zaczął rozmawiać, zachowywał się spokojnie z odcieniem żartobliwej wyrozumiałości, jakby istnienie jego interlokutora było czymś w rodzaju dobrego kawału.

— Naciągnęli mnie na to śledztwo, jak pan widzi — zaczął i rozwodził się nad tym przez chwilę, żaląc się na niewygodę codziennego przebywania w sądzie. — I Bóg wie, jak długo to jeszcze będzie trwało. Pewnie ze trzy dni. — Wysłuchałem go w milczeniu, co według mnie jest równie dobrym sposobem imponowania jak każdy inny. — I po co to wszystko? To najgłupsza historia, jaką sobie można wystawić — ciągnął zapalczywie. Zwróciłem mu uwagę, że nie miał tu wyboru. Przerwał mi z pewnego rodzaju hamowaną gwałtownością: — Czuję się przez cały czas jak głupi. — Podniosłem na niego oczy. Posunął się bardzo daleko jak na Brierly’ego, który mówił o Brierly’em. Zatrzymał się, chwycił mię za kłapę marynarki i z lekka pociągnął. — Dlaczego my dręczymy tego młodzika? — rzekł. Pytanie to pokrywało się tak zupełnie z myślą, która wciąż mi chodziła po głowie, że odpowiedziałem natychmiast, mając na oczach uciekającego renegata:

— Nie mam zielonego pojęcia — chyba dlatego, że się dręczyć pozwala.

Zdumiało mnie, iż pojął w lot, co chciałem powiedzieć, choć moja myśl powinna była mu się wydać dość niejasna. Rzekł gniewnie:

— No, naturalnie. Czyż on nie widzi, że się ten nędznik ulotnił, ten jego szyper? Na co on właściwie czeka? Nic go nie może ocalić. To człowiek zgubiony. — Uszliśmy kilka kroków w milczeniu. — Po co karmię nas tym całym brudem? — wykrzyknął ze wschodnią energią wyrazu — prawie jedynym rodzajem energii, której ślady można napotkać na wschód od pięćdziesiątego południka.

Zdziwił mię kierunek jego myśli, ale teraz mocno podejrzewam, że to, co mówił, odzwierciedlało stan jego psychiki; w głębi ducha biedny Brierly musiał myśleć o sobie samym. Zaznaczyłem, iż szyper „Patny” porósł w pierze — co było ogólnie znane — i mógł prawie wszędzie zdobyć środki na podróż. Z Jimem było inaczej; rząd trzymał go na razie w Domu Marynarza, ale chłopak nie miał pewnie w kieszeni złamanego szeląga. Ucieczka przecież zawsze kosztuje.

— Czy doprawdy? Nie, nie zawsze — rzekł śmiejąc się gorzko i dodał w odpowiedzi na jakąś moją uwagę: — No więc, niech się wpakuje dwadzieścia stóp pod ziemię i niech tam zostanie! Dalibóg! *Ja* bym tak zrobił. — Nie wiem, dlaczego ton jego słów mię podrażnił. Rzekłem:

— Jest w tym pewna odwaga, iż stawia czoło temu wszystkiemu, wiedząc bardzo dobrze, że gdyby się stąd zabrał, nikomu by się nie śniło za nim gonić.

— Do diabła z odwagą! — warknął Brierly. — Ten rodzaj odwagi jest do niczego, jeśli chodzi o utrzymanie pewnej linii w życiu, i tyle o nią dbam co o zeszłoroczny śnieg. Gdyby mi pan powiedział, że gra tu rolę pewne tchórzostwo, miękkość charakteru... Wie pan co, złożę dwieście rupii, jeśli pan doda do nich jeszcze sto i postara się, żeby ten chłopiec zwiął jutro wczesnym rankiem. Pomimo wszystko jest jednak dżentelmenem — on to zrozumie. Musi zrozumieć! Ta piekielna sprawa toczy się publicznie i zbyt jest gorsząca. On siedzi tam, a ci wszyscy przekłęci krajowcy, serangowie¹¹, laskarowie¹², podoficerowie składają takie zeznania, że człowiek pali się po prostu ze wstydu. To jest ohydne. Więc pan nie uważa tego za ohydne, więc pan tego nie czuje? Gdyby zwiął, wszystko by się urwało od razu.

Brierly wypowiedział to z wyjątkowym wprost ożywieniem i zrobił ruch, jakby chciał sięgnąć po portfel. Powstrzymałem go i oświadczyłem zimno, że tchórzostwo tych czterech ludzi nie wydaje mi się sprawą tak wielkiego znaczenia.

— I pan ma siebie za marynarza, o ile mi się zdaje — wyrzekł gniewnie.

Odpowiedziałem, że właśnie za takiego siebie uważam, i sądzę, że nim jestem. Wysłuchał mię i machnął wielką ręką, jakby mię pozbawiał indywidualności, jakby mię spychał w tłum.

— To jest najgorsze — rzekł — że wy wszyscy nie macie poczucia godności; nie dość myślicie o tym, za co was ludzie uważają.

Rozmawialiśmy idąc powoli i przystanęliśmy właśnie naprzeciw biura portowego widząc jak na dłoni miejsce, skąd olbrzymi kapitan „Patny” znikł tak zupełnie, jakby był drobnym piórkiem porwanym przez huragan. Uśmiechnąłem się. Brierly ciągnął dalej:

— To jest haniebne. Są tu wśród nas ludzie różnych kategorii, między innymi także i skończone lotry; ale musimy, do diabła, zachować jakąś zawodową przyzwoitość, bo inaczej staniemy się bandą partaczy waleśających się bez ładu i składu. Ufają nam. Czy pan to rozumie? — ufają! Mówiąc szczerze, nic a nic mnie nie obchodzi wszyscy pielgrzymi, jacy kiedykolwiek z Azji wywędrowali, ale porządny człowiek nie postąpiłby tak nawet z ładunkiem starych gałganów powiązanych w bele. My, ludzie morza, nie jesteśmy grupą zorganizowaną i jeśli co nas łączy, to jedynie to słowo, którym określamy pewien rodzaj przyzwoitości. A taka sprawa niszczy w człowieku zaufanie. Można przeżyć prawie całe życie na morzu i nie mieć ani razu sposobności do okazania się niezłomnym. Ale gdy przyjdzie wyzwanie... Ach!... Gdybym ja... — Urwał i rzekł innym tonem: — Dam panu dwieście rupii i niechże pan z tym chłopcem pomówi. Do diabła! Byłbym wolał się z nim nie spotkać. Zdaje mi się doprawdy, że moi krewni znają jego rodzinę. Jego ojciec jest duchownym i przypominam sobie, że spotkałem go raz, gdym był zeszłego roku w Essex u mego kuzyna. Jeśli się nie mylę, staruszek zdawał się mieć słabość do swego syna, marynarza. Okropne. Ja sam nie mógłbym mu tego zaproponować, ale pan...

¹¹*serang* (z hind.) — tubylczy bosman albo kapitan statku dowodzący załogą krajowców. [przypis edytorski]

¹²*laskar* — indyjski marynarz. [przypis edytorski]

I tak, w związku ze sprawą Jima, ujrzałem na chwilę Brierly'ego w prawdziwym świetle, na kilka dni przedtem, zanim powierzył morzu swoją prawdę i swoją maskę. Naturalnie, że odmówiłem mu pośrednictwa. Podrażnił mię ton, jakim powiedział: „ale pan...” (biedny Brierly przybierał ów ton bezwiednie) — jakby dawał do zrozumienia, iż znaczący tylko co robak; toteż odniosłem się z oburzeniem do jego propozycji — i z tego właśnie powodu czy też dla jakiejś innej przyczyny powziąłem przekonanie, że śledztwo stanowi surową karę dla Jima, a jego obecność w sądzie — istotnie z własnej woli — jest rysem odkupiającym w ohydnej jego sprawie. Przedtem nie byłem tego tak bardzo pewien. Brierly odszedł obrażony. W owym czasie stan jego duszy stanowił dla mnie większą zagadkę aniżeli teraz.

Nazajutrz przyszedłem późno do sądu i siedziałem sam. Nie mogłem oczywiście zapomnieć naszej rozmowy z Brierly'm, a teraz miałem ich obu przed oczami. Zachowanie jednego wyglądało na posępną bezczelność, drugi zaś ujawniał pogardę i nudę; ale postawa Jima mogła być równie nieszczerą jak zachowanie Brierly'ego, o którym wiedziałem na pewno, że szczerze nie jest. Brierly nie nudził się bynajmniej, lecz był rozjątrzony, więc może i Jim nie był bezczelny. Według mnie bezczelny nie był. Odniosłem wrażenie, że jest w beznadziejnej rozpacz. Wówczas to spotkały się nasze oczy. Spotkały się i spojrzenie Jima odebrało mi wszelką ochotę do rozmowy z nim — jeśli ją w ogóle miałem. Tak czy owak — czy Jim był bezczelny, czy też zrozpaczony — czułem, że mu się na nic przydać nie mogę. Działo się to w drugim dniu sprawy sądowej. Wkrótce po tej zamianie spojrzeń posiedzenie zostało znów odroczone do następnego dnia. Biali zaczęli zaraz tłumnie opuszczać salę. Jimowi polecono już chwilę przedtem zejść z podium, tak że mógł się wysunąć jeden z pierwszych. Dostrzegłem zarys jego barczystych pleców i głowy w świetle otwartych drzwi, a gdy kierowałem się powoli ku wyjściu, rozmawiając z jakimś nieznanym, który zwrócił się do mnie przypadkiem, widziałem z sali sądowej, jak Jim stał oparty obu łokciami o balustradę werandy, zwrócony tyłem do niewielkiego strumienia publiczności spływającego po paru stopniach. Słychać było gwar głosów i szelest nóg.

Następna sprawa tyczyła się pobicia, napaści na jakiegoś lichwiarza, o ile mi się zdaje, i pozwany — czcigodny wieśniak z prostą, białą brodą — siedział na macie przed samymi drzwiami w otoczeniu synów, córek, zięciów, ich żon i — jak sądzę — połowy ludności z jego osiedla, stojącej lub siedzącej w kucki naokoło niego. Smukła kobieta o ciemnej cerze, obnażonych częściowo plecach i nagim, czarnym ramieniu, z cienkim złotym kółkiem w nosie, zaczęła nagle coś mówić wysokim, zrzędzącym głosem. Człowiek idący koło mnie spojrzał na nią machinalnie. Przeszliśmy wtedy właśnie przez próg mijając szerokie plecy Jima.

Czy to właśnie owi wieśniacy przyprowadzili z sobą żółtego psa, nie umiem powiedzieć. W każdym razie był tam pies; snuł się wciąż tam i z powrotem między nogami, w niemy, skradający się sposób, charakterystyczny dla psów tamtejszych — i mój towarzysz potknął się o niego. Pies uskoczył w bok milczkiem, a człowiek rzekł głosem trochę podniesionym śmiejąc się z lekka: „Niech pan spojrzy na tego nędznego psa” — po czym prąd ludzi pchających się do sali rozdzielił nas natychmiast. Oparłem się na chwilę o ścianę, a nieznanomy zdołał dotrzeć do schodów i znikł. Widziałem, że Jim odwrócił się gwałtownie. Zrobił krok naprzód i zagroził mi drogę. Byliśmy sami; patrzył we mnie z nieugiętym postanowieniem. Zrozumiałem, iż jestem napadnięty, jak gdyby w lesie. Weranda już się opróżniła, hałas i ruch na dziedzińcu ustały; wielka cisza ogarnęła budynek, w którym daleko, gdzieś w głębi, jakiś głos o wschodnim brzmieniu zaczął użalać się natrętnie. Pies, usiłujący właśnie prześliznąć się przez drzwi, siadł śpiesznie i jął sobie wygryzać pchły.

— Czy pan do mnie mówił? — spytał Jim bardzo cicho i pochylił się naprzód, nie ku mnie, ale na mnie, jeśli rozumiecie, co chcę powiedzieć.

Odrzekłem „nie” — natychmiast. Coś w dźwięku tego spokojnego głosu ostrzegło mię, abym się miał na baczności. Śledziłem Jima. Było to bardzo podobne do spotkania w lesie, tylko wynik tego spotkania był bardziej niepewny, ponieważ Jimowi nie mogło chodzić o moje życie ani też pieniądze — o nic, co bym mógł mu po prostu oddać lub czego bym bronił z czystym sumieniem.

— Pan twierdzi, że pan się do mnie nie odzywał — rzekł bardzo ponuro. — Ale ja słyszałem.

— To jakaś pomyłka — odparłem nie mając pojęcia, co o tym myśleć, i nie przestając patrzeć na Jima.

Śledziłem jego twarz, jak gdybym śledził niebo ciemniejące przed uderzeniem piorunu, gdy mierzchnie stopniowo, nieuchwytnie, a mrok pogłębia się tajemniczo wśród ciszy dojrzewającego wybuchu.

— O ile wiem, nigdy przy panu ust nie otworzył — odrzekłem, co było najzupełniejszą prawdą.

Bezsens tego spotkania zaczynał mię trochę złościć. Przychodzi mi na myśl teraz, iż nigdy w życiu nie byłem tak bliski bójki — dosłownie: bójki na pięści. Miałem chyba jakieś mgliste przeczucie, że ta ewentualność wisi w powietrzu, choć Jim nie groził mi bynajmniej. Przeciwnie, zachowywał się z dziwną biernością — ale wyglądał ponuro i choć nie był wyjątkowo rosły, sprawiał wrażenie, jakby mógł ścianę rozwalić. Najbardziej uspokajającą oznaką, jaką w nim zauważyłem, było coś w rodzaju powolnego, głębokiego namysłu. Musiał chyba odczuć szczerść w moim głosie i zachowaniu. W sądzie sprawa o napad szła swoim trybem. Pochwyciłem słowa: „No więc — bawół — kij — przejęty okropnym strachem...”

— Co pan sobie właściwie myślał, żeby się tak na mnie gapić przez całe rano? — rzekł Jim nareszcie. Podniósł na mnie wzrok i spuścił go znowu.

— A pan się spodziewał, że będziemy wszyscy siedzieli ze spuszczonej oczami ze względu na pańską drażliwość? — odparłem ostro. Nie myślałem poddawać się potulnie jego wybrykom. Spojrzał znów na mnie i tym razem wzroku nie spuścił patrząc mi prosto w twarz.

— Tak, to prawda — wyrzekł, jakby rozmyślając nad słusznością mej odpowiedzi — to prawda. Ja to znieść potrafię. Tylko — tu zaczął mówić trochę prędzej — nie pozwolę, aby mi ktokolwiek wymyślał poza obrębem sądu. Z panem był jakiś człowiek. Pan mówił do niego — o tak — wiem z pewnością; wszystko to bardzo pięknie. Pan mówił do niego, ale pan chciał, żebym ja to usłyszał...

Zapewniłem go, że jest pod wpływem jakiegoś złudzenia. Nie miałem pojęcia, skąd to wynikło.

— Pan myślał, że nie będę śmiał na to zareagować — rzekł z ledwo dosłyszalną goryczą.

Ponieważ mnie to zajmowało, rozróżniałem najłżejsze odcienie w mowie Jima, nic jednak nie rozumiejąc. Ale coś szczególnego w jego słowach — może ich ton właśnie, skłonił mię do jak największej wyrozumiałości. Przestałem się złościć na tę kłopotliwą niespodziankę. Było to jakieś nieporozumienie. Jim się widocznie pomylił i doznałem wrażenia, że to jest jakaś ohydna nieszczęsna pomyłka. Pragnąłem końca tej sceny ze względu na przyzwoitość, tak jak się pragnie uciąć jakieś niepowołane, wstrętne zwierzenia. A co najdziwniejsze, wśród rozważań wyższego rzędu zdawałem sobie sprawę z pewnego rodzaju strachu przed możliwością — nawet prawdopodobieństwem — że ta przykra historia skończy się jakąś niesławną burdą, której niepodobna będzie wytłumaczyć i która mię ośmieszy. Nie wdychałem za trzydniową sławą jak ów człowiek, któremu oficer z „Patny” podbił oko czy nabił guza — poturbował go, jednym słowem. Jim prawdopodobnie nie dbał o to, co robi, a w każdym razie uważałby się za usprawiedliwionego we własnych oczach. Nawet i dziecko by poznało, że był wściekle zły z jakiejś przyczyny, choć zachowywał się spokojnie, a nawet obojętnie. Nie ukrywam, iż pragnąłem niezmiernie uspokoić go za wszelką cenę — ale nie wiedziałem, jak to zrobić. Byłem jak w mroku bez najłżejszego światelka. Staliśmy naprzeciw siebie w milczeniu. Przytaił się przez jakich piętnaście sekund, po czym zbliżył się o krok, a ja się przygotowałem do odparcia ciosu, choć sądziłem, że żaden mięsień mi nie drgnął.

— Nawet gdyby pan był olbrzymem i miał siłę sześciu ludzi — rzekł bardzo cicho — to i tak powiedziałbym panu, co o nim myślę. Pan...

— Przestań pan! — krzyknąłem. To go zatrzymało na chwilę. — Zanim pan powie, co o mnie myśli — ciągnąłem szybko — może zechce mnie pan łaskawie poinformować, co ja takiego powiedziałem czy też zrobiłem?

Nastąpiła pauza; Jim patrzył na mnie oburzony, a ja wyęczałem pamięć z nadludzkim wysiłkiem, w czym mi przeszkadzał głos o wschodnim brzmieniu w sali sądowej, protestujący płynnie, a beznamytnie przeciw oskarżeniu o fałsz. Zaczęliśmy mówić prawie jednocześnie:

— Pokażę panu zaraz, że nie jestem taki, jak pan myśli — rzekł, a jego ton groził wybuchem.

— Oświadczam, że nie wiem, o czym pan mówi — jednocześnie zapewniałem poważnie. Usiłował mię zmiażdżyć pogardą swego wzroku.

— A teraz, kiedy pan widzi, że się pana nie boję, niech się pan stara z tego wyplątać — rzekł. — Któż to miał być tym psem — co? — zapytał. Na koniec zrozumiałem, o co mu chodzi.

Oglądał mi twarz, jakby szukał, gdzie ma pięść umieścić.

— Nie pozwolę nikomu... — mruknął groźnie.

Była to oczywiście ohydna pomyłka. Nie umiem wam wypowiedzieć, jakie to było dla mnie przykre. Widać zobaczył odbicie mych uczuć na twarzy, bo jego wyraz trochę się zmienił.

— Wielki Boże! — wyjąkałem — pan chyba nie przypuszcza, że ja...

— Przecież słyszałem na własne uszy — upierał się, po raz pierwszy od początku tej oplakanej sceny podnosząc głos. Potem dodał z pewnym lekceważeniem: — A więc to nie pan? Bardzo pięknie; znajdę ja tego drugiego.

— Niechże pan z siebie nie robi durnia — krzyknąłem w rozjątrzeniu — to wcale nie o pana chodziło!

— Ja dobrze słyszałem — powtórzył znów ponuro z nieugiętym uporem.

Może kto inny byłby się roześmiał z tego uporu. Ale ja się nie roześmiałem. O nie! Nie zdarzyło mi się spotkać człowieka, który by się tak bezlitośnie zdradzał idąc za pierwszym porywem. Jedno słowo pozbawiło Jima całego opanowania — a opanowanie jest bardziej potrzebne dla naszej duchowej przyzwoitości niżli odzienie dla okrycia ciała.

— Niech pan z siebie nie robi durnia — powtórzyłem.

— A więc to tamten drugi to powiedział — teraz pan nie zaprzeczy? — rzekł wyraźnie, patrząc mi nieugięcie w twarz.

— Nie, temu nie przeczę — odparłem odwzajemniając jego spojrzenie.

Oczy Jima zwróciły się nareszcie w dół — tam, gdzie wskazywałem palcem. Miałem wrażenie, że z początku nie zrozumiał; potem zmieszał się, a w końcu przybrał wyraz zdumienia i przestachu, jakby pies, na którego wskazywałem, był potworem i jakby Jim nigdy przedtem psa nie widział.

— Nikomu się nie śniło pana obrażać — rzekłem.

Wpatrywał się wciąż w to nędzne zwierzę, nieruchome jak posąg; siedziało z nastawionymi uszami i spiczastym pyskiem skierowanym w stronę wejścia; nagle kłapnęło zębami za przelatującą muchą jak automat.

Spojrzałem na Jima. Czerwień jego białej, spalonej cery pogłębiła się nagle pod puchem policzków, ogarnęła czoło, dotarła aż do kędzierzawych włosów. Uszy zabarwiły mu się purpurą i nawet jasny błękit oczu pociemniał wyraźnie od krwi, która mu uderzyła do głowy. Wydał z lekka drżące wargi, jakby miał natychmiast wybuchnąć płaczem. Spostrzegłem, że z nadmiernego upokorzenia nie jest w stanie wymówić ani słowa. Kto wie? a może także i z rozczarowania. Może miał nadzieję, że to lanie, które zamierzał mi sprawić, będzie dla niego jakąś rehabilitacją czy ukojeniem? Skąd można wiedzieć, jakiej się ulgi spodziewał po tej okazji do burdy? Był tak naiwny, że mógł się spodziewać wszystkiego; ale w tym wypadku zdradził się i nic na tym nie zyskał. Był szczery względem siebie tak jak i wobec mnie, w szalonej nadziei, że uda mu się w ten sposób odeprzeć skutecznie zarzuty, a los odwrócił się od niego z ironią. Wydał jakiś gardłowy dźwięk, jakby go ogłuszono ciosem w głowę. To było żałosne.

Dopędziłem go aż daleko za bramą. Musiałem nawet w końcu biec za nim, ale gdy, zadyszany, wreszcie się z nim zrównałem i powiedziałem mu, że mi ucieka, rzekł: „Nigdy!”, i odwrócił się natychmiast jak osaczony. Wyjaśniłem, iż nie przyszło mi broń Boże na myśl, że ucieka przede mną.

— Przed nikim... przed nikim na świecie — twierdził uporczywie.

Powstrzymałem się od wytknięcia mu jednego rzucającego się w oczy wyjątku, który by był ciężką próbą dla najodważniejszego z nas; pomyślałem, że i tak bardzo prędko Jim sam to zrozumie. Patrzył na mnie cierpliwie, a ja szukałem w myślach, co mu powiedzieć, lecz nie mogłem nic znaleźć. Ruszył znów naprzód. Szedłem obok niego i bojąc się, aby mi nie uciekł, rzekłem spiesźnie, że nie chciałbym za nic w świecie, aby się rozstał ze mną pod fałszywym wrażeniem mego... mojej — zająknąłem się. Przeraziła mnie głupota tych słów i usiłowałem jakoś z tego wybrnąć, ale zewnętrzna siła wypowiedzanych zdań jest czymś oderwanym od ich treści i logicznej budowy — bo moje idiotyczne bąkanie zdawało mu się dogadzać. Przerwał je mówiąc ze spokojem i uprzejmością, które dowodziły niezmiernej siły panowania nad sobą lub też nadzwyczajnej prężności ducha:

— Wszystkiemu winna ta moja pomyłka.

Zdumiało mnie to powiedzenie; tak jakby wspominał o jakimś drobnym zajściu. Czyżby nie rozumiał oplakanego znaczenia tych słów?

— Pan mi chyba wybaczy — dodał i mówił dalej z pewnym rozdrażnieniem: — Wszyscy ci gapiący się ludzie mieli tak głupie miny, że... mogło być tak, jak przypuszczałem.

Spojrzałem na Jima z innej strony. Patrzyłem na niego z zajęciem i napotkałem jego wzrok — nieulekły i nieprzenikniony.

— Nie mogę znieść tego rodzaju rzeczy — rzekł z prostotą — i znieść nie myślę. Co innego w sądzie; tam muszę i mogę to wytrzymać.

Nie twierdzą, że go zrozumiałem. Chwile, w których mi się objawiał, były podobne do spojrzeń rzuconych poprzez gęstą, ale ruchomą mgłę — kiedy to odsłaniają się fragmenty, wyraziste i znikające szybko, nie dając pojęcia o ogólnym wyglądzie kraju; budzą ciekawość wcale jej nie zaspokajając, bo nie dają całokształtu widoku. W ogóle trudno mi było rozgryźć Jima. Uświadomiłem to sobie po jego odejściu późnym wieczorem. Zatrzymałem się na parę dni w hotelu „Malabar” i na moje usilne zaproszenie Jim przyszedł do mnie na obiad.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Parowiec dążący na Wschód przybył tego popołudnia i wielka jadalnia hotelu była więcej niż w połowie zapełniona ludźmi zaopatrzonymi w stufuntowe bilety podróży naokoło świata. Znajdowały się tam pary małżeńskie jakby zadomowione w nowym otoczeniu i nudzące się z sobą już w środku podróży; małe i duże grupy biesiadników i pojedynczy goście — a wszyscy, jedząc uroczyście lub uczując hałaśliwie, myśleli, rozmawiali, żartowali lub krzywili się, tak jak to przywykli robić u siebie w domu. Co zaś do ich chłonności wrażeń oraz inteligencji — nie przewyższali nią swoich kufrów, co stały w pokojach na górze. Podobnie jak ich bagaże, poznaczeni byli etykietami, które stwierdzały, że przejeżdżali przez takie to a takie miejscowości — i cenili sobie wysoko to wyróżnienie swych osób, zachowując kartki naklejone na walizkach jako udokumentowane świadectwa, jedyny trwały ślad korzyści wyniesionych z podróży. Ciemnolicy lokaje krzątali się bezszelestnie po przestronnej, gładkiej posadzce; od czasu do czasu rozlegał się śmiech młodej panny, niewinny i pusty jak jej dusza, a gdy brzęk porcelany nagle przycichał, dochodziło kilka słów cedzonych z afektacją przez jakiegoś dowcipnisia popisującego się wałkowaniem ostatniej skandalicznej historii z pokładu wobec szczerzących zęby współbiesiadników. Dwie kocujące stare panny o drewnianych twarzach, wystrojone przesadnie i dziwacznie niby dwa bogato przybrane strachy na wróble, studiowały z cierpką miną jadłospis, szepcząc do siebie zwiędłymi wargami.

Trochę wina otworzyło serce Jima i rozwiązało mu język. Zauważyłem też, że jadł z apetytem. Mogło się wydawać, iż pogrzebał epizod, który zagaił naszą znajomość; epizod ten był widocznie czymś, czego nie poruszy się już nigdy na tym świecie. Miałem wciąż przed sobą błękitne, chłopięce oczy patrzące mi prosto w twarz, młode oblicze, szerokie ramiona, otwarte, opalone czoło, białe u nasady wijących się, jasnych włosów — cały jego wygląd przemawiał mi do serca; szczery wyraz, uśmiech pełen prostoty, młodzieńcza powaga. Należał do gatunku porządných ludzi, był jednym z nas. Mówił trzeźwo, z pewnego rodzaju powściągliwą swobodą, ze spokojem, którego źródłem mogło być męskie opanowanie — albo też bezwstyd, nieczułość, absolutna nieświadomość,

niesłychany fałsz. Któż to mógłby odgadnąć? Sądząc po naszym tonie mogliśmy rozmawiać o kimś trzecim, o meczu futbolowym, o zeszłorocznej pogodzie. Nurzałem się w przeróżnych domysłach, aż wreszcie pewien zwrot w rozmowie pozwolił mi zauważyć bez urażenia Jima, że to badanie musiało być na ogół bardzo dla niego przykre. Wyciągnął ku mnie szybko ramię przez obrus i chwycił moją rękę obok talerza, wpijając we mnie oczy. Przestraszyłem się.

— To musiało być strasznie ciężkie — wyjąkałem, zmieszany tym przejawem niemeo uczucia.

— To piekło — wybuchnął nagle zduszonym głosem.

Na ów gest i słowa dwóch szykownych obieżyświatów u sąsiedniego stołu podniosło niespokojnie oczy znad mrożonego puddingu. Wstałem i poszliśmy ku frontowej galerii na kawę i cygara.

Stały tam małe ośmiokątne stoliczki z świecami palącymi się w szklanych kloszach; kępy roślin o sztywnych liściach przedzielały grupy wygodnych plecionych foteli; między parami kolumn, których czerwonawe trzony odbijały długim rzędem światło padające od wysokich okien, noc, ciemna i połyskliwa, zdawała się wisieć niby wspaniała draperia. Światła kotwiczne okrętów mrugały z dala jak zachodzące gwiazdy, a wzgórza z drugiej strony portu były podobne do zaokrąglonych, czarnych gromowych chmur, które stanęły w miejscu.

— Nie mogłem uciekać — zaczął Jim. — Szyper uciekł, to dobre dla niego. Ja nie mogłem i nie chciałem. Wszyscy oni wykręcili się z tego tak czy owak, ale mnie to nie przystoi.

Słuchałem go ze skupioną uwagą, nie śmiać się poruszyć na krześle; chciałem się o nim wszystkiego dowiedzieć — a do dziś dnia nie wiem nic, mogę tylko zgadywać. W jednej i tej samej chwili był ufny i zgnębiony zarazem, jakby jego przekonanie o własnej niewinności tłumilo w nim prawdę chcącą się wydobyć na wierzch. Zaczął od stwierdzenia, że nigdy nie będzie mógł wrócić do domu; a powiedział to takim tonem, jakby mówił, iż niepodobna mu przeskoczyć przez dwudziestostopową ścianę. Jego oświadczenie przypominało mi słowa Brierly'ego: „Ten stary pastor w Essex zdawał się mieć słabość do swego syna, marynarza”.

Nie umiem wam powiedzieć, czy Jim wiedział, że ojciec ma słabość do niego, lecz gdy wspominał o „tatusiu”, mówił tonem, który mi dawał do zrozumienia, że ów zacny, stary wiejski pastor jest najwybitniejszym ze wszystkich ludzi, jacy tylko od początku świata obarczeni byli troską o liczną rodzinę. Choć ani razu wyraźnie tego nie mówił, podsuwał mi to z niepokojem, żebym nie miał co do tego wątpliwości; było to rzeczywiście bardzo szczere i pełne wdzięku, lecz dodawało do innych składników tej historii bolesną świadomość o życiu tamtych ludzi, hen, daleko.

— Przeczytał już to wszystko w gazetach tam w kraju — rzekł Jim. — Nigdy nie będę mógł spojrzeć w oczy biednemu staruszkowi. — Nie ośmieliłem się podnieść wzroku, póki nie dodał: — Nie mógłbym mu nigdy wytłumaczyć. Tego by nie zrozumiał.

Spojrzałem na niego. Palił, pogrążony w myślach, a po chwili ocknął się i zaczął znów mówić. Przede wszystkim wyraził pragnienie, abym go nie mieszał z jego współnikami w... w zbrodni, powiedzmy. Nie był taki jak oni; należał do zupełnie innego gatunku. Nie przeczyłem mu. Nie miałem zamiaru w imię jałowej prawdy pozbawiać go choćby najmniejszego okrucu jakiejś odkupiającej łaski, która by się mogła stać jego udziałem. Nie wiem, do jakiego stopnia sam wierzył w swe słowa. Nie wiem do czego zmierzał — jeśli w ogóle zmierzał do czegokolwiek — podejrzewam, że on sam tego nie wiedział; bo wierzę, iż żaden człowiek nie rozumie nigdy w zupełności swych własnych, chytrych wykrętów mających na celu ucieczkę od ponurego cienia samowiedzy. Nie otwarłem ust ani razu przez cały czas, gdy Jim roztrząsał kwestię: co mu właściwie wypadnie zrobić po ukończeniu „tego idiotycznego śledztwa”.

Widocznie podzielał wzdorliwy pogląd Brierly'ego na postępowanie sądowe nakazane prawem. Wyznał, że nie ma pojęcia, dokąd się zwrócić; tak to wyglądało, jakby raczej głośno myślał, niż do mnie mówił. Świadcstwo przypadło, kariera złamana, żadnych pieniędzy, aby się ruszyć z miejsca, żadnych widoków na otrzymanie pracy. W kraju może by się co i znalazło; ale na to trzeba by się zwrócić o pomoc do rodziny, czego zrobić nie

chciał. Nie widział innej rady, jak tylko zaciągnąć się na statek w charakterze prostego marynarza — a może mógłby dostać miejsce podoficera na jakim parowcu. Dałby sobie z tym radę...

— Tak pan uważa? — spytałem bezlitośnie.

Zerwał się; podszedł do kamiennej balustrady i patrzył w noc. Po chwili był już z powrotem; stał przy moim krześle, górując nade mną, a jego młodzieńcza twarz, jeszcze była chmurna od bólu pokonanego wzruszenia. Zrozumiał bardzo dobrze, że ja nie wątpię o jego zręczności w sterowaniu okrętem. Zapytał głosem, który drżał z lekka:

— Dlaczego pan to powiedział? Pan był dla mnie taki strasznie dobry. Nawet się pan nie roześmiał, kiedy — i tu zaczął się jękać — ta pomyłka, rozumie pan, wystrychnęła mnie na dudka. — Przerwałem mu mówiąc dość żywo, że według mnie taka pomyłka nie jest okazją do śmiechu. Usiadł i wypił powoli kawę opróżniając małą filiżaneczkę aż do ostatniej kropli. — To nie znaczy, abym myślał choć przez chwilę, że na to zasłużyłem — oświadczył wyraźnie.

— Nie myśli pan? — rzekłem.

— Nie — potwierdził ze spokojną stanowczością. — A czy pan wie, co pan byłby wówczas zrobił? Wie pan? A przecież pan nie ma siebie za... — przełknął ślinę — za psa?

I mówiąc to — słowo wam dając — spojrział na mnie badawczo. Okazało się, że to było pytanie... pytanie *bona fide*¹³. Jednak na odpowiedź nie czekał. Zanim się opamiętałem, ciągnął już dalej z oczami utkwionymi wprost przed siebie, jakby wyczytywał jakiś napis na tle nocy:

— Wszystko polega na tym, żeby człowiek był w pogotowiu. Ja nie byłem w pogotowiu; nie byłem — w tamtej chwili. Nie chcę się usprawiedliwiać; ale tak bym pragnął wytłumaczyć, tak bym chciał, żeby ktoś rozumiał, ktokolwiek, choćby tylko jeden człowiek! Pan! Dlaczegoż by nie pan?

Było to uroczyście, a także i nieco śmieszne — jak zwykle walka jednostki usiłującej ocalić swoje pojęcie o tym, czym być powinna, ten sztuczny wzór postępowania — taki cenny — który jest jednym z prawideł gry, niczym więcej, lecz posiada straszliwą potęgę, bo przywłaszcza sobie bezgraniczną władzę nad przyrodzonymi ludzkimi instynktami, bo grozi okropną karą za wykroczenie przeciw sobie. Jim zaczął opowiadanie dość spokojnie. Na pokładzie parowca linii Dale, który zabrał tych czterech ludzi płynących łódką w dyskretnym blasku zachodzącego słońca, już na drugi dzień zaczęto patrzeć na nich z ukosa. Tłusty szyper opowiedział jakąś historię, pozostali milczeli i z początku wzięto wszystko za dobrą monetę. Nie bada się biednych rozbitków, których miało się szczęście ocalić — jeśli nie od okrutnej śmierci, to w każdym razie od okrutnych cierpień. Potem, kiedy już był czas na zastanowienie, może uderzyło oficerów na „Avondale”, że jest „coś podejrzanego” w całej tej sprawie; ale oczywiście zachowali swoje wątpliwości dla siebie. Wzięli na pokład kapitana, oficera i dwóch maszynistów z zatopionego parowca „Patna”; to im wystarczyło i powinno było wystarczyć. Nie pytałem Jima o uczucia, których doznawał podczas tych dziesięciu dni spędzonych na statku. Ze sposobu, w jaki mi o tym opowiadał, mogłem wnosić, że był poniekąd ogłuszony odkryciem dokonany w samym sobie — i niewątpliwie usiłował je wytłumaczyć jednemu człowiekowi, który był zdolny zrozumieć całą jego straszliwą doniosłość. Zrozumcie, że nie starał się pomniejszyć tego odkrycia. Jestem tego pewien — i to go właśnie wyróżnia w moich oczach. A jakich doznał uczuć, gdy wysiadł na brzeg i dowiedział się o nieprzewidzianym zakończeniu historii, w której odegrał rolę tak oplakaną, nic mi o tym nie mówił i trudno to sobie wyobrazić. Ciekaw jestem, czy miał wrażenie, że ziemia zapada mu się pod nogami. Chciałbym to wiedzieć! Lecz zapewne zdołał bardzo prędko odzyskać równowagę. Spędził na łódce całe dwa tygodnie, czekając w Domu Marynarza, a że jednocześnie z nim przebywało tam sześciu czy siedmiu ludzi, miałem o nim trochę informacji. Obojętna opinia tych ludzi wyrażała się w zdaniu, że w dodatku do innych wad Jim jest posepnym gburem. Spędził te dni na werandzie, zagłębiony w leżaku, i opuszczał swe legowisko tylko w czasie posiłków lub późno w noc, kiedy włóczył się samotnie po bulwarach, odrywany od otoczenia, niepewny i milczący, jak duch pozbawiony domu, gdzie by mógł straszyć.

¹³*bona fide* (łac.) — w dobrej wierze. [przypis edytorski]

— Nie przemówiłem pewnie nawet trzech słów do nikogo przez cały ten czas — rzekł, budząc we mnie wielkie współczucie, i dodał natychmiast: — Któryś z tych ludzi byłby na pewno rąbnął coś, czego postanowiłem płazem nie puścić, a burdy nie chciałem. Nie! Wówczas nie. Byłem zanadto — zanadto... Nie miałem na to ochoty.

— A więc ta gródź ostatecznie wytrzymała — zauważyłem rażno.

— Tak — mruknął — wytrzymała. A jednak przysięgam panu, że czułem, jak mi się wydyma pod ręką.

— To nadzwyczajne, jaki napór stare żelastwo może czasem wytrzymać — rzekłem. Jim, zagłębiony w swoim fotelu, z wyciągniętymi sztywno nogami i zwieszonymi rękoma, kiwał lekko głową raz po raz. Nie można było sobie wystawić smutniejszego widoku. Nagle podniósł głowę, wyprostował się; trzepnął się w udo.

— Co za sposobność przepadła! Mój Boże, co za sposobność! — wybuchnął, a dźwięk ostatniego słowa był jak okrzyk wydarty bólem.

Znów milczał i patrzył nieruchomo w dal z namiętą tęsknotą za tą możliwością odznaczenia się, którą stracił; rozdał na chwilę nozdrza wciągając czarowne tchnienie zmarnowanej sposobności. Nie myślcie, że mię to zaskoczyło lub przejęło zgorzeniem — byłaby to z waszej strony krzycząca niesprawiedliwość. Jakaż ten młodzik miał bujną wyobraźnię! Zdradzał się przede mną; oddawał się w moje ręce. Widziałem w jego wzroku, wbitym w noc, jak cała jego dusza porywa się i rzuca na oślep w fantastyczną krainę zuchwałych, bohaterskich rojeń. Nie miał czasu żałować tego, co stracił, tak całkowicie i po prostu przejął się tym, czego osiągnąć nie zdołał. Był bardzo daleko ode mnie, choć obserwowałem go z odległości trzech stóp. Z każdą chwilą przenikał głębiej w nieprawdopodobny świat romantycznych czynów. Dotarł wreszcie do jądra tego świata! Przeniknął ten świat do głębi — do samej głębi! Dziwna błogość rozlała się po jego twarzy, a oczy zaiskrzyły mu się w blasku świecy stojącej między nami; nawet się uśmiechnął! Taki uśmiech, pełen ekstazy, nie pojawi się nigdy na mojej twarzy ani też na waszych twarzach, moi drodzy. Ściągnąłem go na ziemię mówiąc:

— Pan chce powiedzieć — gdyby pan był został na statku!

Zwrócił się ku mnie z nagłym zdumieniem i bólem w oczach, z przelękłą, zdumioną, cierpiącą twarzą; zdawało się, że spadł z jakiejś gwiazdy. Ani wy, ani ja nie spojrzymy tak nigdy na żadnego człowieka. Wstrząsnął się gwałtownie, jakby zimny palec dotknął mu serca. Wreszcie westchnął.

Nie byłem w miłosiernym nastroju. Ten młodzik drażnił mię biegunowo sprzecznymi zwierzeniami.

— Jaka szkoda, że pan z góry nie wiedział! — rzekłem z najzłośliwszą intencją; lecz zdradliwy pocisk nie uczynił mu żadnej szkody — opadł u jego stóp jak zablakana strzała, a Jim nie pomyślał nawet o podjęciu tego pocisku. Może go wcale nie zauważył. Rzekł zaraz, wyciągając się wygodnie w fotelu:

— A niech to lichu! Mówię panu, że gródź się wygięła. Podnosiłem lampę wzdłuż kątownika na międzypokładzie, gdy płat rdzy, wielki jak moja dłoń, opadł sam z siebie od arkusza. — Przesunął ręką po czole. — Ten płat poruszył się i odskoczył jak coś żywego, w chwili gdy na niego patrzyłem.

— Nie musiało być panu przyjemnie — zauważyłem niedbale.

— Sądzi pan, że myślałem o sobie, ze stu sześćdziesięciu ludźmi na karku, śpiącymi głęboko na przednim międzypokładzie! Na tylnym było ich więcej, a jeszcze więcej na górnym pokładzie; spali — nie mieli o niczym pojęcia — jedna trzecia tylko mogła się zmieścić w łodziach, nawet gdyby był czas wszystkie spuścić! Myślałem, że żelazo pęknie w chwili, gdy tam stałem, że woda wdrze się i zaleje ich tam, gdzie leżeli... I co ja mogłem zrobić — co?

Wyobraziłem go sobie z łatwością w tym zaludnionym mroku podobnym do jaskini; blask latarni oświetlał niewielką część grodzi, na którą z przeciwnej strony napierał całym ciężarem ocean — a w uszach Jima rozlegał się oddech śpiących, nieświadomych niczego pielgrzymów. Widzę go, jak się wpatruje w żelazną ścianę, przerażony spadającą rdzą, przygnieciony świadomością o nieuchronnej śmierci. Było to wówczas — jak sądzę — gdy Jim po raz drugi został wysłany na przód przez swego szypra, który prawdopodobnie chciał go się pozbyć z mostka. Według słów Jima, pierwszym jego odruchem było

krzyknąć i sprawić od razu, że wszyscy ci ludzie wpadną ze snu w przerażenie; ale ogarnęło go tak przemożne poczucie własnej bezsilności, że nie był w stanie wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Ludzie pewnie to właśnie mają na myśli mówiąc, iż język przysechł do podniebienia. „Zaschło mi w gardle”, wyraził się Jim opowiadając o tym. Bez słowa wydostał się na pokład przez pierwszy luk. Spuszczony żagiel dotknął go przypadkiem; Jim pamiętał, iż lekkie muśnięcie płótna po twarzy strąciło go prawie ze schodków.

Wyznał mi, że kolana trzęsły mu się porządnie, gdy stał na przednim pokładzie patrząc znowu na śpiący tłum. Maszyny były już wówczas zatrzymane i para uchodziła. Od jej głębokiego dudnienia noc wibrowała jak basowa struna. Cały okręt dygotał.

Jim widział, jak tu i ówdzie głowa odrywała się od maty, niewyraźny kształt podnosił się i siadał nasłuchując sennie przez chwilę, po czym opuszczał się z powrotem między spiętrzone faliście skrzynie, windy parowe, wentylatory. Wiedział, że pielgrzymi za mało się orientują, aby zrozumieć ów szczególny hałas. Żelazny statek, ludzie o białych twarzach, wszystko, na co patrzyli, co słyszeli, co działo się na pokładzie, było jednakowo dziwne dla ciemnego i pobożnego tłumu i równie budzące zaufanie jak niemożliwe do zrozumienia. Mignęło Jimowi przez głowę, że tak jest lepiej. Myśl ta była wręcz straszliwa.

Musicie sobie uprzytomnić, że Jim wierzył — tak jak każdy inny wierzyłby na jego miejscu — iż statek pójdzie na dno każdej chwili; wygięte, zżarte przez rdzę arkusze, które powstrzymywały ocean, musiały niechybnie ustąpić — nagle jak podminowana tama — i wpuścić raptowny, nieodparty zalew. Jim stał bez ruchu, patrząc na te wyciągnięte ciała — skazaniec, świadom swego losu, oglądający niemych, martwych towarzyszy. Byli martwi! Nic ich nie mogło ocalić! Łódki starczyłyby może dla połowy, ale nie było czasu. Nie było czasu! Nie było czasu! Zdawało się, że nie warto otworzyć ust, poruszyć ręką lub nogą. Zanim wykrzyknie trzy słowa lub zrobi trzy kroki, będzie się przewalał w morzu pobielającym okropnie od rozpaczliwej walki ludzkich istot, rozbrzmiewającym oszalałymi krzykami o ratunek. Nie było ratunku. Wyobrażał sobie doskonale, co nastąpi; przeżył to wszystko w myśli — stojąc nieruchomo u luku z lampą w ręku — aż do najdrobniejszych, dręczących szczegółów. Zdaje mi się, że przeżył to jeszcze raz właśnie wówczas, gdy opowiadał mi rzeczy, których nie mógł opowiedzieć w sądzie.

— Widziałem — tak jak pana teraz widzę — że nic absolutnie zrobić nie mogę. Zdawało mi się, że to poczucie odejmuje mi władzę w członkach. Pomyślałem, że wyjdzie na jedno, jeśli będę stał na miejscu i czekał. Sądziłem, iż niewiele sekund mi pozostało... — Nagle para przestała uchodzić. Jim zauważył, że choć hałas przyprawiał go o szaleństwo, cisza stała się od razu ciężąca nie do zniesienia.

— Zdawało mi się, że się uduszę, nim woda mnie zaleje — rzekł.

Zapewnił mię, iż nie chciał się ratować. Jedna tylko wyraźna myśl to przychodziła mu do głowy, to znikła: ośmiuset ludzi i siedem łodzi; ośmiuset ludzi i siedem łodzi.

— Ktoś mówił głośno w mojej głowie — rzekł trochę nieprzytomnie. — Ośmiuset ludzi i siedem łodzi, i ani chwili czasu! Niech pan się tylko zastanowi. — Pochylił się ku mnie nad małym stolikiem, a ja usiłowałem uniknąć jego wzroku. — Czy pan myśli, że bałem się śmierci? — zapytał bardzo cicho i zapalczywie. Opuścił na stół otwartą dłoń z taką siłą, że filiżanki od kawy podskoczyły. — Przysięgam, że nie, że nie... Nie, na Boga! — Wyprostował się i skrzyżował ramiona; głowa mu opadła na piersi.

Cichy brzęk zastawy dosięgnął nas słabo przez wysokie okna. Rozległ się gwar głosów i kilku ludzi w świetnych humorach wyszło na werandę. Zamieniali żartobliwe uwagi wspominając osły w Kairze. Kroczący z pyszną miną obieżyświat o czerwonej twarzy żartował z wybladłego, niespokojnego młodziana, stąpającego cicho na długich nogach, i wykpiwał jego zakupy w bazarze. „Nie, doprawdy — myśli pan, że nabrali mnie do tego stopnia?” — dopytywał się młodzian bardzo wolno i poważnie. Szli dalej, rozsiadając się po fotelach; błysnęły zapalki, oświetliły na chwilę twarze bez krzty wyrazu i płaski połysk białych gorsów; gwar licznych rozmów rozgrzanych biesiadowaniem wydał mi się idiotyczny i nieskończenie daleki.

— Część załogi spała na pokrywie pierwszego luku, na odległość ramienia ode mnie — zaczął Jim znowu.

Trzeba wam wiedzieć, że mieli na tym okręcie wachtę złożoną z *kelasich*¹⁴; wszyscy majtkowie spali całą noc i w razie potrzeby wzywano tylko wyznaczonych podoficerów i wartowników. Jim miał ochotę chwycić za ramię najbliższego laskara i potrząsnąć nim, ale tego nie zrobił. Coś wzięło mu ręce u boków. Nie bał się wcale, o nie! tylko po prostu nie mógł się ruszyć — to wszystko. Może i nie bał się śmierci, ale wiecie, co wam powiem? — bał się tego, co miało nastąpić. Przeklęta wyobraźnia roztaczała przed nim całą okropność panicznego popłochu: gwałtowny pęd ludzi traktujących wszystko po drodze, żałosne krzyki, tonące łodzie — straszliwe okoliczności towarzyszące wszelkim katastrofom na morzu, o jakich słyszał kiedykolwiek. Może i pogodził się z myślą o śmierci, ale podejrzewam, że chciał umierać bez tej strasznej grozy, spokojnie, jak gdyby w cichym transie. Pewna gotowość na śmierć nie jest znów taka wyjątkowa, ale rzadko kiedy spotyka się ludzi, których dusze, zakute w hartowną zbroję postanowienia, są gotowe zmagać się w beznadziejnej walce do ostatka; w miarę jak nadzieja zanika, żądza spokoju staje się coraz silniejsza, aż wreszcie przewycięża nawet żądzę życia. Któż z nas tego nie zauważył lub nie doświadczył choć w części tych uczuć na własnej osobie — niezmiernego znużenia wrażeniami, marności wysiłków, tęsknoty za spoczynkiem? Ci, którzy borykają się ze ślepych siłami, znają to dobrze: rozbitkowie w łodziach, wędrowcy zagubieni w pustyni, ludzie wojujący z bezmyślną potęgą natury lub głupią brutalnością tłumów.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Jak długo Jim stał u luku bez ruchu, spodziewając się każdej chwili, że okręt zapadnie mu się pod nogami, a prąd wody zaleje go z tyłu i podrzuci jak wiór — tego nie umiem powiedzieć. Nie bardzo długo — może ze dwie minuty. Dwóch mężczyzn, których nie mógł dojrzeć, zaczęło sennie rozmawiać; doszedł go skądś dziwny odgłos szurających nóg. Ponad tymi słabymi dźwiękami wisiała okropna cisza poprzedzająca klęskę, wisiała dręczące milczenie właściwe chwilom poprzedzającym katastrofę. Nagle przyszło Jimowi do głowy, że może zdąży pobiec i poprzecinać wszystkie rejki od łóżysk, aby łodzie mogły się utrzymać na powierzchni, gdy okręt pójdzie na dno.

„Patna” miała długi mostek; wszystkie łodzie były na górze, cztery z jednej strony i trzy z drugiej — najmniejsza z nich przy lewej burcie, prawie na jednej linii z osprzętem sterowym. Jim, wyraźnie zaniepokojony, czy mu uwierzę, zapewnił mnie, że przygotował je z największą starannością do natychmiastowego użytku. Znał swoje obowiązki. Sądząc, że pod tym względem był wcale dobrym oficerem.

— Uważałem zawsze, że trzeba być przygotowanym na najgorsze — rzekł patrząc mi niespokojnie w twarz. Kiwnąłem potakująco głową, zaznaczając, że zgadzam się z tą zdrową zasadą, i odwracając oczy od niepochwytnej ułomności tego człowieka.

Mówił, mi dalej, iż ruszył z miejsca i biegł niepewnie. Musiał przestępować przez nogi, unikać potknięcia się o głowy. Nagle ktoś chwycił go z dołu za kurtkę i zrozpaczony głos przemówił spod jego łokcia. Jim trzymał w prawej ręce lampę; światło jej padło na zadartą ciemną twarz, której oczy błęgały go razem z głosem. Otrzaskany z językiem krajowców, Jim zrozumiał słowo: woda, powtórzono kilkakrotnie z naciskiem w tonie modlitwy, prawie z rozpaczą. Szarpnął się, aby się wyswobodzić, i poczuł, że czyjeś ramię opasuje mu nogi.

— Ten drab uczepił się mnie jak tonący — rzekł z przejęciem. — „Woda, woda!” Jakąż on wodę miał na myśli? Czy on co wiedział? Z całym spokojem, na jaki tylko mogłem się zdobyć, rozkazałem, aby mię puścił. Zatrzymywał mię; czas naglił, inni ludzie zaczęli się ruszać; a ja potrzebowałem czasu — czasu, aby poprzecinać więzy trzymające łodzie. Chwycił mię teraz za rękę; czulem, iż zaczniesz krzyczeć! Błysnęło mi, że to by wystarczyło dla wywołania paniki; zamachnąłem się wolną ręką i rzuciłem mu lampę w twarz. Szkło brzękło, lampa zgasła, ale to uderzenie sprawiło, że mię puścił; uciekłem — chciałem się dostać do łódek! Skoczył za mną. Rzuciłem się na niego. Nie myślałem się uspokoić; usiłowałem krzyczeć; o mało go nie udusiłem, nim zrozumiałem, o co mu chodzi. Chciał trochę wody — wody do picia; wydzielali im skąpe racje, rozumie pan, a on miał z sobą młodego chłopca, którego przedtem kilka razy zauważyłem. Syn jego był chory i spragniony. Człowiek ów dojrzał mię, gdym go mijał, i poprosił o trochę wody. To było wszystko. Staliśmy w ciemności pod mostkiem. Chwytał mię ciągle za rękę;

¹⁴kelasi (mal.) — marynarz. [przypis edytorski]

nie było sposobu go się pozbyć. Wpadłem do kabiny, porwałem butelkę z wodą i wetknąłem mu ją do ręki. Znikł. Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, jak bardzo sam byłem spragniony.

Jim oparł się na łokciu i ocieniał ręką oczy. Czulem, jak mi dreszcz zbiega po grzbiecie; w tym wszystkim było coś szczególnego. Palce ręki osłaniającej mu czoło drżały z lekka. Przerwał krótkie milczenie.

— Te rzeczy zdarzają się człowiekowi tylko raz w życiu i... Ale co tam! Kiedy wróciłem wreszcie na mostek, tamte draby usiłowały zdjąć łódź z łożyska. Łódź! Wbiegałem właśnie po drabinie, gdy silne uderzenie spadło mi na ramię, o włos od głowy. Nie zatrzymało mnie to, a główny mechanik — wyciągnięto go już podówczas z koi — znowu zamierzył się na mnie drążkiem od pokrowca. Byłem tak jakoś usposobiony, że niczemu się nie dziwiłem. Wszystko to wydawało mi się naturalne — i okropne... okropne. Wymknąłem się temu nędznemu wariatowi, podniosłem go z pokładu jak piórko, a on zaczął mi szeptać w ramionach: „Niechże mnie pan puści! Myślałem, że to nie pan, tylko jeden z tych tam Murzynów”. Odrzuciłem go precz; potknął się na mostku i zbił z nóg tego małego faceta, drugiego mechanika. Szyper, krzątający się koło łodzi, obejrzał się i zaczął iść na mnie ze spuszczoną głową, warcząc jak dzika bestia. Stałem w miejscu jak słup. Anim drgnął, jakbym był o, tym — stuknął z lekka kostkami palców w ścianę koło swego krzesła. — Zdawało mi się, że słyszałem to wszystko, widziałem to wszystko, przeszedłem przez to wszystko już dwadzieścia razy. Nie bałem się ich. Cofnąłem wyciągniętą pięść, a on zatrzymał się mrużąc: „A to pan. Prędko, pomagaj pan”. Tak powiedział. Prędko! Jakby szybkość tu mogła coś znaczyć! „A co wy chcecie zrobić?” — zapytałem. „Zwiazć” — warknął przez ramię.

— Nie zdaje mi się, abym wtedy zrozumiał, co szyper miał na myśli. Tamci dwaj dźwignęli się tymczasem na nogi i pobiegli do łódki. Dreptali, sapali, popychali się, klęli na łódź, na okręt, na siebie — klęli na mnie. Wszystko szeptem. Nie ruszałem się wcale, nie mówiłem nic. Śledziłem pochylenie statku. Tkwił tak nieruchomo, jakby był osadzony na blokach w suchym doku, tylko że wyglądał tak: — Podniósł rękę dłońią w dół i pochylił palce. — O tak — powtórzył. — Widziałem przed sobą nad dziobem linię widnokregu jak na dłoni; widziałem hen daleko wodę czarną i błyszczącą, i cichą — cichą jak staw, śmiertelnie cichą, cichszą niż kiedykolwiek — tak cichą, że nie mogłem znieść jej widoku. Czy pan kiedy śledził statek pochyłony dziobem w dół, statek, któremu przeszkadza pójść na dno płyta starego żelaza, zżarta przez rdzę do tego stopnia, że nie można jej nawet podeprzeć? Był pan kiedy w takim położeniu? Aha, podeprzeć! Myślałem o tym — o czym ja wówczas nie myślałem! — ale czy można podeprzeć gródź w pięć minut — albo chociażby w pięćdziesiąt? Skąd wziąć ludzi, którzy by poszli tam na dół? A drzewo — drzewo? Czy byłby pan miał odwagę zamachnąć się młotem i uderzyć w gródź, gdyby pan przedtem ją widział? Niech pan nie mówi, że tak; nie widział pan jej; nikt by się na to nie odważył. Żeby taką rzecz zrobić, trzeba wierzyć, że to jest możliwe, do licha — że jest możliwość choćby jedna na tysiąc, że jest choćby cień nadziei; a temu by pan nie uwierzył. Nikt nie byłby temu uwierzył. Pan mnie uważa za psa, ponieważ tam stałem bez ruchu, ale co pan byłby zrobił na moim miejscu? Właśnie! Ani pan, ani nikt powiedzieć mi tego nie może. Na rozejście się trzeba mieć czas, a co ja mogłem zrobić? Czy miałem dopuścić, żeby wszyscy ci ludzie, których przecież sam wyratowałem nie mogłem, których nic wyratować nie mogło — żeby ci ludzie poszaleli z trwogi? Proszę pana, tak jak tu na tym krześle przed panem siedzę...

Dyszał gorączkowo co kilka słów i rzucał na mnie szybko wzrokiem, jakby w udręce badał na mej twarzy wrażenie, które wywierał. Nie mówił do mnie, mówił tylko w mojej obecności, spierał się z jakąś niewidzialną osobistością, wrogiem i nieodłącznym współnikiem swego istnienia — drugim właścicielem swej duszy. Wynik sporu był poza kompetencją sądu: ten spór o prawdziwą istotę życia, niezmiernie subtelny i doniosły, sędziego nie potrzebował. Jim pragnął sprzymierzeńca, pomocnika, współwinowajcy. Czulem, że grozi mi z jego strony podejście, obalamucenie, pułapka, może nawet gwałt, byłem tylko chciał zająć wyraźne stanowisko w sporze niemożliwym do rozstrzygnięcia — gdyż niepodobna było wymierzyć sprawiedliwości wszystkim zjawom gnieźdzącym się w duszy Jima: i szlachetnym, które miały swoje prawa, i niegodnym, które stawiały swoje wy-

magania. Nie umiem wam wytłumaczyć mych sprzecznych uczuć, wam, którzyście go nie widzieli i słyszycie jego słowa tylko z moich ust. Zdawało mi się, że mnie zmuszają do zrozumienia Niepojętego — a nie znam nic przykrzejszego od takiego uczucia. Kazano mi oglądać płytkość czającą się w każdej prawdzie i zasadniczą szczerłość fałszu. Jim przemawiał do wszystkich stron mojej duszy — do tej, która jest zawsze zwrócona ku światłu, i do tamtego naszego oblicza, co jak druga półkula miesiąca, istnieje potajemnie w wiecznym mroku, oświetlona niekiedy z samego brzegu okropnym, szarym blaskiem. Byłem pod wpływem Jima. Przyznaję się do tego, wyznaję to. Jego wypadek jest nieciekawym, mętłym — wszystko, co chcecie: zgubiony młodzieniec, wśród miliona innych — ale jednak był to jeden z nas; jego przygoda miała równie małe znaczenie jak zatopienie mrowiska, a przecież tajemnicza postawa tego człowieka zaprzętała mię tak bardzo, jak gdyby on był najwybitniejszą jednostką swego rodzaju, jakby niejasna prawda ukryta w jego głębi dość była doniosła, by wpłynąć na wyobrażenie ludzkości o samej sobie...

Marlow zatrzymał się, żeby tchnąć życie w zamierające cygaro; zdawało się, iż zapomniiał doszczętnie o swym opowiadaniu, gdy nagle zaczął znowu:

— Naturalnie, że to moja wina. Człowiek nie powinien doprawdy tak się przejmować. To słabość z mej strony. Jego słabość była innego rodzaju. Moja polegała na tym, że nie mam dość bystrego wzroku dla rzeczy przypadkowych — zewnętrznych — że nie dostrzegam koszyka gałganiarza lub cienkiej bielizny sąsiada. Stykałem się z tylu ludźmi — ciągnął z przelotnym smutkiem — a stykałem się z nimi z pewnym... pewnym, powiedzmy, rozpędem, tak jak z tym chłopcem na przykład, i za każdym razem umiałem w nich dostrzec tylko człowieka. Mam jakiś podły, demokratyczny rodzaj wzroku, który może jest lepszy od zupełnej ślepoty, ale nie przynosi mi pożytku — o tym was mogę zapewnić. Ludzie się spodziewają, że się weźmie pod uwagę ich piękną bieliznę; nie umiałem nigdy wzbudzić w sobie zachwyty dla rzeczy tego rodzaju. A to jest wadą; jest wadą. No i przychodzi taki łagodny wieczór jak dziś; naokoło mnie siedzą ludzie zbyt leniwi, aby grać w wista — i zaczyna się opowiadanie...

Zatrzymał się znów, czekając może na jakąś zachęcającą uwagę, ale nikt się nie odezwał; tylko gospodarz jak gdyby niechętnie spełniając swój obowiązek mruknął:

— Jesteś subtelny, Marlow.

— Kto? ja? — rzekł Marlow cichym głosem. — Ach nie, ale Jim był subtelny; i choćbym się nie wiem jak starał, aby to opowiadanie dobrze wypadło, uchodzi mi mnóstwo odcieni — takie są delikatne, takie trudne do oddania w bezbarwnych słowach. A Jim komplikował jeszcze sprawę przez to, że był taki prosty — ileż ten nieborak miał prostoty!... naprawdę, że mnie zdumiewał. Siedział tam i mówił: że tak, jak go widzę przed sobą, nigdy by się nie uląkł niczego — i wierzył w to w dodatku! Mówię wam, to było bajecznie naiwne — i niesłychane, niesłychane! Obserwowałem go skrycie, zupełnie jakbym podejrzewał, że chce mię porządnie nabrać. Był przekonany, iż mówiąc uczciwie — „uczciwie, rozumie pan!” — nie ma rzeczy, przed którą by się cofnął. Już kiedy był ot, takim, „zupełnie małym smykem”, przygotowywał się do spotkania wszelkich trudności, jakie się mogą przydarzyć na lądzie i morzu. Przyznawał się z dumą do swej przezorności, obmyślał niebezpieczeństwa i obronę przed nimi, spodziewając się najcięższych prób, przeświadczony, że się z nich jak najlepiej wywiąże. Musiał wieść życie pełne egzaltacji. Czy możecie je sobie wyobrazić? Nieustanny szereg przygód, sława, zwycięski pochód naprzód — i głębokie poczucie własnej zaradności, które nie opuszczało go ani na chwilę. Zapamiętał się mówiąc; oczy mu błyszczały; każde słowo zdradzało coraz wyraźniej całą jego niedorzeczność — a mnie serce ciążyło coraz dotkliwiej. Nie miałem najmniejszej ochoty do śmiechu i aby się nie uśmiechnąć, przybrałem niewzruszony wyraz twarzy. Jim zaczął przejawiać irytację. „Zawsze zdarza się to, czego człowiek nie oczekuje” — rzekłem pojednawczym tonem. Moja niewzruszoność wyrwała mu pogardliwe: „Et!” Pewno chciał dać przez to do zrozumienia, że żadna niespodzianka nie wytrąciłaby go z równowagi; chyba tylko coś niepojętego mogłoby zaszachować jego bezwzględna gotowość na wszystko. Został zaskoczony. Mruknął pod nosem przekleństwo na morze i niebo, na statek, na ludzi.

Wszystko go zdradziło! Został chytrze wciągnięty w pewnego rodzaju wzniosłą rezygnację, która nie pozwoliła mu nawet ruszyć palcem; a tymczasem tamci, zdający sobie jasno sprawę z położenia, pracowali w pocie czoła nad spuszczeniem łodzi potrajając się

nawzajem. Coś się tam popsulo w ostatniej chwili. Zdaje się, że w pośpiechu doprowadzili jakimś dziwnym sposobem do tego, że boleć z przodu łożyska zaciął się na głucho; stracili resztę przytomności wobec tego fatalnego wypadku. Ładny widok musiały przedstawiać te zapamiętałe wysiłki czterech drabów mozolących się na nieruchomym statku, który unosił się spokojnie na wodzie wśród ciszy śpiącego świata; starali się wyzyskać każdą chwilę w walce o oswobodzenie tej łodzi; pełzali na czworakach, dźwigali się z rozpaczą i ciągnęli, pchali, warcząc jadownicie na siebie, gotowi zabić, gotowi płakać; od skoczenia sobie nawzajem do gardła powstrzymywał ich tylko strach przed śmiercią, która stała spokojnie nad nimi jak nieugięty poborca o chłodnym spojrzeniu. O tak! to musiał być ładny widok. Jim widział to wszystko i mógł o tym mówić z pogardą i goryczą; a był dokładnie o wszystkim powiadomiony chyba za pomocą szóstego zmysłu, ponieważ przysiągł mi, że trzymał się cały czas na uboczu i nie spojrzął ani razu na nich i na łódź — ani razu. A ja mu wierzyłem. Sądzę, że był zbyt pochłonięty śledzeniem niebezpiecznie pochylonego statku — groźbą zagłady odkrytą wśród najzupełniejszego bezpieczeństwa — że urzekł go miecz wiszący na włosku nad jego romantyczną głową.

Wszystko było nieruchome przed jego oczami; nic mu nie przeszkadzało wyobrazić sobie, jak ciemny widnokrąg nagle się wzniesie, a rozległa morska równina przechyli się w górę; widział szybkie, ciche zbliżanie się przepaści, brutalny jej skok i chwyt, beznadziejną walkę, gasnące światło gwiazd, mrok zwierający się na zawsze nad jego głową jak sklepienie grobu, bunt swego młodego życia — czarny kres. Wyobrażał sobie to wszystko! Na Boga, kto by sobie tego nie wyobraził? A trzeba pamiętać, że Jim był artystą w owym szczególnym zakresie, że ten nieborak miał dar szybkiej wizji poprzedzającej wypadki. Widok, który się przed nim roztoczył, obrócił go od stóp do głów w kamień; ale w głowie kłębiły mu się gorączkowe myśli, kulawe, ślepe, nieme myśli — wir okropnych kalek. Czy nie mówiłem wam, że się przede mną spowiadał, jakbym miał władzę potępić go lub rozgrzeszyć? Rył się w sobie coraz głębiej w nadziei na moje rozgrzeszenie — które by mu się na nic nie przydało. Był to jeden z tych wypadków, których żaden uroczysty fałsz nie może złagodzić, którym zaradzić nie jest w ludzkiej mocy; sam Stwórca zdaje się grzesznika opuszczać i zostawiać go samemu sobie.

Jim stał z prawej strony mostka, odsunawszy się jak najdalej od walki o łódź — walki tajemnej niby spisek i toczącej się wśród wariackiego podniecenia. Tymczasem obaj Malaje pozostali u koła trzymając ręce na szprychach. Wyobraźcie sobie aktorów tego — dzięki Bogu — wyjątkowego morskiego epizodu; czterech ludzi wprost oszalałych od gwałtownych, skrytych wysiłków i trzech przypatrujących się im w zupełnym bezruchu — ponad płóciennym dachem osłaniającym głęboką nieświadomość setek ludzkich istot wraz z ich znużeniem, marzeniami, nadziejami — istot zatrzymanych przez niewidzialną rękę na skraju zagłady. Bo że tak było, nie mam co do tego żadnych wątpliwości; zważywszy na stan okrętu, uważam ów wypadek za jeden z najgorszych, jakie się mogą wydarzyć. Te draby u łodzi miały aż nadto powodów do wariowania ze strachu. Mówię szczerze; gdybym się tam znalazł, nie dałbym i złamanego szeląga, że okręt się utrzyma na powierzchni przez następną sekundę. A jednak unosił się wciąż na wodzie. Przeznaczeniem tych śpiących pielgrzymów było, aby dokonali swej wędrówki w goryczy — inny jakiś koniec był im sądzony. Zdawało się, że Wszechpotęga, w której miłosierdzie wierzyli, potrzebując jeszcze na chwilę świadectwa ich pokory na tej ziemi, spojrziała w dół, aby oceanowi dać znak: „Nie wolno!” Ocalenie „Patny” byłoby dla mnie faktem absolutnie niepojętym, gdybym nie wiedział, do jakiego stopnia stare żelazo jest czasem wytrzymałe — równie wytrzymałe niekiedy jak duch ludzi, jakich się spotyka od czasu do czasu, ludzi zużytych do cna, lecz dźwigających wciąż ciężar życia.

Jednym z najdziwniejszych objawów w ciągu tych dwudziestu minut było według mnie zachowanie obu sterników. Należeli do gromady przeróżnych krajowców sprawdzonych z Adenu dla zeznań w czasie śledztwa. Jeden z nich, walczący z wielką nieśmiałością, bardzo był młody, a sądząc z jego gładkiej, żółtej, wesołej twarzy, można było myśleć, że jest jeszcze młodszy niż w rzeczywistości. Pamiętam doskonale, jak Brierly zapytał go przez tłumacza, co myślał w owej chwili, tłumacz zaś, zamieniwszy z nim kilka słów, zwrócił się do sądu z godną miną: „Mówi, że nic nie myślał”.

Drugi sternik, o cierpliwych, mrugających oczach, miał na głowie zwiniętą zręcznie niebieską bawełnianą chustę, wyblakłą od prania, spod której sterczało mnóstwo siwych

kosmyków. Twarz jego była pomarszczona, zapadła, ponura, a cera brunatna, pociemniała od sieci zmarszczek; wyjaśnił, że wiedział, iż coś złego się dzieje ze statkiem, ale nie otrzymał żadnego rozkazu; nie pamiętał, aby mu dano jaki rozkaz; dlaczegóż by miał opuścić ster? Przy dalszych pytaniach wyprężył nagle ruchem chude barki i oświadczył, że mu nawet nie przyszło do głowy, aby biali mogli opuścić okręt ze strachu przed śmiercią. Nawet i teraz w to nie wierzy. Musiały tam być jakieś ukryte przyczyny. Pokiwał znacząco brodą. Aha! ukryte przyczyny. Jest człowiekiem wielce doświadczonego i chce, aby ten biały tuan wiedział — zwrócił się ku Brierly'emu, który nie podniósł głowy — że on, sternik, nabył wiele wiadomości służąc białym ludziom na morzu przez długie lata. I nagle, trzęsąc się z podniecenia, zaczął sypać przed skupioną uważnie publicznością mnóstwo dziwnie brzmiących imion, nazwisk zmarłych szyprów, nazw zapomnianych statków krajowych, słów o brzmieniu znanym i wypaczonym, jakby ręka niemego czasu ciążyła na nich od wieków. Zatrzymano go wreszcie. Cisza zaległa salę — cisza nie zamącona co najmniej w ciągu minuty i przechodząca stopniowo w głęboki pogwar. Ten epizod zrobił sensację w drugim dniu śledztwa; wywarł wrażenie na publiczności, wywarł wrażenie na wszystkich prócz Jima, który siedział pośepnie u końca pierwszej ławki i nie podniósł oczu ani razu na tego niezwyklego i obciążającego świadka, co zdawał się posiadać jakiś tajemniczy system obrony.

Tedy obaj laskarowie tkwili u koła tego okrętu, którym nie można już było sterować, i śmierć by ich tam zastała, gdyby takie było ich przeznaczenie. Biali nie popatrzyli na nich nawet przelotnie, zapomnieli widać o ich istnieniu. W każdym razie Jim sobie tego nie przypominał. Pamiętał tylko to, że czuł się zupełnie bezsilny — ponieważ był sam jeden. Pozostawało mu tylko zatonąć razem z okrętem. Czy warto było zakłócać ludziom spokój? I po co? Czekał bez słowa, stężył w tej jednej myśli — w pewnego rodzaju bohaterskiej dyskrecji. Pierwszy mechanik przebiegł ostrożnie w poprzek mostku i pociągnął go za rękaw. „Chodź pan i pomóż! Na miłość boską, chodźże pan i pomóż!” Pobiegł do łodzi na palcach i wrócił natychmiast, żeby ciągnąć znów Jima za rękaw, błagając go i przeklinając zarazem.

— Zdawało się, że gotów mnie całować po rękach — rzekł Jim z wściekłością — a zaraz potem zaczął się pienieć i szeptać mi w twarz: „Gdybym miał czas, z rozkoszą bym leś panu roztrzaskał”. Odepchnąłem go. Nagle chwycił mnie za szyję. Uderzyłem go, psiakrew. Biłem, gdzie popadło. „Nie chcesz się wyratować — ty piekielny tchórze!” — zaszlochał. Tchórze! Nazwał mnie piekielnym tchórzem! Cha, cha, cha, cha! Nazwał mnie — cha, cha, cha!...

Jim rzucił się w tył i dygotał ze śmiechu. Nigdy w życiu nie słyszałem czegoś równie gorzkiego. Ten śmiech padł jak zaraza na paplaninę o osłach, piramidach, bazarach i tak dalej. Wzdłuż całej galerii, długiej i ciemnej, głosy przycichły, blade plamy twarzy zwróciły się jednocześnie w naszą stronę i cisza stała się tak głęboka, że jasny dźwięk łyżeczki padającej na mozaikową posadzkę werandy zabrzmiał jak wątły, srebrzysty krzyk.

— Niech się pan tak nie śmieje, tu pełno ludzi — strofowałem go. — To nie wypada, pan przecież rozumie.

Z początku nie było po nim widać, czy mnie usłyszał, ale po chwili mruknął niedbale, patrząc mimo mnie wzrokiem, który zdawał się przenikać w głąb jakiegoś strasznego zjawiska:

— Ach, pomyślał, że jestem pijany.

Sądząc po jego wyglądzie, można było przypuszczać, że nigdy nie wyrzeknie już ani słowa. Ale gdzież tam! Nie mógł już teraz przestać mówić, tak jakby nie mógł przestać żyć przez sam wysiłek woli.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Mówiłem w myśli: „Toń, przeklęty! toń!” — To były słowa, od których rozpoczął na nowo. Pragnął, żeby to się już raz skończyło. Zostawiono go w zupełnym spokoju i zwracał się tak w duszy do statku, złorzecząc mu, a jednocześnie widział sceny jakby wyjęte z nędznej komedii. Mordowali się wciąż nad tym bólcem. Szyper rozkazywał:

„Wleźcie pod spód i starajcie się łódź podnieść” — ale tamci nie chcieli. Rozumiecie — nie byłoby przyjemnie dać się zaskoczyć, leżąc na płask pod kilem łodzi, w razie gdyby

okręt poszedł nagle na dno.

„A czemu to pan nie wlezie? pan jest najsilniejszy” — zaskomlał mały maszynista.

„*Gott-for-dam!*¹⁵ Jestem za gruby” — wykrztusił szyper z rozpaczą. Takie to było zabawne, że człowiek mógł umrzeć ze śmiechu. Stali przez chwilę beczynnienie; nagle główny mechanik podbiegł znów do Jima.

„Chodźże i pomóż! człowieku! Czyś ty oszalał, żeby odrzucać jedyny ratunek? Rusz się i pomóż! Patrz tam, patrz!”

Jim zwrócił się wreszcie w stronę rufy, gdzie tamten wskazywał z uporem mania-ka. Ujrzał niemy, czarny szkwał, który już był pożarł jedną trzecią nieba. Wiecie, jak te szkwały pojawiają się w tamtych stronach o tej porze roku. Naprzód ściemnia się tylko widnokrąg; potem wznosi się chmura, nieprzenikniona jak ściana. Prosta krawędź mgły, obrzeżona mdłym, białawym polyskiem, nadbiega z południo-zachodu polykając gwiazdy całymi konstelacjami; jej cień pędzi po wodzie i stapia morze z niebem w jedną otchłań ciemności. A wszędzie jest cicho. Ani grzmotów, ani wiatru, ani najłżejszego szmeru; błyskawic ni śladu. Potem w mrocznej nieskończoności pojawia się siny huk; przebiegają nieliczne fale, które są niby rozkołysaną ciemnością, i nagle wichry i deszcz uderzają ze szczególnym impetem, jakby się przedarły przez jakąś twardą zaporę. Taka właśnie chmura zjawiała się, podczas gdy patrzyli. Tamci dopiero co ją spostrzegli i sądzili słusznie, że o ile w zupełnej ciszy „Patna” mogłaby jeszcze utrzymać się na wodzie przez parę minut, o tyle najłżejsze wzburzenie morza oznaczałoby jej natychmiastową zgubę. Pierwsze pochylenie statku na fali, która poprzedza wybuch takiego szkwału, byłoby także ostatnim; „Patna” zanurzyłaby się, a potem dałaby długiego, długiego nurka w dół — aż do samego dna. Stąd pochodził nowy napad strachu tych drabów, stąd ponowne błazeńskie wybryki, w których przejawiała się niezmierna odraza do śmierci.

— Było czarno, czarno — ciągnął Jim z ponurym spokojem. — Zakradło się to na nas z tyłu. Piekielna zmora! W głębi ducha musiałem chyba mieć jeszcze trochę nadziei. Nie wiem. Ale teraz już wszystko przepadło. Ogarnął mnie szal, gdy poczułem, że jestem przyłapany. Wściekałem się, jakbym wpadł w potrzask. Znalazłem się doprawdy w potrzasku! Pamiętam też, że noc była parna, bez najłżejszego powiewu.

Pamiętał to tak dobrze, iż teraz siedząc na krześle dyszał, zdawał się oblewać potem i dusić na moich oczach. Doprowadzało go to do szału — opowiadał dalej o sobie — ale przywiodło mu na myśl ową ważną przyczynę, która skierowała go na ten mostek — i o której natychmiast zapomniał. Chciał przecież poprzecinać więzy umacniające łodzie ratunkowe. Wyrwał z kieszeni nóż i zaczął ciąć, jakby nie widział nic, nie słyszał nic, nie znał nikogo na statku. Pomyśleli, że jest beznadziejnie uparty i narwany, ale nie śmieli się głośno sprzeciwiać tej beżużytecznej stracie czasu. Kiedy skończył, powrócił na to samo miejsce, gdzie był przedtem. Został tam główny mechanik, który wpił mu się w ramię szepcząc tuż przy jego głowie, jakby chciał ugryźć go w ucho:

„Ty durniu! Myślisz, że będzie choć cień nadziei, kiedy te wszystkie bestie znajdą się w wodzie? Przecież jak nic roztrzaskają ci głowę dostając się do łódek!”

Łamał ręce u boku Jima, który nie zwracał na niego żadnej uwagi. Szyper suwał nerwowo nogami w miejscu i mamlął:

„Młotek! młotek! *Mein Gott!* ¹⁶Przynieście młotek”.

Mały mechanik zaszlochał jak dziecko, ale mimo wszystko, mimo złamanej ręki, okazał się najmniejszym tchórzem z nich wszystkich; zdobył się rzeczywiście na odwagę i pobiegł do maszynowni, aby wykonać zlecenie. Nie była to fraszka, co trzeba przyznać bezstronnie. Według słów Jima, rozejrzał się przedtem rozpaczliwie jak człowiek osaczony, zajęczał żałośnie i poleciał. W mig był z powrotem, wbiegł po drabinie z młotkiem w rękę i rzucił się od razu na ten boleć. Tamci odbiegli Jima natychmiast, aby mu pomóc. Jim słyszał stukanie młotka, a potem odgłos spadającego bolca. Łódź była wolna. Dopiero wtedy odwrócił się, aby spojrzeć — dopiero wtedy. Ale trzymał się z daleka — trzymał się wciąż z daleka. Chciał, abym wiedział, że trzymał się wciąż z daleka, że nie było nic wspólnego między nim a tamtymi ludźmi, którzy mieli młotek. Nic a nic! Jest bardziej niż prawdopodobne, że uważał się za odciętego od nich nieprzebytą zaporą, prze-

¹⁵*Gott-for-dam!* — prawdopodobnie zniekształc. niem. *Gottverdammich*: do diabła! [przypis edytorski]

¹⁶*Mein Gott!* (niem.) — Mój Boże! [przypis edytorski]

szkodą nie do pokonania, przepaścią bez dna. Nie mógł się od nich jeszcze dalej odsunąć — dzieliła ich już cała szerokość statku.

Nogi Jima jak gdyby wrosły w to odległe miejsce, a oczy były przykute do niewyraźnej grupy tamtych ludzi pochylonych w jedną stronę i miotających się dziwnie we wspólnych katuszach strachu. Ręczna lampa, przywiązana do słupka nad stolikiem ustawionym na mostku — „Patna” nie miała kajuty nawigacyjnej na śródokręciu — rzucała światło na ich wyprężone ramiona, na wygięte w kabłąk, drgające plecy. Pchali łódź od dziobu; pchali ją w noc; pchali i już nie myśleli oglądać się na Jima. Machnęli na niego ręką, jakby doprawdy był zbyt odległy, zbyt beznadziejnie od nich odcięty i niewart życzliwego słowa, znaku lub spojrzenia. Nie mieli czasu oglądać się na jego bierne bohaterstwo ani czuć żądła jego powściągliwości. Łódź była ciężka; pchali od dziobu, nie tracąc ani jednego oddechu na zachęcające słowa, lecz paroksyzm strachu, który zmiotł ich panowanie nad sobą jak wichler plewy, uczynił z tych rozpaczliwych wysiłków śmieszne błazeństwo, odpowiednie — dają słowo — dla kłownów wygłupiających się w cyrku. Pchali rękami, nogami, chodziło przecież o życie, pchali całym ciężarem ciała, całą mocą swych dusz — ale skoro im się tylko udało odwrócić dziób ku morzu, przestawali pchać jak jeden mąż i gramolili się do łodzi niby szaleni. Naturalnym tego skutkiem było, że łódź cofała się nagle, odtrącając ich w tył, bezradnych i przewracających się na siebie. Stali przez chwilę zbici z tropu, wymyślając sobie w dzikich szepcach najohydniejszymi wyzwiskami, jakie sobie tylko mogli przypomnieć, i zaczynali na nowo. Powtórzyło się to trzy razy. Jim opisywał mi wszystko z ponurą dokładnością. Nie uszedł mu ani jeden ruch z tych śmiesznych wysiłków.

— Brzydziłem się nimi. Nienawidziłem ich. Musiałem na to wszystko patrzeć — rzekł z prostotą, zwracając na mnie mroczne, czujne spojrzenie. — Czy był kto kiedy poddany takiej haniebnej próbie!

Ujął na chwilę głowę w dłonie, jak człowiek doprowadzony do szału przez jakąś niesłychaną obelgę. Tych rzeczy nie mógł wyjaśnić sądowi — a i mnie nawet; ale nie byłbym człowiekiem odpowiednim do słuchania jego zwierzeń, gdybym nie rozumiał, co znaczą od czasu do czasu pauzy między jego słowami. W tym ataku na siłę jego ducha była szydercza celowość jakiejś złośliwej, nikczemnej zemsty; w jego męczarni było coś groteskowego — jakby los chciał go poniżyć strojąc przed nim dziwaczne miny wobec zbliżającej się śmierci lub niesławy.

Faktów, które Jim opowiadał, nie zapomniałem, lecz z tej odległości czasu nie mógłbym podać ściśle jego słów; pamiętam tylko, że umiał zdumiewająco przelać głuchą urazę swej duszy w nagły opis wypadków. Dwakroć — jak mi mówił — zamykał oczy w przekonaniu, że koniec już nadszedł, i dwakroć musiał je znowu otworzyć. Za każdym razem zauważył ściemnianie się wielkiej ciszy. Cień milczącej chmury padał już na okręt z zenitu i rzekłbyś, zdławił na nim wszelkie dźwięki różnorodnego życia. Jim nie słyszał już głosów pod zasłoną. Powiedział mi, że gdy tylko zamykał oczy, błysk myśli ukazywał mu z niesłychaną wyrazistością tłum ciał wydanych śmierci. Kiedy znów oczy otworzył, widział mętnie walkę czterech ludzi, którzy zmagali się jak szaleni z upartą łodzią.

— Odskakowali od niej raz po raz, stali besztając się nawzajem i potem nagle rzucali się znów na nią gromadnie... Można było umrzeć ze śmiechu — zauważył ze spuszczonej oczami, po czym podniósł je na chwilę ze złowieszczym uśmiechem: — Powinno to być dla mnie źródłem wesołości na całe życie, jak mi Bóg miły! bo ten śmieszny widok nawiedzi mnie jeszcze nieraz przed śmiercią. — Spuścił znów oczy. — Widzę to i słyszę... Widzę to i słyszę — powtórzył po długiej przerwie, podczas której patrzył bezmyślnie przed siebie.

Ocknął się.

— Postanowiłem, że oczu nie otworzę — rzekł — i nie mogłem wytrzymać. Nie mogłem, i wszystko mi jedno, co kto o tym myśli. Niech przeżyją coś podobnego, nim zaczną mię sądzić. Niech przejdą przez to i zachowają się lepiej ode mnie, niczego więcej nie żądam. Za drugim razem otworzyłem w mig oczy, a także i usta. Poczulem, że statek się rusza. Pochylił lekko dziób i podniósł go ostrożnie, powoli, trwało to całą wieczność. Nie zdarzyło się to statkowi od wielu dni. Chmura popędziła naprzód i pierwsza fala zdawała się wędrować po morzu z ołowiu. Nie było życia w tym poruszeniu — a jednak ono zdołało wyrzucić coś w mojej głowie. Co byłby pan zrobił? Pan jest siebie pewien,

prawda? Co by pan zrobił, teraz, w tej oto minucie — gdyby pan poczuł, że ten tu dom się chwieje, że zachwiał się leciutko pod pańskim krzesłem? Skoczyłby pan! Na Boga! Dałby pan susa z miejsca, gdzie pan siedzi, i wylądowałby pan o tam, w tej kępie krzaków.

Wyciągnął szybko rękę ku nocy za kamienną balustradą. Siedziałem bez ruchu. Patrzył na mnie bardzo spokojnie i surowo. To było jasne: chciał mię sterroryzować; musiałem siedzieć bez ruchu, aby się nie dać pobudzić do jakiegoś niewczesnego gestu lub słowa, które by mogło zaważyć w tej sprawie. Nie miałem ochoty na żadne ryzyko. Nie zapominajcie o tym, że siedziałem z nim twarzą w twarz, i doprawdy — tak bardzo każdego z nas mi przypominał, iż przez to stawał się niebezpieczny. Jeżeli zaś chcecie wiedzieć, to powiem wam chętnie, że nawet zmierzylem szybkim spojrzeniem odległość dzielącą mię od ciemnej plamy przed werandą na środku trawnika. Jim przesadzał. Byłbym wyskoczył o kilka stóp bliżej — to jedyna rzecz, której jestem zupełnie pewien.

Myślał, że nadeszła ostatnia chwila, a jednak nie ruszał się wcale. Nogi jego były wciąż przyrosnięte do desek, choć myśli kłębiły mu się w głowie. A przy tym właśnie w tej chwili spostrzegł, że jeden z ludzi przy łódce odstał nagle w tył, chwycił wyciągniętymi rękami powietrze, zachwiał się i osunął. Nie upadł właściwie, tylko siadł powolutku, skurczony, z plecami opartymi o bok łuku do maszynowni.

— Taki wynędzniały człeczyna o wybladłej twarzy i strzępiastych wusach. Pełnił funkcję trzeciego mechanika — wyjaśnił Jim.

— Umarł — wtrąciłem. — Słyszeliśmy coś o tym w sądzie.

— Tak mówią — wyrzekł z ponurą obojętnością. — Nic o tym naturalnie nie wiedziałem. Miał słabe serce. Skarżył się już jakiś czas przedtem, że źle się czuje. Był wzburzony, spracował się przy tej łodzi. Diabli go wiedzą. Cha, cha, cha! Jasne było, że nie chciał jednak umierać. Zabawne, prawda? Słowo daję, naciągali go po prostu na samobójstwo. Naciągali go — ni mniej, ni więcej. Naciągali go na to, Bóg świadkiem! podczas gdy ja... Ach! gdybyż był się spokojnie zachował; gdybyż był ich posłał do diabła, kiedy przyszli go wyrwać z koi, wówczas jak statek tonął. Gdybyż tak stał na boku, z rękami w kieszeniach, i tylko im wymyślał!

Zerwał się, potrząsnął pięścią, popatrzył mi w oczy i siadł z powrotem.

— Stracona sposobność, co? — szepnąłem.

— Dlaczego pan się nie śmieje? — rzekł. — To przecież kawał, który wylął się w piekło. Słabe serce! Żałuję czasem, że moje serce nie było słabe.

To mnie podrażniło.

— Żałuje pan? — wykrzyknąłem z głęboką ironią.

— Tak! czy pan tego nie rozumie? — zawołał.

— Czegóż to pan jeszcze nie będzie żałował! — rzekłem gniewnie. Spojrzał na mnie nie rozumiejąc wcale, o co mi chodzi. Ten pocisk minął go także, a Jim nie był człowiekiem, który by się troszczył o zbłąkane strzały. Słowo daję, za mało był podejrzliwy; partia nie była równa. Cieszyłem się, że mój pocisk się zmarnował — że Jim nie usłyszał nawet dźwięku cięciwy.

Oczywiście, nie mógł wówczas wiedzieć, że tamten człowiek nie żyje. Następną minutą — ostatnią minutą Jima na pokładzie — kłębiła się od wypadków i uczuć, które były w niego jak morze w skałę. Używam rozmyślnie tego porównania, ponieważ opierając się na jego relacji zmuszony jestem wierzyć, że zachował przez ten czas dziwne złudzenie bierności, jakby sam nie był czynny, jakby uległ władzy piekielnych sił, które wybrały go na ofiarę swego żartu. Pierwszą rzeczą, z jakiej sobie zdał sprawę, był zgrzyt ciężkich żurawików, które się wreszcie obróciły za burtę — a hałas ten zdawał się przenikać z pokładu przez podeszwy do jego ciała i wędrować w górę po grzbiecie aż do ciemienia. Potem, gdy szkwał przybliżył się znacznie, druga, cięższa fala podniosła bierny kadłub wśród groźnego kołysania, które zaparło oddech Jimowi, a jednocześnie paniczne krzyki przebiły mu jak miecz umysł i serce:

— Puszczajcie! Na miły Bóg, puszczajcie! Puszczajcie! Statek tonie!

Zaraz potem liny przesunęły się po zgrzytających blokach, a pod płóciennym dachem sporo ludzi zaczęło mówić przerażonymi głosami.

— Jak się te lotry rozwrzeszczały, to mogły umarłych zbudzić — rzekł Jim. — Bezpośrednio po plusku łodzi, rzuconej dosłownie w morze, rozległy się głuche odgłosy

gramolenia się w niej i tupania pomieszane z niewyraźnymi krzykami: „Odczepić! Odczepić! Pchnąć! Odczepić! Pchajcie! na miłość boską! szkwał nadciąga!...” — Jim usłyszał wysoko nad głową słaby szum wiatru i bolesny jęk gdzieś w dole. Jakiś głos zagubiony za burtą jął przeklinać hak od łańcucha. Okręt zaczął brzęczeć na przodzie i rufie jak podrażniony ul; Jim, opowiadając mi to wszystko spokojnie — miał właśnie wtedy bardzo opanowaną twarz i głos, i postawę — rzekł zupełnie niespodziewanie:

— Potknąłem się o jego nogi.

Pierwszy raz wówczas usłyszałem, że się w ogóle poruszył. Nie mogłem wstrzymać pomruku zdziwienia. Coś wreszcie wysadziło go z miejsca, ale o tej przełomowej chwili, o przyczynie, która go wyciągnęła z bezruchu, nie wiedział więcej niż wyrwane drzewo o wietrze, co je powalił. Wszystko sprzysięgło się przeciw Jimowi: dźwięki, obrazy, nogi tamtego trupa, na Boga! Szatańska ręka wciskała mu do gardła piekielny żart, ale zważcie na to, Jim nie zamierzał się przyznać, że próbował go przełknąć. To nadzwyczajne, jaką on miał moc narzucania człowiekowi swych złudzeń. Słuchałem go, jakby opowiadał o martwym człowieku wydanym na łup praktykom czarnej magii.

— Mechanik przewrócił się na bok bardzo wolno, i to jest ostatnia rzecz, którą sobie przypominam z pokładu — ciągnął dalej. — Wszystko mi było jedno, co ten człowiek robi. Wyglądało to, jakby wstawał, i myślałem naturalnie, że wstaje; spodziewałem się, że skoczy koło mnie przez poręcz i wpadnie do łodzi za innymi. Słyszałem ich tłukących się tam w dole; rozległ się głos, niby pocisk: „George!” Potem trzy głosy krzyknęły razem. Każdy z nich doszedł mnie oddzielnie: jeden beczał, drugi wrzeszczał, trzeci wył. Brrr! — Jim wstrząsnął się lekko; zobaczyłem, że się podnosi z wolna, jakby jakaś spokojna ręka wyciągała go z krzesła za włosy, powoli, póki nie wyprostował się w całej wysokości, a gdy kolana mu się wyprężyły, ręka puściła go i zachwiał się trochę na nogach. Była jakby okropna cisza w jego twarzy, w jego ruchach, nawet w jego głosie, kiedy powiedział: — Krzyknęli — i mimo woli nadstawiłem uszu, aby pochwycić widmo tego krzyku, który się rozlegnie natychmiast poprzez złudne wrażenie ciszy.

— Było ośmiuset ludzi na tym statku — rzekł przykuwając mię do krzesła okropnym spojrzeniem bez wyrazu. — Ośmiuset żywych ludzi, a oni krzyczeli na tego jednego, martwego, żeby skoczył i wyratował się. „Skacz, George! Skacz! Dalej! Skacz!” Stałem u burty z ręką na żurawiku. Byłem bardzo spokojny. Noc stawała się jak atrament. Nie było widać ani nieba, ani morza. Słyszałem łódź objijającą się o burtę: stuk, stuk; żaden inny odgłos nie dochodził z dołu przez chwilę, lecz statek pełen był gwaru. Nagle szyper zawył: „*Mein Gott!* Szkwał! Szkwał! Odepchnąć łódź!” Gdy deszcz zaczął szumieć i zerwał się wiatr, wrzasnęli znowu: „Skacz, George! Złapiemy ciebie! Skacz!” Okręt zaczął się powoli zanurzać; deszcz przewalał się po nim jak wzburzone morze; czapka zleciała mi z głowy; wpierało mi oddech do gardła. Usłyszałem — jakbym stał na szczycie wieży — jeszcze jeden dziki wrzask: „Geo-o-orge! No, skaczże!” Statek zanurzał się coraz głębiej — dziobem naprzód — pode mną...

Podniósł z wolna rękę do twarzy i zdejmował z niej coś palcami, jakby go oblaźła pajęczyna, a potem patrzył na swoją otwartą dłoń przez jakie pół sekundy, zanim mu się wyrwało:

— Skoczyłem... — zatrzymał się, odwrócił wzrok... — Tak mi się zdaje — dodał.

Jasnoniebieskie oczy Jima spojrzały na mnie żałośnie; stał przede mną niemy i obolały, a ja czułem, że mię przygniata smutne poczucie bezsilnej, zrezygnowanej mądrości wraz z głęboką litością starca, który patrzy na dziecięcą klęskę, bezradny i ubawiony.

— Na to wygląda — mruknąłem.

— Nie byłem tego świadomy, pókim nie spojrzał w górę — wyjaśnił Jim spiesznie. Myślę, że to jest możliwe. Słuchałem go tak, jak się słucha małego, strapionego chłopczyka. Nie miał pojęcia, że skacze. To się tak jakoś stało. To się już nigdy nie powtórzy. Upadł połową ciała na kogoś i rozciągnął się w poprzek ławki. Zdawało mu się, że chyba wszystkie żebra z lewego boku ma połamane. Przekręcił się; zobaczył niewyraźnie okręt, z którego uciekł, wznoszący się nad nim, i czerwone boczne światło jaśniejące jak duży krąg wśród deszczu, jak ognisko na szczycie wzgórza widziane przez mgłę.

— Statek wydał mi się wyższy od muru; majaczył jak skała nad łódką... Zapragnąłem umrzeć! — krzyknął. — Nie mogłem już stamtąd wrócić. Było to, jakbym skoczył w studnię — w przepaść bez dna...

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Splótł palce i rozplótł je znowu. Była to najprawdziwsza prawda: skoczył istotnie w przepaść bez dna. Spadł z wysokości, na którą się już nigdy wspiąć nie zdoła. Tymczasem łódź minęła dziób „Patny”. Zbyt wielka ciemność nie pozwalała im się widzieć nawzajem, a przy tym byli oślepieni i na wpół zatopieni przez ulewę. Jim mówił mi, że miał wrażenie, jakby prąd ich niósł przez pieczarę. Zwrócili się plecami do deszczu: szyper prawdopodobnie zanurzył wiosło za rufą, aby utrzymać łódź dziobem do fali, i przez dwie lub trzy minuty zdawało się, że nadszedł koniec świata, że potop zalał całą ziemię wśród czarnego mroku. Morze ryczało jak „dwadzieścia tysięcy kotłów”. To jest porównanie Jima, nie moje. Ja sądzę, że wiatr dał gwałtownie tylko z początku; Jim przyznał sam na śledztwie, iż owej nocy morze niezbyt było wzburzone. Przykucnął w dziobie łodzi i obejrzał się ukradkiem. Dostrzegł wysoko w górze jeden jedyny żółty błysk światła na maszcie, zamglony jak gasnąca gwiazda.

— Przeraziłem się, że go tam jeszcze widzę — rzekł. Tak właśnie powiedział. Przeraziła go myśl, że statek jeszcze nie zatonął. Widać pragnął, aby ta ohyda skończyła się jak najprędzej. Nikt w łodzi się nie odzywał. Wśród ciemności zdawało się, że pędzą, lecz niedaleko musieli odpłynąć. Wkrótce ulewa pognała naprzód, a potężny, oszalamiający syk wionął za deszczem i zamarł. Nic już nie było słyhać prócz wody pluszczącej z lekka o burzę. Czyjś zęby zaszczękały gwałtownie. Jakaś ręka dotknęła pleców Jima. Słaby głos zapytał:

„Jesteś tu?” Ktoś inny wykrzyknął dygocącym głosem: „Zatonął!” — i wszyscy razem podnieśli się, aby spojrzeć na rufę. Nie zobaczyli światła. Wszystko było czarne. Drobnym, zimnym kapuśniaczek ciał ich w twarz. Łódź przechyliła się lekko. Szczęk zębów rozlegał się coraz gwałtowniej, potem ustał i powtórzył się jeszcze dwa razy, zanim człowiek dzwoniący zębami zdołał opanować dreszcze i wyrzec:

„W sa-sa-mą po-po-porę... Brr” — Jim poznał głos pierwszego mechanika, który ciągnął dalej zgryźliwie: — „Widziałem, jak tonął. Akurat wtedy się odwróciłem”.

Wiatr ucichł prawie zupełnie. Nasłuchiwali w ciemności z głowami na wpół zwróconymi w stronę wiatru, jakby spodziewając się, że usłyszą krzyki. Z początku Jim czuł wdzięczność dla nocy, która zakryła tę scenę przed jego wzrokiem, lecz potem wydało mu się szczytem strasznego nieszczęścia, że wie o wszystkim, a jednak nic zobaczyć ani usłyszeć nie może.

— Czy to nie dziwne? — szepnął przerywając swoją bezładną opowieść.

Mnie się to wcale nie wydało dziwne. Musiał mieć podświadome wrażenie, iż rzeczywistość ani w połowie nie może być tak zła, taka dręcząca, straszna i mściwa jak okropności tworzone przez jego wyobraźnię. Sądzę, że w tej pierwszej chwili serce Jima przeniknęły wszystkie cierpienia — a jego dusza zakosztowała wszystkich przerażeń, trwóg i rozpaczy, jakich mogło doznawać ośmiuset ludzi zaskoczonych w nocy przez mgłę i gwałtowną śmierć. Bo inaczej nie mógłbym zrozumieć tych jego słów:

— Zdawało mi się, że wyskoczę z tej przeklętej łodzi, i aby widzieć, popłynę z powrotem pół mili, więcej, ile będzie trzeba, aż na to samo miejsce. Skąd ten poryw? Czy pojmujecie znaczenie tego porywu? Aż na to samo miejsce... Dlaczego Jim nie chciał utopić się tuż przy łodzi — jeżeli zamierzał to uczynić? Czemu się rwał z powrotem, aby widzieć? Czy szukał ulgi dla swej wyobraźni w pewności, że wszystko się skończyło, zanim mu śmierć przyniesie ukojenie? Jestem pewien, że żaden z was nie zdoła mi tego wyjaśnić inaczej. Była to niezwykła rewelacja; spojrzenie przeniknęło mgłę i uchwyciło wizję fantastyczną, przykuwającą. A Jimowi wyrwało się to jak rzecz najnaturalniejsza pod słońcem. Dalej mówił, że zapanował nad swym porywem i uświadomił sobie wówczas otaczającą ich ciszę morza i nieba, które się stopiły w jeden nieokreślony bezkres, głuchy jak śmierć, wokół tych ocalonych, tętniących życiem ludzi.

— Można było usłyszeć szpilkę padającą na dno łódki — rzekł Jim z dziwacznymi wykrzywionymi ustami, jak człowiek, który usiłuje poskromić swoją wrażliwość, w chwili gdy opowiada o czymś niezmiernie wzruszającym. Otaczała ich cisza. Jeden Bóg, który chciał mieć Jima takim, jakim go stworzył, wie, co się działo w sercu tego człowieka. — Nie wyobrażałem sobie, aby gdziekolwiek na ziemi mogło być tak cicho — powiedział. — Nie odróżniało się morza od nieba; nie było nic widać ani słyhać. Żadnego błysku,

żadnego kształtu, żadnego dźwięku. Można było uwierzyć, że cały ład naokoluteńko poszedł na dno; że wszyscy ludzie zatonęli prócz mnie i tych drabów w łodzi. Wydawało mi się, że w to wierzę. — Pochylony, wsparł się knykciami o stół, wśród filiżanek do kawy, kieliszków i wypalonych cygar. — Wszystko przepadło, było po wszystkim... — zaciągnął się głębokim oddechem. — Przepadło... wraz ze mną — dodał.

Marlow wyprostował się nagle i odrzucił cygaro z rozmachem. Mignęło wlokąc za sobą czerwony ślad jak dziecinna rakietka puszczonej przez zasłonę z pnączy. Nikt się nie poruszył.

— No, a jakie jest wasze o tym zdanie? — zawołał z nagłym ożywieniem. — Czyż to nie było prawdą, co Jim powiedział o sobie? Jego ocalone życie przepadło; zabrakło mu gruntu pod nogami; oczy jego nie miały na co spojrzeć, uszy nie miały czego słuchać. unicestwienie! A naokoło tylko niebo zakryte chmurami, morze bez fal i nieruchome powietrze. Tylko noc; tylko milczenie.

— Trwało to jakiś czas — podjął Jim — a potem wszyscy naraz zaczęli hałaśliwie rozprawać o swym ocaleniu. — „Wiedziałem od razu, że zatonie”. — „Umknęliśmy w ostatniej chwili!” — „Udało się nam, do jasnej cholery!”

Jim nic nie mówił, lecz wiatr, który był ucichł, powiał znów łagodnie i wzmagął się stopniowo, a morze dołączyło swój szemrzący głos do wybuchu gadatliwości, który nastąpił po niemych chwilach grozy. Zatonął! Zatonął! To było pewne. I nikt nie byłby mógł temu zaradzić. Powtarzali wciąż raz po raz te same słowa, jakby się nie mogli zatrzymać. Nie wątpili ani przez chwilę, że statek zatonie. Światła zgasły. Z największą pewnością światła zgasły! Niczego innego nie można się było spodziewać. „Patna” musiała zatonąć. Jim zauważył, iż rozmawiali o tym, jakby pozostawili za sobą pusty statek. Doszli do wniosku, że to nie mogło trwać długo, kiedy się już raz zaczęło. Ta myśl zdawała się im sprawiać pewne zadowolenie. Zapewniali jeden drugiego, że to nie mogło trwać długo: „Poszedł na dno jak kamień”. Główny mechanik oświadczył, że w chwili zatonięcia światła na maszcie opadło, „jakby ktoś rzucił palącą się zapalkę”. Na to drugi mechanik zaśmiał się histerycznie: „To dobrze, to dobrze”.

— Zęby jego szaszczękały jak grzechotka — rzekł Jim — a potem naraz zaczął płakać. Mazgał się i szlochał jak dziecko, chwytając oddech i łkając: „O Jezu, Jezu, o Jezu!” Przez chwilę siedział cicho i nagle znów zaczynał: „O moja biedna ręka! O moja biedna ręka!” Miałem ochotę go trzasnąć. Dwu z nich siedziało na rufie. Ledwie mogłem dostrzec ich cienie. Pomruk głosów dochodził mnie niewyraźnie. Wszystko to było bardzo ciężkie do zniesienia. A w dodatku było tak zimno. I nie zostało już nic do zrobienia. Pomyślałem, że jeśli się ruszę, przyjdzie mi skoczyć za burtę i...

Ręka Jima sunąca ukradkiem zetknęła się z kieliszkiem od likieru; cofnął ją nagle, jakby dotknął rozżarzonego węgla. Podsunąłem mu butelkę.

— Pozwoli pan jeszcze likieru? — zapytałem. Spojrzał na mnie z gniewem.

— Czy pan myśli, że potrzebuję sztucznej podniety, aby móc panu powiedzieć to, co mam do powiedzenia? — zapytał. Banda obieżyświatów poszła już spać. Byliśmy sami, tylko w cieniu stała jakaś biała, niewyraźna postać, która pod moim wzrokiem pochyliła się naprzód, zawahała i milcząc opuściła werandę. Robiło się późno, lecz nie wspomniałem o tym swemu gościowi.

Wśród swej rozterki Jim usłyszał, że jego towarzysze zaczynają komuś wymyślać. „Co ci przeszkadzało skoczyć, ty wariacie?” — rzekł gderliwy głos. Główny mechanik opuścił rufę i słychać go było gramolącego się ku przodowi, jakby żywił złe zamiary względem „największego idioty na świecie”. Szyper wykrzykiwał obelgi chrypliwym, wysiłonym głosem z miejsca, gdzie siedział przy wiosłach. Jim podniósł głowę na ten hałas i usłyszał, że wołają: „George”, a jednocześnie czyjaś ręka uderzyła go w piersi. „Co powiesz na swoje usprawiedliwienie, ty durniu?” — zapytał ktoś z pewnego rodzaju szlachetnym oburzeniem.

— Napadli na mnie wszyscy — mówił Jim. — Wymyślali mi, wymyślali... wciąż nazywając mnie George'em. — Zatrzymał się, aby na mnie popatrzeć, usiłował się uśmiechnąć, odwrócił oczy i ciągnął dalej: — Ten mały mechanik podsunął mi twarz pod sam nos: „A to co? Toć to ten, psiakrew, oficer!” „Co?” — zawył szyper z drugiego końca łodzi. „Niepodobna!” — wrzasnął pierwszy mechanik i przestał także wiosłować, aby mi

spojrzeć w twarz.

Wiatr nagle ustał. Zaczęło znów padać i cichy, nieustanny, nieco tajemniczy szum, z jakim morze przyjmuje deszcz, podniósł się ze wszystkich stron pośród nocy.

— Z początku tacy byli zaskoczeni, że im odjęło mowę — opowiadał Jim spokojnie — a cóż ja mogłem powiedzieć? — Zająknął się i zrobił wysilek, aby opowiadania nie przerywać. — Wymyślali mi ohydnyimi słowami. — Głos Jima, znizony do szeptu, niekiedy podnosił się nagle, ostry od namiętnej pogardy, jakby mówił o jakichś tajemnych szkaradzieństwach. — To wszystko jedno, jak mnie nazywali — rzekł posepnie. — Słyszałem w ich głosach nienawiść. Niezły dodatek. Nie mogli mi wybaczyć, że się znalazłem w tej łodzi. Nie mogli tego znieść. Przyprawiało ich to o szaleństwo... — Zaśmiał się krótko. — Ale właśnie to mię powstrzymało od... Niech pan patrzy! Siedziałem ze skrzyżowanymi ramionami na burcie! — Usadowił się zręcznie na brzegu stolika i skrzyżował ramiona. — O tak, widzi pan? Nieznaczone przechylenie w tył, i byłbym poszedł za tamtymi. Leciutkie przechylenie, najłżejsze. — Zmarszczył się i uderzając w czoło średnim palcem, rzekł z przejęciem: — Ta myśl była tu ciągle, nie opuszczała mnie ani na chwilę. A deszcz, zimny, gęsty, zimny jak topniejący śnieg, jeszcze zimniejszy na cienkim bawełnianym ubraniu, nigdy już nie będzie mi tak zimno, wiem o tym. I niebo, czarne — całe czarne. Żadnej gwiazdy, żadnego światła. Nic poza tą przeklętą łodzią i tymi dwoma ujadającymi na mnie jak dwa nędzne kundle na osaczonego złodzieja. „Hau! hau! Co tu robisz? Ładne z ciebie ziółko! Taki, psiakrew, z niego jaśniepan, że ręki do pracy nie przyłoży. Jakoś przyszedłeś do siebie, co? Wśliznąłeś się do łodzi, co? Hau, hau! Niechbyś szczeł! Hau, hau!” Starali się jeden drugiego przeschekać. Tamten trzeci ujadł w rufie poprzez deszcz, nie mogłem go dojrzeć, nie mogłem nic dosłyszeć z jego plugawego pyskowania. Hau, hau! Wrrr, wrrr! Hau, hau! Dobrze mi robiło słuchać ich, mówię panu, utrzymywało mnie to przy życiu. Wszyscy huzia na mnie, jakby mię chcieli wypędzić tym wrzaskiem za burtę! „Toś się zdobył na odwagę, aby skoczyć? Fora stąd. Gdybym wiedział, kto skacze, strąciłbym go za burtę, tchórza! Coś zrobił z tamtym? To zebrałeś się na odwagę, żeby skoczyć, ty tchórzu? Nic nam nie przeszkadza wyrzucić go teraz!” Zabrakło mu tchu. Deszcz na morzu ucichł, a potem już nic; cisza wokoło łodzi; żadnego szmeru. Chcieli mnie widzieć w morzu, tak? Klnę się na Boga! Byłbym spełnił ich życzenie, gdyby tylko siedzieli cicho. „Wyrzucicie mnie za burtę, co? — mówię. — Spróbujcie. Skoczę za dwa pensy”. „Za droga twoja skóra!” — wrzasnęli razem. Było tak ciemno, że widziałem ich tylko wtedy, jeśli który z nich się poruszył. Boże ty mój! czemuż się na mnie nie rzucili!

Nie mogłem powstrzymać okrzyku:

— Niesłychane!

— Niezłe, co? — rzekł Jim, jakby zdumiony. — Udawali, iż wierzą, że ja dla jakiejś przyczyny sprzątnąłem tamtego człowieka. I co by mi z tego przyszło? I skądże, u diabła, mogłem wiedzieć, co się z nim dzieje? Przecież dostałem się jakoś do tej łodzi, do tej łodzi, ja... — Muskuly naokoło ust skurczyły mu się w nieświadomym grymasie, który przedarł się przez maskę jego zwykłego wyrazu, gwałtowny, krótkotrwały i rozświetlający jak zygzak błyskawicy, dopuszczając na chwilę wzrok do tajnych warstw chmury. — Ja się przecież też tam znalazłem. Byłem tam z nim, nieprawdaż? Czy to nie jest okropne, że człowiek, będąc odpowiedzialny, może być doprowadzony do popełnienia takiej rzeczy? Cóż ja mogłem wiedzieć o tym George'u, na którego wrzeszczeli? Pamiętałem, że leżał zwinięty w kłębek na pokładzie. „Ty podły tchórzu!” — krzyczał wciąż pierwszy mechanik. Zdawało się, że nie jest w stanie żadnych innych słów sobie przypomnieć. Wszystko mi było jedno, tylko jego wrzaski zaczęły mię nużyć. „Stul pysk” — mówię. A on jak nie wrzasnie wściekle ze wszystkich sił: „Zabiłeś go! Zabiłeś go!” „Nie — krzyknąłem — ale zaraz zabiję ciebie!” Zerwałem się, a on się zwałił w tył na ławkę z okropnym łoskotem, nie wiem dlaczego. Było zbyt ciemno. Pewno chciał się cofnąć. Stałem wciąż twarzą do rufy; ten nędzny mały mechanik zaczął skomleć: „Pan chyba nie uderzy człowieka, który ma złamaną rękę, pan się uważa przecież za dżentelmena”. Usłyszałem ciężkie kroki, raz, dwa, i sapiący pomruk. To ta druga bestia zbliżała się do mnie i wlokła za sobą po rufie klekoczące wiosło. Widziałem, jak się poruszał, wielki, ogromny, tak jak się widzi kogoś wśród mgły albo we śnie. „Blżej tu!” — krzyknąłem. Byłbym go wyrzucił za burtę jak kosz ze śmieciem. Zatrzymał się. Mruknął coś pod nosem i zawrócił. Może posłyszał

wiatr. Ja nie słyszałem. Było to ostatnie gwałtowne uderzenie wiatru. Szyper wrócił do steru. Żałowałem, że wrócił. Byłbym go... byłbym...

Otworzył i ścisnął zakrzywione palce, a ręce jego zatrzepotały się okrutnie i zapalczywie.

— Spokojnie, spokojnie — mruknąłem.

— Co? co? Ja jestem zupełnie spokojny — odparł dotknięty do żywego, przy czym ręka drgnęła mu konwulsyjnie i przewrócił łokciem butelkę koniaku. Rzuciłem się naprzód, zgrzytnąwszy krzesłem po flizach¹⁷. Jim odskoczył od stolika, jakby mina wybuchła za jego plecami; w tym skoku zwrócił się na wpół ku mnie, zanim opadł przykucnąwszy na piętach; w oczach miał przestrach, a twarz zbieleła mu wokół nozdrzy. Spojrzał na mnie, wzrok jego wyrażał wielką przykrość. — Strasznie pana przepraszam. Co za niedzara ze mnie! — mruknął, bardzo zmartwiony; ostry zapach rozlanego alkoholu otoczył nas nagle atmosferą podłej knajpy wśród chłodnych, przejrzystych nocnych ciemności. W jadalni zgaszono już światła; nasza świeca połyskiwała samotnie na długiej werandzie, a kolumny oblokły się w czerni, od podstaw aż do kapiteli. Na tle jasnych gwiazd wysoki zrąb urzędu portowego zarysował się wyraźnie z drugiej strony Esplanady, jakby ponury gmach przysunął się bliżej, by patrzeć i słuchać.

Jim przybrał obojętną minę.

— Zdaje mi się, że, jestem mniej spokojny teraz aniżeli wówczas. Wówczas to byłem gotów na wszystko. Te zajścia w łodzi to błahostki.

— Ale niezbyt miłe rzeczy przeżył pan w tej łodzi — zauważyłem.

— Byłem gotów na wszystko — powtórzył. — Kiedy światła okrętu już znikły, w tej łodzi mogło się dziać Bóg wie co i nikt by się o tym nie dowiedział. Zdawałem sobie z tego sprawę z zadowoleniem. Było na to dostatecznie ciemno; jakby nas zamurowano w przestronnym grobie. Nie mieliśmy żadnej styczności z ziemią. Nikt nie mógł wydawać o nas sądu. Nic już nas nie obchodziło. — Po raz trzeci w ciągu tej rozmowy Jim roześmiał się hałaśliwie, ale teraz nie było wokół nikogo, kto by go mógł podejrzewać, że jest pijany. — Nie istniał już dla nas strach ani prawo, ani dźwięk, ani oczy, nawet nasze własne, przynajmniej aż do wschodu słońca.

Uderzyła mnie przejmująca prawda jego słów. Jest coś szczególnego w małej łódce zagubionej na rozległym morzu. Na ludzi, którzy uszli spod cienia śmierci, zdaje się padać cień szaleństwa. Kiedy statek zawiedzie, zdaje się, iż cały świat zawiódł człowieka — ten świat, który go urobił, okiełznał, który miał nad nim pieczę. Rzekłbyś, iż dusze ludzi pływających po wodnej przepaści wyzwalają się w zetknięciu z ogromem, gotowe na szczytne bohaterstwo, szalą głupoty lub też najniższą ohydę. Nasza wiara, nasze myśli, miłości, nienawiści, przekonania i nawet zewnętrzna wartość rzeczy materialnych — wszystko to może prowadzić do katastrofy; tyleż jest katastrof co i ludzi. Ale w tej oto tkwiła nikczemność — i właśnie dlatego osamotnienie rozbitków było jeszcze dotkliwsze. Ohydne warunki towarzyszące wypadkowi odcięły tych ludzi bardziej bezwzględnie od pozostałej ludzkości, której ideał postępowania nie został poddany próbie tak szatańskiego i przerażającego żartu. Towarzysze Jima wściekali się na niego jako na tchórzliwego krętacza, a on znów skupił na nich całą swoją nienawiść do tego, co się stało; byłby chciał zemścić się straszliwie za odrażającą pokusę, którą na niego nasłali. Łódź zagubiona na pełnym morzu wydobędzie z człowieka instynkty czające się w głębi wszystkich myśli, wszystkich uczuć, wrażeń i wzruszeń. Dla groteskowej nikczemności cechującej ową katastrofę charakterystyczne było, że między tymi ludźmi nie doszło do bójki. Od początku do końca wszystko polegało tylko na groźbach, na skutecznym udawaniu, na oszustwie uknutym przez bezgraniczną pogardę ciemnych sił. Ale realne groźby mrocznych potęg, gotowych każdej chwili zatryumfować nad człowiekiem, są stale odpierane przez ludzką nieugiętość. Poczekawszy chwilę zapytałem:

— No i co się stało? — Zbyteczne pytanie. Wiedziałem już za dużo, aby się spodziewać łaski jakiegos odkupiającego porywu, dobrodziejstwa szału lub mrocznej grozy.

— Nic — odpowiedział. — Dla mnie to było istotne, a im chodziło tylko o pozory. Nic się nie stało.

¹⁷fliza — płyta kamienna lub ceramiczna służąca do dekoracyjnego wykładania powierzchni podłóg, ścian itp. [przypis edytorski]

Wschodzące słońce zastało Jima w dziobie łodzi w tej samej pozycji, jaką zajął natchmiasz po skoku. Co za wytrwałość w jego gotowości na wszystko! Przez całą noc trzymał w garści rękojeść steru. Upuścili ster za burtę chcąc go założyć i snadź rękojeść została jakimś sposobem zawleczona aż na przód, podczas kiedy biegali tam i z powrotem usiłując wykonać naraz wiele manewrów, aby się oddalić od „Patny”. Jim widać trzymał przez jakie sześć godzin tę rękojeść — długi ciężki kawał twardego drewna. Chyba nie można powiedzieć, że nie był gotów na wszystko! Czy widzicie go, jak stoi w milczeniu przez pół nocy z twarzą zwróconą ku falom deszczu, jak się wpatruje w ciemne postacie śledząc niewyraźne ich poruszenia, natężając słuch, aby posłyszeć ciche szepty rozlegające się z rzadka w stronie rufy! Niezlomna odwaga czy też wysiłek trwogi? Jak myślicie? A wytrwałości też mu odmówić nie można. Przez sześć godzin mniej więcej miał się wciąż na baczności; wytrzymał sześć godzin czujnego bezruchu w łódce, która sunęła z wolna naprzód lub unosiła się nieruchomo na wodzie, zależna od kaprysu wiatru. A tymczasem morze zasnęło wreszcie, uspokojone; chmury płynęły wciąż nad głową Jima, a niebo — czarny, matowy ogrom — zmniejszyło się do rozmiarów ciemnego, połyskliwego sklepienia, roziskrzyło się jeszcze wspanialej, po czym jęło blaknąć od wschodu i zszarzało u zenitu. Ciemne postacie, zasłaniające za rufą gwiazdy tuż nad horyzontem, nabrały konturów, bryłowatości — kształtowały się w ramiona, głowy, twarze, rysy — stawały się trzema ludźmi, którzy patrzyli ponuro na Jima — rozczochrani, w potarganym odzieniu, mrugając czerwonymi powiekami wśród białego świtu.

— Wyglądali, jakby się włóczyli pijani po rynsztokach przez jaki tydzień — opisywał Jim plastycznie, a potem mruknął coś o wschodzie słońca, nadmieniając, że dzień zapowiadał się pogodny. Wiecie, jak to marynarze mają zwyczaj wspominać o pogodzie przy każdej sposobności. Co do mnie, starczyło mi kilka słów Jima, abym ujrzał dolny kraniec słonecznej tarczy odrywający się od widnokręgu, całą widzialną przestrzeń morza rozedrganą, pomarszczoną przez biegnące chyżo drobne falki — jak gdyby wody się wzdrygnęły dając życie świetlistej kuli — jednocześnie zaś ostatni powiew wiatru poruszył powietrzem niby pełne ulgi westchnienie.

— Siedzieli w rufie ramię w ramię z szyprem pośrodku jak trzy plugawe sowy i gapili się na mnie. — Słuchałem Jima, który mówił z zawziętą nienawiścią; żrąca jej moc przenikała pospolite słowa jak kropla potężnej trucizny, co pada do szklanki z wodą, lecz myśli moje drażyły wciąż koło tego wschodu słońca. Wyobraziłem sobie pod przejrzystą pustką nieba czterech ludzi zagubionych wśród bezludnego morza, samotne słońce, które, nie bacząc na tę odrobinę życia, wstępowało po czystym sklepieniu niebios, jakby pragnęło spojrzeć ogniście z wysoka na swą własną wspaniałość odbitą w cichym oceanie. — Zaczęli wołać na mnie z rufy — mówił Jim — jak na swego kamrata. Słyszałem ich. Prosiłi, abym się opamiętał i rzucił ten „podły kawał drewna”. Dlaczego tak się zachowuję? Przecież nic złego mi nie zrobili, prawda? Nic się nie stało... Nic złego!

Twarz Jima poczerwieniała, jak gdyby nie mógł wyzionąć zabranego płucami powietrza.

— Nic złego! — wybuchnął — niech pan to osądzi. Pan przecież to rozumie, nieprawda? Pan to widzi!... Nic złego! Wielki Boże! Cóż mogło się stać gorszego? O tak, wiem dobrze, skoczyłem. Tak. Skoczyłem tak jak oni. Powiedziałem już, że skoczyłem; ale mówię panu, być tam razem z nimi przechodziło ludzką wytrzymałość. To wszystko stało się najwyraźniej za ich sprawą, jakby byli zarzucili na pokład hak i ściągnęli mnie do łodzi. Czyżby pan tego nie rozumiał? Pan to musi zrozumieć, ja proszę, niech mi pan otwarcie powie...

Jego niespokojne oczy utkwione we mnie pytały, prosiły, wyzywały, błagały. Za cenę życia nie byłbym mógł się powstrzymać od szeptu:

— Ciężko został pan doświadczony.

— I najniesprawiedliwiej — podchwycił szybko. — Nie miałem żadnych szans wśród tej hołoty. A teraz zaczęli się do mnie wdzięczyć, i tak podle! Przecież są moimi kolegami, towarzyszami! Z tej samej łodzi. Trzeba brać wszystko z dobrej strony. Oni nie mają nic złego na myśli. George obchodzi ich tyle co zeszłoroczny śnieg. W ostatniej chwili wrócił po coś do swojej kajuty i tam go przychwyciło. To był skończony dureń. Oczywiście, bardzo to smutne... Patrzyli na mnie; wargi ich się poruszały; potrząsali głowami tam, w końcu łodzi, wszyscy trzej; kiwali porozumiewawczo na mnie. I cóż w tym

dziwnego? Czyż nie skoczyłem? — Nie odpowiadałem. Nie ma słów na to, co chciałem im powiedzieć. Gdybym był wtedy otworzył usta, zawyłbym po prostu jak zwierzę. Ciągłe pytałem siebie, kiedy się ocknę. A oni nawoływali mnie, aby przyjść do nich na rufę i wysłuchać spokojnie tego, co szyper ma do powiedzenia. Z pewnością jeszcze przed wieczorem znajdzie nas jaki statek, jesteśmy na szlaku Kanału Sueskiego; już teraz widać dym na północo-zachodzie.

Doznałem okropnego wstrząsu, gdy dostrzegłem ten ślad brunatnej mgły tuż nad morzem, tę nikłą, nikłą plamkę, przez którą było widać granice nieba i ziemi. Krzyknąłem na nich, że słyszę wszystko doskonale ze swego miejsca. Szyper zaczął kłąć głosem chrypliwym jak krakanie kruką; oświadczył, iż nie myśli wysilać głosu, aby mi dogodzić. „Czy pan się boi, że mogą pana dosłyszeć na brzegu?” — zapytałem. Spojrzał na mnie, jakby mnie chciał rozszarpać w kawały. Pierwszy mechanik radził mu, aby mi ustąpił, bo mam źle w głowie. Szyper podniósł się w rufie, niby gruby słup mięsa; zaczął mówić i mówić...

Jim zamyślił się.

— No i co? — rzekłem.

— Cóż mnie mogła obchodzić historia, którą postanowili wymyślić? — zawołał nie-dbale. — Pozwoliłem im mówić, co im się żywnie podobało. To była ich sprawa. Ja wiedziałem, jak się to odbyło. Nic się dla mnie zmienić nie mogło, choćby nie wiem co ludziom wmówili. A szyper gadał, dowodził i znów gadał, i znów dowodził. Bez końca. Nagle poczułem, że nogi się uginają pode mną. Osłabłem, byłem znużony, śmiertelnie znużony. Wypuściłem z ręki sterownicę i siadłem na najdalszej ławce odwracając się do nich plecami. Miałem już tego dosyć. Wołali na mnie pytając, czy zrozumiałem; przecież to była prawda, prawda w każdym słowie! Mój Boże, to była prawda, z ich punktu widzenia. Nie odwróciłem głowy. Słyszałem, jak rozprawiali między sobą. „Ten głupi osioł nie chce nic powiedzieć”. „Oho, ale rozumie doskonale”. „Dajcie mu pokój; i tak potrafi się znaleźć”. „I co by mógł nam zrobić?” Rzeczywiście, co byłbym mógł im zrobić? Czyż nie znajdowaliśmy się wszyscy razem w tej łodzi? Staralem się udawać głuchego. Dym znikł w północnym kierunku. Nastąpiła martwa cisza. Pili wodę z beczki, ja piłem także. Potem z wielkim trudem rozpostarli żagiel na burcie. Zgodziłem się objąć wachtę. Wleźli pod żagiel i znikli mi z oczu. Bogu dzięki! Byłem znużony, skonany, jakbym nie spał ani chwili od urodzenia. Blask słońca przeszkadzał mi patrzeć na wodę. Niekiedy któryś z nich wylazł spod żagla, stawał w łodzi, aby się rozejrzeć, i wpełzał z powrotem. Słyszałem od czasu do czasu chrapanie. Mogli spać! A przynajmniej jeden z nich. Ja spać nie mogłem. Wszystko naokoło było tylko blaskiem i łódź zdawała się w blask ten zapadać. Niekiedy czułem ze zdumieniem, że siedzę na ławce...

Zaczął chodzić miarowymi krokami przed moim krzesłem, tam i z powrotem, z ręką w kieszeni od spodni, pochyliwszy głowę w zamyśleniu; czasem podnosił prawą dłoń ruchem, który zdawał się usuwać z drogi niewidzialnego natręta.

— Pan myśli pewnie, że mię ogarniało szaleństwo — rzekł zupełnie odmiennym tonem. — I to jest zrozumiałe, jeśli pan pamięta, że zgubiłem czapkę. Nad moją głową słońce odbyło całą swą drogę ze wschodu na zachód, ale widać tego dnia nic mi nie mogło zaszkodzić. Nawet słońce nie mogło zrobić ze mnie szaleńca... — Odepchnął prawą ręką myśl o szaleństwie. — I zabić mnie także nie mogło... — Znów ręka jego odsunęła jakiś cień. — Tylko ja sam mogłem to zrobić.

— Ach tak? — rzekłem, niezmiernie zdumiony tym nowym zwrotem, i spojrzałem na niego doznając takiego uczucia, jakby się odwrócił na pięcie i zmienił mi się w oczach.

— Ani nie dostałem zapalenia mózgu, ani nie padłem martwy — ciągnął dalej. — Słońce nie obchodziło mnie zupełnie. Rozmyślałem spokojnie i chłodno, jak gdybym siedział w cieniu. Ta opasła bestia, szyper, wystawił spod płótna wielki, krótko ostrzyżony łeb i wparł we mnie rybie oczy. „*Donnerwetter!*¹⁸ Umrze pan” — warknął i cofnął głowę jak żółw. Widziałem go. Słyszałem. Nie przeszkodził mi w rozprawianiu się z sobą. Mówiłem sobie właśnie wtedy, że nie umrę.

Jim rzucił mi w przejściu uważne spojrzenie, usiłując przeniknąć, co myślę.

¹⁸*Donnerwetter!* (niem.) — psiakrew! [przypis edytorski]

— Czy pan chce przez to powiedzieć, że pan poprzednio rozmyślał o samobójstwie? — zapytałem starając się zdobyć na ton jak najbardziej nieprzenikniony. Skinął głową nie przestając chodzić.

— Tak, do tego doszedłem, kiedy tam siedział samotnie — rzekł. Uszedł jeszcze kilka kroków aż do wymyślanego kresu swej przechadzki, po czym zawrócił trzymając obie ręce głęboko w kieszeniach. Przystanął nagle przed moim krzesłem i spojrzał na mnie. — Czy pan mi wierzy? — spytał z natężoną ciekawością. Pobudziło mię to do uroczystego oświadczenia, że gotów jestem uwierzyć bezwzględnie we wszystko, co uzna za stosowne mi powiedzieć.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Jim wysłuchał mnie z głową przechyloną na ramię, a ja znów ujrzałem go, jakby się rozchyliła zasłona z mgły, w której się obracał i żył. Świeca paliła się ciemno, trzeszcząc wewnątrz szklanego klosza — było to jedyne światło, przy jakim mogłem Jima oglądać; za nim rozpościerała się ciemna noc z jasnymi gwiazdami, których migot, coraz bardziej odległy, wabił oko dalej i dalej w ciemniejsze głębie mroku; a jednak — rzekłbyś — tajemniczy jakiś blask rozświetlił chłopięcą głowę Jima, jakby w tej właśnie chwili młodość zajaśniała w nim na chwilę i zgasła.

— Strasznie pan jest dobry, że tak pan mnie słucha — rzekł. — To dla mnie prawdziwe dobrodziejstwo. Pan nie wie, czym to jest dla mnie. Pan...

Zdawało się, iż słów mu brakuje. Ujrzałem go znów — i tym razem wyraźnie. Ten chłopiec należał do gatunku ludzi, których przyjemnie jest nam widzieć wokół siebie, i chętnie sobie wyobrażamy, żeśmy byli do nich podobni; sam ich widok przywołuje owe uludy, które się uważało za przepadłe, wygasłe, wyzięble, a jednak — przy zbliżeniu się cudzego płomienia — zatrzepoczą się gdzieś głęboko, głęboko, błyskają światłem i ciepłem!... Tak; ujrzałem go wówczas wyraźnie... i nie po raz ostatni.

— Pan nie wie, czym to jest dla człowieka w moim położeniu czuć, że mi ktoś ufa, móc zwierzyć się ze wszystkiego komuś starszemu — mówił. — Takie to wszystko ciężkie, takie okropnie niesprawiedliwe, takie trudne do pojęcia.

Mglista zasłona gęstniała. Nie wiem, jakie Jim miał wyobrażenie o mym wieku i o mej mądrości. Czulem się w owej chwili taki stary, że brał mię pewnie za dwakroć młodszego i nie doceniał zapewne ani w połowie mej beużytecznej mądrości. W żadnym innym zawodzie — prócz marynarskiego — serca tych, co już się puścili na morze, by pływać po nim lub utonąć, nie wyrrywają się tak gwałtownie do chłopca na wybrzeżu, wpatzonego błyszczącymi oczami w migotanie rozległej przestrzeni, które jest tylko odbiciem jego młodzieńczych spojrzeń pełnych ognia. Tak cudownie nieuchwytnie są nadzieje, co pchnęły każdego z nas na morze, taka w nich wspaniała mglistość, taka piękna żądza przygód — że wszystko to już samo przez się stanowił naszą wyłączną i jedyłą nagrodę. A to, co zdobywamy... ech, lepiej zamilczę o tym; ale któż z nas zdoła powstrzymać uśmiech wobec młodzieńczych wspomnień? W żadnej innej dziedzinie życia rzeczywistość nie jest tak oddalona od złudzenia, w żadnym zawodzie początek nie jest tak wyłącznie złudzeniem, rozczarowanie nie następuje tak szybko, ujarzmienie nie jest tak zupełne. Przecież wszyscy zaczynaliśmy z tymi samymi porywami, kończyliśmy bogaci w to samo doświadczenie, przechowywaliśmy pamięć tych samych ukochanych, złudnych marzeń przez ohadne, przeklęte dni. Nic więc dziwnego, że gdy któregoś z nas dosięgnie jakiś ciężki cios, czujemy, że jesteśmy ze sobą związani i że prócz koleżeństwa w zawodzie łączy nas siła szerszego uczucia — tego, które wiąże człowieka z dzieckiem. Jim stał tam przede mną wierząc, iż wiek i mądrość mogą znaleźć lekarstwo na ból prawdy, a ja patrzyłem na tego młodego chłopca w opalach, i to piekielnych zaiste, takich, nad którymi siwobrodzi starcy kręcą uroczyste głową kryjąc jednocześnie uśmiech. A więc Jim rozważał, czy ma odebrać sobie życie, niech go licha! Pogrążył się w rozmyślaniach o samobójstwie, bo choć uszedł cało, blask jego życia przepadł wśród nocy razem z okrętem. Cóż bardziej naturalnego od tych jego myśli? Wszystko to było takie tragiczne i dziwne zarazem, że głośno wołało o współczucie. A w czymże ja stoję wyżej od reszty ludzi, aby czuć się w prawie odmówić mu litości? Gdy tak patrzyłem na Jima, mgła mi go znów zasnęła i znowu usłyszałem jego głos. Mówił:

— Czułem się zupełnie wytrącony z równowagi, rozumie pan. To było takie zdarzenie, jakiego się człowiek nie spodziewa. Nie miało to nic wspólnego na przykład z walką.

— Tak — potwierdziłem. Jim wydał mi się nagle zmieniony, jak gdyby bardziej dojrzały.

— I nic się nie wiedziało na pewno — mruknął.

— Ach, więc pan nie wiedział na pewno... — rzekłem, lecz ułagodził mię szmer lekkiego westchnienia, które przewiało między nami jak lot ptaka wśród nocy.

— Nie, nie wiedziałem na pewno — rzekł odważnie. — Ten cały wypadek był czymś w rodzaju owej podłej błagi, którą tamci obmyślili. Ni to kłamstwo, ni to prawda. Coś pośredniego. Człowiek wie, co jest kłamstwem. Ale w tej sprawie granica między dobrem a złem cieńsza była od włosa.

— A jakież granicy panu potrzeba? — spytałem; lecz mówiłem tak cicho, że chyba nie usłyszał. Rozumował w taki sposób, jakby życie było siecią ścieżek przedzielonych od siebie przepaściami. Głos jego brzmiał rozsądnie.

— Przypuśćmy, że nie byłbym — to znaczy, przypuśćmy, że byłbym został na statku. No dobrze. Na jak długo? Powiedzmy — minutę... pół minuty. Przecież zdawało się wówczas pewne, że po upływie trzydziestu sekund znajdę się w morzu; a myśli pan, że wtedy nie uczepiłbym się pierwszej lepszej rzeczy, która by się znalazła na drodze — wiosła, ratowniczej boi, kratówki, czegokolwiek? A czyby pan tak nie zrobił?

— I wyratowałby się pan — wtrąciłem.

— Byłbym się starał wyratować — odparł. — A tego wówczas nie miałem na myśli, kiedy... — wzdrygnął się, jakby miał przelknąć jakieś obrzydliwe lekarstwo — kiedy skoczyłem — wymówił z konwulsyjnym, wysiłkiem, którego napięcie, jakby niesione na fali powietrza, sprawiło, że poruszyłem się z lekka na krześle. Utkwił we mnie ponure oczy. — Pan mi nie wierzy? — krzyknął. — Przysięgam!... Et, do diabła z tym wszystkim! Pan wyciąga mnie tu na zwierzenia, więc... Pan mi musi wierzyć! Pan przecież powiedział, że pan będzie mi wierzył.

— Naturalnie, że panu wierzę — zapewniłem rzeczowym tonem, który podziałał na niego kojąco.

— Niech mi pan wybaczy — rzekł. — Nie mówiłbym panu naturalnie tego wszystkiego, gdyby pan nie był dżentelmenem. Chyba powinienem wiedzieć, kto nim jest... bo ja jestem, jestem również dżentelmenem...

— Tak, tak — rzekłem śpiesznie. Patrzył mi prosto w twarz i odwrócił wzrok powoli.

— Teraz pan rozumie, dlaczego ja, mimo wszystko... dlaczego nie odebrałem sobie życia. Nie chciałem stchórzyć przed tym, co zrobiłem. Przecież gdybym był został na statku, uczyniłbym wszystko, aby się tylko ocalić. Ludzie utrzymywali się nieraz na powierzchni całymi godzinami, na otwartym morzu, i wylawiano ich, i doskonale się potem czuli. A ja byłbym mógł to wytrzymać znacznie lepiej niż wielu innych. *Moje serce jest w porządku.* — Wyciągnął prawą pięść z kieszeni i gruchnął się w pierś, rozległ się jakby zgłuszony strzał wśród nocy.

— Tak — rzekłem. Rozmyślał ze spuszczoną głową rozstawiwszy nieco nogi.

— O włos — mruknął. — Nie było na włos miejsca między tym a tamtym. A w owej chwili...

— O północy trudno jest włos dostrzec — wtrąciłem, zdaje się, nieco złośliwie. Czy pojmujecie, co ja rozumiem przez solidarność w naszym zawodzie? Byłem na Jima rozżalony, jakby mnie oszukał — mnie osobiście — jakby mnie pozbawił wspaniałej okazji do podtrzymania złudzeń młodości, jakby obdarł nasze wspólne życie z ostatniego promienia blasku.

— Więc też pan zwał... od razu.

— Skoczyłem — poprawił mię z naciskiem. — Uważa pan! Skoczyłem — powtórzył. Zaciekawiała mię jego widoczna, lecz niezrozumiała dla mnie intencja. — No tak! — ciągnął dalej — może wówczas nie zdawałem sobie z tego sprawy. Ale później miałem ile chcieć czasu — w tej łodzi. I mogłem rozmyślać. O tym, co zaszło, nikt naturalnie nie miał się dowiedzieć, ale nie przynosiło mi to żadnej ulgi. Temu musi pan także uwierzyć. Nie chciałem tej całej rozmowy... Nie... Tak!... nie będę kłamał!... Chciałem tego: to jest właśnie to, czego chciałem, i koniec. Ani pan, ani nikt inny nie mógłby

mnie zmusić, gdybym... Ja, ja się mówić nie boję. I nie bałem się także myśleć. Spojrzałem temu w twarz. Uciekać przed tym nie chciałem. Z początku, w nocy, gdyby nie ci ludzie, byłbym... Ale nie! na Boga, nie chciałem im sprawić tej przyjemności. Dość złego mi wyrządzili. Wymyślili sobie jakąś opowieść i może nawet w nią wierzyli. Ale ja znałem prawdę i postanowiłem uporać się z nią sam jeden. Nie chciałem brać udziału w tak ohydnej nieuczciwości. Czegóż właściwie to wszystko dowiodło? Byłem strasznie ścięty z nóg. I powiem panu prawdę, miałem obrzydzenie do życia; ale cóż by mi z tego przyszło, gdybym się od życia wymigał — w... w taki sposób? To nie była właściwa droga. Ja myślę, że, że to by... to by nie było żadne rozwiązanie.

Przez cały ten czas chodził tam i z powrotem, ale z ostatnim słowem zwrócił się nagle do mnie.

— A co *pan* myśli? — spytał gwałtownie. Nastąpiła przerwa i nagle poczułem, że przygniata mię wielkie, beznadziejne zmęczenie, jakby głos Jima wyrwał mię ze snu, z wędrówki przez puste przestworza, których ogrom znużył mi duszę i wyczerpał ciało.

— ...to by nie było żadne rozwiązanie — mruknął nade mną uparcie po krótkiej chwili. — Nie! Należało stawić czoło wszystkiemu, samotnie, czekać na sposobność, coś obmyślić...

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Jak uchem sięgnąć wszystko milczało naokół. Mgła uczuć Jima kłębiła się między nami, jakby wzburzona jego wewnętrzną walką — a on sam w rozchyleniu tej niematerialnej zasłony ukazywał się wyraźnie moim wpatrzonym oczom i pociągał mię w niejasny sposób, niby symboliczna postać na jakimś obrazie. Chłodne powietrze nocy zdawało się ciężyc na moich członkach jak płyta marmuru.

— Rozumiem — szepnąłem chyba po to, aby dowieść samemu sobie, że potrafię otrząsnąć się z odrętwienia.

— „Avondale” zabrał nas przed samym zachodem — rzekł Jim posępnie. — Płynął prosto na nas. Pozostawało nam tylko siedzieć i czekać.

Po długiej przerwie rzekł:

— Opowiedzieli swoją historyjkę. — Nastąpiło dotkliwe milczenie. — I dopiero wtedy pojąłem, jakie są konsekwencje mego postanowienia — dodał.

— A pan sam nic nie mówił? — szepnąłem.

— Cóż mogłem powiedzieć? — zapytał równie cicho. — To szyper mówił: „Lekkie zderzenie; zatrzęsiałem okręt. Sprawdziłem uszkodzenia. Kazałem spuścić łodzie z największą ostrożnością, żeby nie wywołać paniki. Po spuszczeniu pierwszej łodzi okręt poszedł na dno wśród szkwału. Zapadł się w wodę niby kamień”. To jasne jak dzień — zwiesił głowę — i okropne. — Wargi jego drgnęły, gdy patrzył mi prosto w oczy. — Przecież skoczyłem, prawda? — zapytał z przerażeniem. — Musiałem z tym się uporać. Cóż mnie obchodziła ta ich historyjka... — Splótł dłonie na chwilę, spojrzał w mrok na prawo i lewo. — To było, jakby się oszukiwało umarłych — wyjąkał.

— A umarłych nie było — rzekłem.

Odsunął się ode mnie na te słowa. Tylko tak mogę to określić. W mig zobaczyłem jego plecy tuż przy balustradzie. Stał tam przez jakiś czas, jakby podziwiając przejrystość i spokój nocy. Jakiś rozkwitły krzew pod werandą rozsiewał silny aromat w wilgotnym powietrzu. Jim wrócił do mnie szybkim krokiem.

— To nie ma nic do rzeczy — rzekł uporczywiej niż kiedykolwiek.

— Może — zgodziłem się. Zaczęło mi się zdawać, że mam już Jima dosyć. Cóż ja właściwie o nim wiedziałem?

— Czy tamci ludzie byli umarli, czy też żywi, ja już nie mogłem się z tego wypłatać — rzekł. — Musiałem dalej żyć, prawda? Ucieszyłem się, naturalnie — rzucił niedbale, myśląc już o czymś innym — jak się to wszystko wykryło — rzekł z wolna i podniósł głowę. — Wie pan, jaki był pierwszy mój odruch, kiedy mi o tym powiedzieli? Poczułem ulgę. Odetchnąłem, bo się dowiedziałem, że te krzyki, czy ja panu mówiłem, że słyszałem krzyki? Nie? No więc słyszałem krzyki o pomoc... które wiatr niósł razem z deszczem. To pewno wyobraźnia. A jednak trudno mi uwierzyć... Jakie to głupie. Tamci nie słyszeli. Pytałem ich potem. Powiedzieli wszyscy, że nie. Nie? A ja wciąż je słyszałem! Powinie-

nem był wiedzieć... ale nie zastanawiałem się wcale, nasłuchiwałem tylko. Bardzo słabe krzyki, dzień w dzień. Wreszcie ten mały Metys podchodzi do mnie i powiada: „»Patna«... francuska kanonierka... przyholowała ją szczęśliwie do Adenu... Śledztwo... Urząd pocztowy... Dom Marynarza... dostanie pan tam pokój z utrzymaniem”. Szedłem obok niego i cieszyłem się — z milczenia. A więc żadnych krzyków nie było. Gra wyobraźni! Musiałem mu uwierzyć. I odtąd nie słyszałem już nic. Ciekawe, jak długo mógłbym to jeszcze wytrzymać. A było z tym coraz gorzej... to znaczy, że krzyki stawały się głośniejsze.

Zatopił się w myślach.

— Więc to mi się tylko zdawało. Dobrze, niech i tak będzie. Ale światła! Światła przecież zagasły! Przeszliśmy je widzieć. Nie było ich. Gdybym tam widział światła, byłbym popłynął z powrotem, byłbym wrócił i krzyczał u burty — byłbym ich błagał, żeby mnie wzięli na pokład... Miałbym sposobność... Pan wątpi o tym?... Skąd pan może wiedzieć, co czułem? Jakim prawem pan wątpi?... Ja o mało co i tak tego nie zrobiłem, rozumie pan? — głos jego opadł. — Nie było żadnego błysku, najlżejszego błysku — zapewnił posępnie. — Czy pan rozumie, że gdyby nie to, nie widziałby mnie pan teraz przed sobą? Pan mię widzi i pan wątpi.

Pokręcił przecząco głową. Ta sprawa światel, które znikły, choć łódź nie oddaliła się od statku więcej niż o ćwierć mili, była roztrząsana szczegółowo. Jim twierdził nieugięcie, że kiedy pierwsza ulewa minęła, nic już nie było widać; tamci oświadczyli to samo oficerom na „Avondale”. Oczywiście ludzie się uśmiechali kręcąc głową. Pewien stary szyper, który siedział obok mnie w sądzie, polaskotał mię w ucho białą brodą, szepcząc: „Kłamią jak z nut”. A tymczasem nikt nie kłamał, nawet i główny mechanik, gdy opowiadał, że światło na maszcie opadło jak rzucona zapalka. W każdym razie nie kłamał świadomie. Wątroba jego znajdowała się w takim stanie, że nie byłoby nic dziwnego, gdyby ujrzął iskrę w kącie powieki, rzucając ukradkiem w tył śpieszne spojrzenie. Nie widzieli żadnego światła, choć byli w pobliżu statku i mogli to sobie wytłumaczyć w jeden jedyny sposób, a mianowicie, że „Patna” poszła na dno. Było to oczywiste i kojące. Przewidywany fakt, który nastąpił tak prędko, usprawiedliwiał ich pośpiech. Nic dziwnego, że nie szukali innego wyjaśnienia. A prawdziwe wyświetlenie sprawy było bardzo proste i z chwilą gdy je Brierly podsunął, sąd przestał się tą kwestią zajmować. Pamiętacie, że statek się zatrzymał i leżał na wodzie w kierunku nocnego kursu, gdy rufa podjechała do góry, a dziób pochylił się w dół wskutek zalania wodą pierwszej komory. Tedy pozbawiona równowagi „Patna”, gdy szkwał uderzył w nią z boku, skrzyła dziobem pod wiatr tak sprawnie, jakby stała na kotwicy. Wskutek tej zmiany położenia wszystkie jej światła odwróciły się w bardzo krótkim czasie od łodzi ku stronie podwietrznej. Bardzo być może, że gdyby światła pozostały widoczne, działałyby jak nieme wezwanie — że ich migot, zagubiony w mroku chmury, miałby tajemniczą siłę ludzkiego wzroku, który może obudzić wyrzuty sumienia i litość. Mówiłby: „Jestem tu — jeszcze jestem...”, a cóż więcej mogą powiedzieć oczy najbardziej opuszczonego z ludzkich stworzeń? Lecz „Patna” odwróciła się tyłem, jakby chcąc okazać pogardę dla losu tych ludzi: skrzyła ciężko na miejscu, aby wpatrywać się nieugięcie w nowe niebezpieczeństwa, które miała przetrzymać w tak dziwny sposób. Snadź było zapisane w jej losach, że dokona swych dni rozbita na złom w doku, pod ciosami wielu młotów. Co się tyczy pielgrzymów, nie umiem powiedzieć, jak różne przeznaczenia los im gotował, lecz wkrótce potem, na drugi dzień około dziewiątej rano, pojawiła się francuska kanonierka wracająca do kraju z wysp Réunion. Raport jej dowódcy był własnością publiczną. Kapitan owej kanonierki zboczył nieco ze swego kursu, aby się przekonać, co się dzieje na parowcu płynącym niebezpiecznie sterem naprzód po spokojnym i mglistym morzu. Z gafła owego parowca powiewała bandera zawieszona odwrotnie (serang miał na tyle rozsądku, iż wywiesił o brzasku sygnał wzywający pomocy), lecz kucharze zajęci byli jak zwykle gotowaniem w kuchniach na dziobie. Tłok panował na pokładzie, że ani szpilki wetknąć; ludzie sterczeli wzdłuż bariery, zbici byli na mostku w jedną masę; setki oczu patrzyło z natężeniem, ale nikt nie odezwał się ani słowem, gdy się kanonierka zbliżyła, jakby czar jakiś położył pieczęć milczenia na tych niezliczonych wargach.

Francuz okrzyknął statek, nie zrozumiał nic z odpowiedzi i postanowił wysłać łódź, upewniwszy się przez lornetkę, że tłum zapelniający pokład nie wygląda na dotknięty

zarazą. Dwaj oficerowie przybyli na pokład, wysłuchali seranga, usiłowali rozmówić się z Arabem, ani w ząb nic nie mogąc zrozumieć; ale naturalnie rzuciło się w oczy, jakiemu wypadkowi uległ okręt. Oficerowie kanonierki bardzo byli zdziwieni odkrywwszy na mostku trupa białego człowieka, który leżał zwinięty spokojnie w kłębek.

— *Fort intrigués par ce cadavre*¹⁹ — opowiadał mi długi czas później francuski porucznik, człowiek starszy, z którym zetknąłem się raz po południu w Sydney, czystym przypadkiem, w jakiejś niby to kawiarni, i który pamiętał doskonale całą tę sprawę. Bo rzeczywiście owa historia, zaznaczam to mimochodem, opierała się z niezwykłą siłą czasowi i krótkości ludzkiej pamięci; niesamowicie żywotna, zdawała się żyć ciągle w ludzkich umysłach, była wciąż na końcach języków. Miałem wątpliwą przyjemność często ją słyszeć, tysiące mil dalej, po latach; wyłaniała się z rozmów nie mających z nią nic wspólnego, z napomknieniami zupełnie oderwanymi. Czyż dziś nie zjawiała się wśród nas? a przecież jestem wśród was jedynym marynarzem i tylko ja tę historię pamiętam. Tymczasem wyłoniła się znowu! Jeżeli zaś dwóch znających ją ludzi, choćby najzupełniej sobie obcych, zeszło się przypadkiem w pierwszym lepszym miejscu, wypływała znowu na powierzchnię, nim się rozstali. Nie widziałem nigdy przedtem owego Francuza i po upływie godziny pożegnaliśmy się na całe życie; nie wydawał się bynajmniej szczególnie rozmowny; było to spokojne, tęgie chłopisko w pogniecionym mundurze, siedzące sennie nad szklanką napełnioną do połowy jakimś ciemnym płynem. Naramienniki jego były nieco wytarte, ogolone policzki wielkie i blade; wyglądał, jakby zażywał tabakę, czy mnie rozumiecie? Nie mówię, że tak było rzeczywiście, ale że to by pasowało do człowieka jego pokroju. Zaczęło się wszystko od tego, że Francuz podał mi przez marmurowy stolik numer „Home News”, którego nie miałem ochoty przeglądać. Odrzekłem: „*Merci*”²⁰. Zamieniliśmy kilka pozornie niewinnych uwag i nagle, zanim się spostrzegłem, znaleźliśmy się w samym środku tej historii. Francuz mówił mi właśnie, jak bardzo ich te zwłoki zaintrygowały. Okazało się, że był jednym z oficerów, którzy udali się na pokład „Patny”.

W knajpie, gdzieśmy siedzieli, można było dostać różne zagraniczne trunki, które trzymano dla przyjezdnych oficerów marynarki: Francuz pociągnął łyk ciemnego napoju wyglądającego na lekarstwo — nie było to pewnie obrzydliwsze od *cassis à l'eau*²¹ — i zajrzawszy jednym okiem do szklanki potrząsnął z lekka głową.

— *Impossible de comprendre, vous concevez*²² — rzekł ze szczególną mieszaniną obojętności i zadumy. Bardzo łatwo mi było zrozumieć, jak dalece im się to wydało niepojęte. Nikt na kanonierce nie umiał dość dobrze po angielsku, aby się połapać w opowiadaniu seranga. W dodatku wielka wrzawa podniosła się naokoło obu oficerów.

— Tłoczyli się na nas. Pierścień z ludzi otoczył tego umarłego (*autour de ce mort*) — opisywał Francuz. — Trzeba było się zająć tym, co najpilniejsze. Tłum zaczynał się burzyć, *parbleu!*²³ Taki motloch, rozumie pan — dodał z filozoficzną pobłażliwością. A co się tyczy owej grodzi, Francuz powiedział swemu dowódcy, że najbezpieczniej wcale jej nie dotykać, taki miała paskudny wygląd. Sprowadzili jak najprędzej (*en toute hâte*) dwie liny na pokład; zaczęli holować „Patnę” i to sterem naprzód — co w danych okolicznościach nie było wcale głupie, ponieważ ster zanadto wystawał z wody, aby mógł się na coś przydać; przy tym użycie tego manewru zmniejszyło napór na gródz, której stan — wyjaśnił Francuz płynnie a obojętnie — wymagał największej ostrożności (*exigeait les plus grands ménagements*). Pomyślałem mimo woli, że mój nowy znajomy z pewnością brał udział w wydawaniu owych zarządzeń; robił wrażenie oficera, na którym można polegać, choć nie bardzo już był ruchliwy, a przy tym czuło się w nim dobrego fachowca; lecz gdy tak siedział z grubymi palcami splecionymi lekko na brzuchu, wyglądał jak zatabaczony, spokojny wiejski proboszcz, w którego uszy całe pokolenia chłopów wylewają swe grzechy, bóle, wyrzuty sumienia; na twarzach takich księży flegmatycznych prostoduszny wyraz jest jak gdyby zasłoną spuszczoną na tajemnicę cierpienia i niedoli. Ów marynarz powinien był mieć na sobie wytartą, czarną sutannę zapiętą gładko aż po obfity podbródek,

¹⁹ *Fort intrigués par ce cadavre* (fr.) — mocno zaintrygowani tymi zwłokami. [przypis edytorski]

²⁰ *merci* (fr.) — dziękuję. [przypis edytorski]

²¹ *cassis à l'eau* (fr.) — odświeżający napój alkoholowy z likieru z czarnych porzeczek zmieszanego z wodą. [przypis edytorski]

²² *Impossible de comprendre, vous concevez* (fr.) — Nie sposób tego pojąć, rozumie pan. [przypis edytorski]

²³ *parbleu!* (fr.) — do licha! [przypis edytorski]

zamiast surduta z naramiennikami i mosiężnymi guzikami. Szeroka jego pierś wznosiła się i opadała miarowo, gdy opowiadał mi w dalszym ciągu, że była to wprost cholerna robota, co z pewnością (*sans doute*) sobie wyobrażam będąc marynarzem z zawodu (*en votre qualité de marin*). Przy końcu zdania pochylał się z lekka ku mnie całym ciałem i ściągnął wygolone wargi wypuszczając przez nie powietrze z cichym sykiem.

— Całe szczęście — ciągnął — że morze było gładkie jak ten stół; wiatru nie więcej niż tutaj.

Uderzyło mnie, że w sali jest duszno wprost nie do zniesienia i bardzo gorąco; twarz paliła mię, jakbym był dość jeszcze młody, aby się czerwienić ze zmieszania. Francuz mówił dalej, że oczywiście (*naturallement*) skierowali się do najbliższego portu, gdzie się ich odpowiedzialność skończyła. „*Dieu merci...*”²⁴ Wydał z lekka płaskie policzki...

— Ponieważ, uważa pan (*notez bien*), na cały czas holowania postawiliśmy z siekierami przy linach dwóch naszych podoficerów, którzy mieli nas odciąć od holowanego statku, w razie gdyby... — Spuścił szybko ciężkie powieki, dając najwyraźniej do zrozumienia, co ma na myśli. — Cóż pan chce! Robi się, co się może (*on fait ce qu'on peut*). — W swym ociążonym bezruchu potrafił przybrać na chwilę wyraz pełen rezygnacji. — Dwóch podoficerów — przez trzydzieści godzin bez przerwy. Dwóch — powtórzył podnosząc lewą rękę i wystawiając dwa palce. Był to dosłownie pierwszy gest, który u niego zauważyłem. Przy tej sposobności spostrzegłem bliźnę w kształcie gwiazdy na wierzchu jego ręki, widocznie skutek postrzału; i jakby wzrok mi się zaostrzył od tego odkrycia, zauważyłem także szew dawnej rany zaczynającej się nieco poniżej skroni i ginącej pod krótkimi siwymi włosami z boku głowy — draśnięcie włócznią lub cios szabli. Splótł znowu ręce na brzuchu. — Zostałem na pokładzie tej, tej... tracę pamięć (*ma mémoire s'en va*). *Ab!* „*Patt-nà*”. *C'est bien ça*. „*Patt-nà*”. *Merci*. To zabawne, jak człowiek zapomina. Byłem na tym statku przez trzydzieści sześć godzin...

— Co pan mówi! — wykrzyknąłem. Patrząc wciąż na swoje ręce ściągnął nieco usta, ale tym razem nie syknął.

— Uznano za stosowne — rzekł podnosząc brwi beznamiętnie — aby jeden z oficerów został na pokładzie czuwając pilnie (*pour ouvrir l'oeil*)... — tu westchnął od niechcenia — ...aby porozumiewał się sygnałami z holującym okrętem, rozumie pan? i tak dalej. Zresztą było to i moje zdanie. Przygotowaliśmy nasze łodzie do spuszczenia, a ja na tym okręcie zarządziłem także, co trzeba... *Enfin*²⁵. Zrobiło się, co się mogło. To była trudna sprawa, trzydzieści godzin. Przyrządzili mi jakiś posiłek. A co do wina, rób, co chcesz, ani kropli. — Jakimś nadzwyczajnym sposobem, nie wychodząc na pozór z bezwładu, zdołał ujawnić uczucie głębokiego niesmaku, bez żadnej dostrzegalnej zmiany we flegmatycznej twarzy. — Ja, wie pan, kiedy mi przyjdzie jeść bez mojej szklanki wina ani rusz.

Obawiałem się, że się będzie rozwodził nad tą krzywdą, bo choć nie poruszył się ani trochę; choć ani jeden z jego rysów nie drgnął, łatwo było zdać sobie sprawę, jak bardzo go to wspomnienie rozdrażnia. Ale zdawał się wnet o tym zapomnieć. Powierzyli znaleziony statek „władzom portowym”, jak się wyraził. Uderzył go spokój, z jakim to zostało przyjęte.

— Można było pomyśleć, że przyprowadzają im co dzień taką dziwną zgubę (*drôle de trouvaille*). Wy to doprawdy jesteście nadzwyczajni — zauważył oparłszy się plecami o ścianę, sam zaś wyglądał na równie zdolnego do ujawnienia swych uczuć jak wór z mąką. Tak się złożyło, że w porcie stał wówczas okręt wojenny parowiec marynarki indyjskiej; Francuz nie ukrywał podziwu dla sprawności, z jaką łodzie owych statków opróżniły „*Patnę*”. Nieruchawy sposób bycia tego człowieka nie ukrywał w gruncie rzeczy niczego; była w nim owa tajemnicza, niemal cudowna siła wywierania silnych wrażeń za pomocą środków prawie niemożliwych do odkrycia, co jest ostatnim słowem najwyższej sztuki.

— Dwadzieścia pięć minut z zegarkiem w ręku — dwadzieścia pięć, nie więcej... — Rozplótłszy palce, splótł je znowu, nie odejmując rąk od brzucha; zrobiło to daleko większe wrażenie, niż gdyby w zdumieniu wyrzucił ramiona ku niebu. — Wszyscy ci ludzie (*tout ce monde*) znaleźli się na brzegu razem ze swymi manatkami, została tylko

²⁴*Dieu merci* (fr.) — Bogu dzięki. [przypis edytorski]

²⁵*enfin* (fr.) — w końcu, na koniec. [przypis edytorski]

straż złożona z marynarzy (*marins de l'état*) i ten interesujący trup (*cet intéressant cadavre*). Dwadzieścia pięć minut...

Wyglądał, ze spuszczoneymi oczami i głową trochę przechyloną, jakby się rozkoszował ze znanstwem świetnie wykonaną robotą. Przekonał mię bez żadnych dalszych wywodów, jak dalece było warto zasłużyć na jego uznanie. Pograżywszy się znowu w bezruchu, z którego prawie nie wychodził, opowiadał dalej, że mając rozkaz, aby jak najprędzej dotrzeć do Tulonu, wyruszyli już po upływie dwóch godzin.

— ...tak że (*de sorte que*) w tym zdarzeniu z mego życia (*dans cet épisode de ma vie*) wiele rzeczy pozostało dla mnie nie wyjaśnionych.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Po tych słowach, nie zmieniając wcale postawy, poddał się biernie, że tak powiem, milczeniu. Dotrzymałem mu towarzystwa, gdy nagle, choć nie raptownie, przemówił, jakby wypełnił się czas, kiedy mu było sądzone wyjść z bezruchu i odezwać się swym zwykłym głosem, spokojnym i zachrypłym:

— *Mon Dieu!*²⁶ jak ten czas mija!

Nic pospolitszego od tej uwagi, ale wypowiedzenie jej zbiegło się dla mnie z chwilą wizji. To nie do wiary, z jak przymkniętymi oczyma, przytępienymi uszami i senną myślą idziemy przez życie. Może to i dobrze; noże właśnie ta tępota czyni życie — dla niezmierniej większości ludzi — znośnym i pożądanym. Jednakże tylko bardzo nieliczni nie doznają rzadkich chwil ocknienia, kiedy się widzi, słyszy, rozumie tak wiele, wszystko, w jednym błysku, zanim się nie zapadnie z powrotem w przyjemną drzemkę. Podniosłem oczy, podczas gdy mówił, i ujrzałem go, jakbym go nigdy przedtem nie widział. Ujrzałem jego brodę opuszczoną na piersi, niezgrabne fałdy munduru, splecione ręce, nieruchomą postawę nasuwającą dziwną myśl, że został tam po prostu porzucony. Czas rzeczywiście mijał; prześcignął tego człowieka i wysforował się naprzód. Zostawił go beznadziejnie w tyle z paru ubogimi darami: siwą jak stal czupryną, znużeniem wypisanym na opalonej twarzy, dwiema bliznami, parą wytartych szlif. Ów człowiek należał do tych spokojnych, godnych zaufania ludzi, stanowiących surowy materiał, z którego wyrastają wielkie sławy; było to jedno z nielicznych istnień grzebanych bez trąb i bębnow, istnień, które są podwalinami wspaniałych osiągnięć.

— Jestem obecnie trzecim porucznikiem na „Victorieuse” (był to wówczas flagowy okręt francuskiej eskadry na Oceanie Spokojnym) — rzekł odrywając plecy od ściany na parę cali, ażeby mi się przedstawić. Skłoniłem się lekko i powiedziałem, że dowodzę handlowym okrętem zakotwiczonym obecnie w Rushcutters' Bay. Oświadczył mi, iż go zauważył, taki ładny, niewielki statek. Mówił o nim po swojemu, bardzo uprzejmie, a obojętnie. O ile pamiętam, zdobył się nawet na łaskawe skinienie głową i powtarzał oddychając ciężko:

— Tak, tak. Mały statek pomalowany na czarno, bardzo ładny, bardzo ładny (*très coquet*). — Po jakimś czasie obrócił się z wolna całym ciałem, aby się znaleźć na wprost szklanych drzwi po prawej stronie. — Nudne miasto (*triste ville*) — zauważył wpatrując się w ulicę. Dzień był słoneczny; szalał południowy wicher i tarosił przechodniów, mężczyzn i kobiety, idących po trotuarze; zalane słońcem fronty domów z drugiej strony ulicy były przesłonięte kłębamii pyłu wzbijającego się wysoko. — Wysiadłem na brzeg — powiedział — żeby trochę nogi rozprostować, ale... — Nie skończył i zapadł znów w głąb bezruchu. — Proszę pana, niech mi pani powie — zaczął z rozwagą, ocknąwszy się znowu — co tam właściwie (*au juste*) było na dnie tej sprawy? To ciekawe. Na przykład ten umarły, i tak dalej.

— Byli tam również i żywi ludzie — rzekłem — o wiele ciekawsi.

— Pewnie, pewnie — zgodził się półgłosem i jakby po chwili dojrzałej rozwagi, szepnął: — Oczywiście.

Nie dałem się prosić i opowiedziałem mu o tym, co mnie w tej sprawie najbardziej zajmowało. Sądziłem, że ma prawo wiedzieć: czyż nie spędził, trzydziestu godzin na pokładzie „Patny”, czy jej, że się tak wyrażę, nie odziedziczył, czy nie zrobił wszystkiego, co było w jego mocy? Przysłuchując mi się wyglądał na księdza bardziej niż kiedykolwiek,

²⁶*mon Dieu!* (fr.) — mój Boże! [przypis edytorski]

a przy tym, pewnie z powodu spuszczonego oczu, miał wyraz pobożnego skupienia. Raz czy dwa podniósł brwi (nie podnosząc jednak powiek), jakby chciał powiedzieć: „O, do diabła!” Raz jeden wykrzyknął spokojnie: — No, no! — ściszym głosem, a kiedy skończyłem, ściągnął usta powoli i gwizdnął z żalem.

U każdego innego mogło to być oznaką nudy, dowodem obojętności; ale on w tajemniczy swój sposób umiał przybrać w bezruchu wyraz głębokiego, zrozumienia rojącego się od cennych myśli. Wreszcie powiedział tylko:

— Bardzo zajmujące — grzecznym tonem, nie głośniejszym prawie od szeptu. Uczulem się zawiedziony, ale zanim przetrawiłem swój zawód, dodał, niby mówiąc do siebie:

— Otóż to. Otóż to właśnie.

Broda jego opadła jak gdyby niżej na piersi, ciało zaciążyło bardziej na krześle. Chciałem go właśnie zapytać, co ma na myśli, gdy spostrzegłem, że coś na kształt drgnienia przebiegło po całym jego ciele, tak jak się czasem widzi lekką zmarszczkę na stojącej wodzie, nim się jeszcze poczuje wiatr.

— Więc ten biedny chłopiec uciekł z tamtymi — rzekł spokojnie, z powagą.

Nie wiem, co mnie skłoniło do uśmiechu; o ile pamiętam, jedyny raz się wtedy uśmiechnąłem w związku z ową sprawą. Ale to proste stwierdzenie rzeczy brzmiało jakoś zabawnie po francusku.

— *S'est enfui avec les autres*²⁷ — powiedział porucznik. I nagle zacząłem podziwiać bystrość tego człowieka. Trafił od razu w sedno: wyluskał jedyną rzecz, o którą mi chodziło. Miałem wrażenie, że zasięgam opinii znawcy o tym wypadku. Niewzruszony i dojrzały spokój Francuza upodabniał go do eksperta, który opanował faktami i dla którego ludzkie kłopoty są po prostu dziecianną zabawką.

— Ach, ci młodzi, ci młodzi! — rzekł pobłażliwie. — A w gruncie rzeczy z tego się nie umiera.

— Z czego? — spytałem szybko.

— Ze strachu.

Wyjaśnił, o co mu chodzi, i pociągnął łyk ze szklanki. Spostrzegłem, iż trzy ostatnie palce ręki, na której miał bliznę, były sztywne i nie mogły się niezależnie od siebie poruszać, tak że podnosił szklankę nieporadnie.

— Człowiek zawsze się boi. Niech mówią, co chcą, ale... — Postawił niezgrabnie szklankę z powrotem. — Strach, strach — uważa pan — jest zawsze tutaj... — Dotknął piersi obok mosiężnego guzika, w tym samym miejscu, gdzie uderzył się Jim zapewniając, że jego serce jest w porządku. Prawdopodobnie zrobiłem jakiś ruch przeczący, bo porucznik obstawał przy swoim: — Tak, tak. Człowiek gada i gada, wszystko to bardzo pięknie; ale koniec końców, nie jest się mędrszym od pierwszego lepszego człowieka ani też odważniejszym. Odwaga! O to nietrudno. Wycierałem kąty (*J'ai roulé ma bosse*) — rzekł używając tego wyrażenia z niewzruszoną powagą — po wszystkich częściach świata; znałem ludzi odważnych, i jak jeszcze! *Allez!*²⁸ — Popił niedbale ze szklanki. — Na służbie, rozumie pan, odważnym być się musi, tego wymaga nasz zawód (*le métier veut ça*). Prawda? — odwołał się do mnie porozumiewawczo. — *Eh bien!*²⁹ każdy człowiek, jeśli jest uczciwy *bien entendu*³⁰, wyzna, że przychodzi chwila, przychodzi taka chwila na najęźszego z nas, przychodzi skądś taka chwila, kiedy się wszystko z rąk wypuszcza (*vous lâchez tout*). I trzeba żyć z tą prawdą, uważa pan? Przy pewnym zbiegu okoliczności strach przychodzi na pewno. Paniczny strach (*un trac épouvantable*). A nawet i dla ludzi, którzy tej prawdy nie uznają, strach jednakże istnieje, strach przed samym sobą. Bez względu. Niech mi pan wierzy. Tak, tak... W moim wieku człowiek wie, co mówi, *que diable!*³¹... — Wypowiedział to wszystko tak beznamiętnie, jakby przez niego mówiła oderwana mądrość, i zaczął z wolna kręcić wielkimi palcami, co spotęgowało jeszcze wrażenie wywołane przez jego obojętność. — To jest oczywiste, *parbleu!* — ciągnął dalej — bo wbrew wszelkim postanowieniom wystarczy zwyczajny ból głowy albo niestrawność (*un dérangement d'estomac*), ażeby... Weźmy mnie na przykład, przetrzymałem różne

²⁷*S'est enfui avec les autres* (fr.) — Uciekł z innymi. [przypis edytorski]

²⁸*allez!* (fr.) — tu: naprzód; wykrzyknik poprzedzający wypicie łyku alkoholu. [przypis edytorski]

²⁹*Eh bien!* (fr.) — no dobrze; no więc. [przypis edytorski]

³⁰*bien entendu* (fr.) — ma się rozumieć. [przypis edytorski]

³¹*que diable!* (fr.) — u diabła! [przypis edytorski]

próby. *Eh bien!* Ja, który do pana mówię, pewnego razu...

Wysączył resztę napoju i zaczął znów obracać palcami. — Nie, nie, od tego się nie umiera — wyrzekł ostatecznie, a kiedy się przekonałem, że nie ma zamiaru opowiadać dalej swego przeżycia, poczułem wielki zawód, tym bardziej że, rozumiecie, trudno było nalegać, aby się zwierzał. Siedziałem milcząc, on także, i zdawało się, że to mu najbardziej dogadza. Nawet jego palce znieruchomiały. Wtem poruszył znowu wargami. — Tak to, tak — zaczął flegmatycznie. — Człowiek urodził się tchórzem (*l'homme est né poltron*). W tym cała trudność, *parbleu!* Inaczej byłoby zbyt łatwo. Ale przyzwyczajenie, konieczność, rozumie pan? oczy innych ludzi, *voilà!*³² I człowiek daje sobie z tym radę. A jeszcze i przykład tych, którzy nie lepsi są od nas, a jednak trzymają się dzielnie...

Głos jego ucichł.

— Tamten młody człowiek — niech pan to zauważy — nie miał żadnej z tych podniet, przynajmniej w owej chwili — rzekłem.

Podniósł brwi pobłażliwie.

— Ja nie mówię, ja nic nie mówię. Młody człowiek, o którym rozmawiamy, mógł mieć najlepsze chęci, najlepsze chęci — powtórzył sapiąc z lekka.

— Cieszy mnie, że pan patrzy na to wyrozumiale — rzekłem. — On był pod tym względem pełen najlepszych nadziei i...

Urwałem, gdyż porucznik zaszurał nogami pod stołem. Podciągnął ciężkie powieki. Mówię: podciągnął, bo żadne inne wyrażenie nie oddałoby spokojnej rozwagi tego ruchu, i nareszcie ujawnił mi się zupełnie. Patrzyły na mnie dwa małe kółka jak dwa drobne stalowe pierścienie otaczające czerń źrenic. Ten ostry wzrok, w połączeniu z masywnym korpusem porucznika, robił wrażenie niezmiernej sprawności, jak berdysz wyostrzony na kształt brzytwy.

— *Pardon*³³ — rzekł Francuz z wyszukaną uprzejmością. Podniósł prawą rękę i pochylił się naprzód. — Niech mi pan pozwoli... Twierdziłem, że można bardzo dobrze sobie radzić, choć się wie, że odwaga sama z siebie nie przychodzi (*ne vient pas tout seul*). Nic w tym znów nie ma takiego, co by mogło wytrącić człowieka z równowagi. Jedna prawda więcej nie powinna życia uniemożliwiać... Ale honor, honor, proszę pana... Honor!... To, to jest rzeczywiste, to, to naprawdę istnieje! A co życie może być warte, jeśli... — porwał się na nogi gwałtownie i ciężko, niby spłoszony wół gramolący się z trawy — ...jeżeli honor jest stracony, *ah ça!*³⁴ *par exemple*³⁵, nie mogę się co do tego wypowiedzieć, ponieważ, *monsieur*, ja o tym nic nie wiem.

Wstałem również; usiłowaliśmy obaj przybrać jak najuprzejmieszczą minę, stojąc niemo naprzeciw siebie jak dwa porcelanowe pieski na kominku. A niechże go! Przekłął bańkę mydlaną. Tchnienie jałowej pustki, która czyha na ludzkie wywody, powiało na naszą rozmowę i przemieniło ją w puste dźwięki.

— Bardzo pięknie — rzekłem z zakłopotanym uśmiechem — więc może rzecz sprwadza się do tego, by... nie wyszła na jaw?

Miałem wrażenie, jakby chciał odciąć mi się natychmiast, lecz zmienił zdanie, nim jeszcze zaczął mówić.

— To, proszę pana, jest dla mnie za subtelne, to mnie przerasta, ja o takich rzeczach nie myślę.

Skłonił się ciężko nad czapką, którą trzymał przed sobą za daszek między wielkim i wskazującym palcem okaleczonej ręki. Skłoniłem się również. Kłanialiśmy się jednocześnie; szurgaliśmy nogami bardzo ceremonialnie jeden przed drugim, a brudny kelner przyglądał się nam krytycznie, jakby za to przedstawienie zapłacił.

— *Serviteur*³⁶ — powiedział Francuz. Znowu szurgnięcie.

— *Monsieur... Monsieur...*

Szklane drzwi zamknęły się za jego szerokimi plecami. Widziałem, jak południowy wichur porwał go i pchał przed sobą; Francuz trzymał rękę u głowy i napręzał ramiona, a poły munduru oblepiały mu się naokoło nóg.

³²*voilà!* (fr.) — otóż to! [przypis edytorski]

³³*pardon* (fr.) — przepraszam. [przypis edytorski]

³⁴*ah ça!* (fr.) — ach tak! [przypis edytorski]

³⁵*par exemple* (fr.) — przykładowo. [przypis edytorski]

³⁶*serviteur* (fr.) — sługa uniżony; zwrot grzecznościowy. [przypis edytorski]

Siadłem z powrotem, samotny i zniechęcony, do sprawy Jima. Jeśli się dziwicie, że po trzech latach jego dzieje nie straciły dla mnie aktualności, to muszę wam powiedzieć, że właśnie wówczas dopiero co z nim się widziałem. Przybyłem prosto z Semarangu, gdzie brałem ładunek dla Sydney; była to mała zajmująca transakcja, którą obecny tu Karolek nazwałby jednym z mych rozsądnych posunięć. Otóż w Semarangu widywałem się z Jimem od czasu do czasu. Był zatrudniony wtedy u De Jongha, któremu go poleciłem. Pracował jako agent handlowy. „Mój przedstawiciel na wodzie”, jak go De Jongh nazywał. Nie można sobie wystawić życia bardziej pozbawionego wszelkiej pociechy, bardziej wyczerpującego z najdrobniejszej iskielki świetnych pozorów, chyba tylko zajęcie agenta od ubezpieczeń. Mały Bob Stanton, obecny tu Karolek znał go dobrze, spełniał czas jakiś czynności takiego właśnie agenta. To ten sam Bob Stanton, który potem utonął, próbując wyratować pannę służącą podczas zatonięcia „Sephory”. Pamiętacie może — taki wypadek zderzenia mglistym rankiem niedaleko brzegu hiszpańskiego. Wszyscy pasażerowie zostali sprawnie porozmieszczani w łodziach i odwiezieni dobry kawał od statku, kiedy Bob wrócił i włożył znowu na pokład po tę dziewczynę. Nie umiem powiedzieć, jakim sposobem ją zostawiono; w każdym razie oszalała zupełnie ze strachu, nie chciała opuścić statku trzymając się poręczy niby kleszczami. Z łodzi widać było dokładnie, jak się mociją z Bobem, ale biedak był najmniejszy wzrostem ze wszystkich oficerów w marynarce handlowej, a ta kobieta miała pięć stóp dziesięć cali i była podobno silna jak koń. Szamotali się to w jedną, to w drugą stronę, nieszczęsna dziewczyna wrzeszczała bez przerwy, a Bob od czasu do czasu krzychał na swoich ludzi, żeby się trzymali w porządnej odległości od statku. Jeden z majtków mówił mi potem kryjąc uśmiech na to wspomnienie:

— Dalibóg, panie kapitanie, wyglądało to, jakby niegrzeczny malec bił się ze swoją matką. — Ten sam stary majtek opowiadał mi innym razem: — W końcu: zobaczyliśmy, że pan Stanton przestał ciągnąć dziewczynę, tylko stał i patrzył na nią, jakby jej pilnował. I ot, co przyszło nam potem na myśl: pewnie liczył na to, że prąd wody oderwie ją od poręczy i umożliwi mu ratunek. Nie odważyliśmy się zbliżyć do okrętu; po krótkiej chwili poszedł nagle na dno, przechyliwszy się na prawą burtę — chlup! Woda wessała wszystko ze straszliwą siłą. Nie widzieliśmy, aby coś żywego lub martwego wydostało się na powierzchnię.

Zdaje się, że krótki pobyt biednego Boba na wybrzeżu był wynikiem miłosnych komplikacji. Bob cieszył się nadzieją, iż skończył z morzem raz na zawsze, i był przekonany, że największe szczęście na ziemi stało się jego udziałem, tymczasem skończyło się na tej agenturze od ubezpieczeń. Jakiś jego kuzyn z Liverpoolu wsadził go do tego interesu. Bob opowiadał nam często swoje doświadczenia na tym polu. Tak nas rozśmieszał, że w końcu zawsześmy się popłakali. A Bob, wcale zadowolony z wywołanego wrażenia, stał między nami, malutki, z brodą po pas, podobny do krasnoludka, i mówił podnosząc się na czubki palców:

— Dobrze wam się śmiać, szelmy, ale mówię wam: po tygodniu takiej roboty nieśmiertelna dusza kurczy się w człowieku jak zeschnięte ziarno grochu.

Nie wiem, jak dusza Jima przystosowała się do nowych warunków życia, zanadto mię zaprzętało wynalezienie dla niego zajęcia, które by mu zapewniło jaką taką egzystencję, ale nie wątpię, że jego bujna wyobraźnia cierpiała straszne męki głodu. Z całą pewnością nie miała się czym pożywić w tym jego nowym zawodzie. Bolesnie było patrzeć na Jima przy tej pracy, choć trzeba przyznać z uznaniem, że odwalał ją z upartą pogodą. Patrzyłem, jak się mozolił nad nędzną robotą, i zdawało mi się, że to jest kara za bohaterskie rojenia jego imaginacji, pokuta za pożądanie chwały, której nie był w stanie udźwignąć. Zanadto się rozmiłował w wyobrażaniu sobie, że jest wspaniałym wyścigowcem, a teraz został skazany na niezaszczytny znój jak szkapa wozivody. Wykonywał bardzo dobrze swe obowiązki. Zamknął się w sobie, spuścił głowę, nie poskarżył się nigdy ani słowem. Bardzo to było piękne, doprawdy, wyjąwszy niektóre fantastyczne i gwałtowne wybryki przy tych nieszczęsnych okazjach, kiedy nie poskromiona historia „Patny” wypływała na wierzch. Ten skandal ze wschodnich wód nie dawał się niestety pogrzebać. I właśnie dlatego nie mogłem mieć poczucia, że na dobre skończyłem z Jimem.

Siedziałem więc po odejściu francuskiego porucznika myśląc o Jimie, ale rozpamiętywania moje nie były związane z chłodnym, ponurym pokojem przy sklepie De Jongha,

gdzieśmy niedawno zamienili pośpieszny uścisk ręki. Wspomniałem, jak siedzieliśmy sam na sam przed kilku laty na długiej werandzie hotelu „Malabar”; świeca rzucała ostatnie błyski, a za plecami Jima był chłód i mrok nocy. Dostojny miecz ojczystego prawa wisiał nad jego głową. Jutro — a może już dzisiaj? — (było dobrze po północy, nimeśmy się rozeszli) sędzia pokoju o marmurowej twarzy ukarze grzywnami i więzieniem winnych ze sprawy o napad i pobicie, a potem wzniesie straszną broń i uderzy w pochylony kark Jima. Ta nasza nocna rozmowa przypominała dziwnie ostatnią noc spędzoną ze skazańcem. Przecież Jim naprawdę zawinił. Powtarzałem to sobie raz po raz: zawinił i był człowiekiem zgubionym; a jednak pragnąłem mu oszczędzić szczegółów formalnej egzekucji. Nie będę tu wyjaśniał dlaczego, zresztą chyba nie potrafił; ale jeśli nie orientujecie się jeszcze w tym wszystkim, to albo moje opowiadanie było bardzo niejasne, albo też wy zbyt senni, by uchwycić treść moich słów. Ani myślę bronić swej moralności. Nie było moralności w porywie, który mię skłonił do przedstawienia Jimowi planu Brierly'ego, planu ucieczki, w całej jego, że tak powiem, prymitywnej prostocie. Miałem te rupie przy sobie, w kieszeni, gotowe do jego użytku. Och, to tylko pożyczka, naturalnie, że pożyczka; a może przydałby się Jimowi list polecający do mego znajomego (w Rangunie), który by mógł mu wynaleźć jakieś zajęcie... Ależ z największą przyjemnością! Mam pióro, atrament i papier w pokoju na pierwszym piętrze. I w chwili gdy to mówiłem, zapragnąłem natychmiast ten list napisać: dzień, miesiąc, rok, druga trzydzieści nad ranem... W imię naszej dawnej przyjaźni proszę cię o wynalezienie jakiegoś zajęcia dla p. Jamesa takiego a takiego, który... itd., itd. W tym sensie byłem gotów o Jimie pisać. Jeśli nie zdobył sobie całej mojej sympatii, to uzyskał coś więcej, dotarł do samego dna, do źródła tego uczucia, do tajnej wrażliwości mego egoizmu. Nic przed wami nie ukrywam, bo w przeciwnym razie wydałbym się wam bardziej niezrozumiały, niż sobie człowiek na to może pozwolić; po wtóre — jutro i tak zapomnicie i moją szczerość, i wszystkie inne lekcje przeszłości. W tej sprawie, mówiąc brutalnie i jasno, ja byłem człowiekiem bez skazy; lecz subtelna niemoralność mych zamiarów została pokonana przez moralną prostotę przestępcy. Bez wątpienia Jim był też samolubny, ale jego samolubstwo miało szlachetniejsze źródło, wyższy cel. Przekonałem się, że bez względu na wszystkie moje argumenty Jim pragnął być obecny przy obrzędzie egzekucji; toteż nie mówiłem z nim wiele na ten temat, gdyż czułem, że jego młodość będzie potężnym przeciw mnie argumentem: on wierzył w to, o czym ja już nawet wątpić przestałem. Było coś pięknego w szaleństwie jego nie wyrażonej, ledwie skryzalizowanej nadziei.

— Uciec! Nawet myśleć o tym nie mogę — rzekł potrząsając głową.

— Proponuję panu coś, za co nie żądam ani nie oczekuję żadnej wdzięczności — rzekłem — odda pan dług, kiedy panu będzie wygodnie, i...

— Strasznie pan jest dobry — mruknął nie podnosząc oczu. Śledziłem go bacznie; jakże niepewnie musiała mu się przedstawiać przyszłość; ale nie ugiął się, jakby rzeczywiście serce miał wytrzymałe na wszystko. Poczulem gniew, zresztą nie po raz pierwszy tej nocy.

— Sądzę, że ta cała nędzna historia — rzekłem — już i tak dość jest gorzka dla takiego jak pan człowieka...

— O tak, o tak — szepnął po dwakroć z oczami wbitymi w podłogę. To było rozdzierające. Twarz jego górowała nad światłem; widziałem puch na jego policzku i ciepły kolor rumieńca pod gładką skórą. Możecie mi wierzyć lub nie wierzyć, twierdzą, że to było rozdzierające. Pobudziło mię do brutalności.

— Aha — rzekłem — więc niech mi pan pozwoli wyznać, że nie jestem w stanie sobie wyobrazić, jakiego pożytku pan się spodziewa po tym babraniu się w błocie.

— Pożytku! — wyszeptał z głębi swego milczenia.

— Niech mnie diabli wezmą, jeśli wiem, o co panu chodzi — rzekłem z wściekłością.

— Usiłowałem panu powiedzieć wszystko, co o tym myślę — rzekł powoli, jakby rozmyślając o czymś, co się nie da wyrazić. — Ale ostatecznie to przecież jest moja sprawa. — Otworzyłem usta, aby mu się odciąć, i nagle przekonałem się, że tracę do siebie całe zaufanie; a i on także jakby machnął na mnie ręką, gdyż pomrukiwał niby człowiek, który na wpół głośno rozmyśla... — Poszli sobie... poszli do szpitala... Żaden z nich nie chciał stawić temu czoła... Cóż to za... — poruszył z lekka ręką, aby zaznaczyć swoją pogardę.

— Ale ja muszę przejść przez to, nie wolno mi się od tego wykręcać, bo inaczej... Nie będę się uchylał od niczego.

Zamilkł. Wpatrywał się w przestrzeń, jakby go nawiedziła jakaś wizja. Twarz jego odbijała nieświadomie pogardę, rozpacz, postanowienie, odbijała je kolejno, jak zwierciadło magiczne odbija przesuujące się nieziemskie kształty. Żył pośród złudnych widm, pośród surowych cieni.

— Ależ to głupstwo, kochany chłopcze — zacząłem. Poruszył się z niecierpliwością.

— Mam wrażenie, że pan mnie nie rozumie — rzekł dobitnie i dodał patrząc na mnie nieugięte: — Mogłem skoczyć, ale uciekać nie będę.

— Nie chciałem pana obrazić — rzekłem. — I lepsi od pana uważali czasem ucieczkę za wskazaną — zakończyłem w idiotyczny sposób. Pokrył się rumieńcem, a ja w zmieszaniu o mało co się nie udławiłem własnym językiem.

— Może i tak — rzekł w końcu — widać do nich nie dorosłem; nie mogę sobie na to pozwolić. Jestem obowiązany walczyć z tym do ostatka i walczę... *teraz*. — Wstałem z krzesła i poczułem, że członki zupełnie mi zeszywniały. Chcąc przerwać kłopotliwe milczenie nie potrafiłem wymyślić nic lepszego od uwagi wypowiedzianej lekkim tonem:

— Nie miałem pojęcia, że już tak późno.

— Myślę, że pan ma tego wszystkiego dosyć — rzekł szorstko — a mówiąc szczerze — zaczął się rozglądać za kapeluszem — to i ja także.

Więc odrzucił tę jedyną propozycję. Odrzucił moją pomocną dłoń; był teraz gotów do odejścia, a za balustradą noc zdawała się nań czekać bardzo spokojnie, jakby był przeznaczoną dla niej zdobyczą. Usłyszałem jego głos:

— Aha, jest tutaj. — Znalazł się kapelusz. Wahaliśmy się przez parę sekund.

— Co pan zrobi po, po... — zapytałem bardzo cicho.

— Pójdę sobie pewnie do diabła — mruknął szorstko. W pewnej mierze odzyskałem już panowanie nad sobą i pomyślałem, że będzie najlepiej, jeżeli wezmę to lekko.

— Niech pan pamięta — rzekłem — że chciałbym bardzo jeszcze się z panem widzieć, nim pan odjedzie.

— Nie widzę, co by panu mogło w tym przeszkodzić. Przez tę przeklętą sprawę nie stanę się niewidzialny — rzekł z głęboką goryczą — to szczęście mi nie grozi. — A potem, w chwili gdyśmy się żegnali, uraczył mię co się zowie: zaczął coś bezładnie bąkać, a jego ruchy zdradzały dręczącą niepewność. Boże mu odpuść, a i mnie także! Wbił sobie w szaloną głowę, że może będę robił jakieś trudności z podaniem ręki. Trudno mi jest wyrazić, jakie to wszystko było przykre. Zdaje mi się, że krzyknąłem raptem na niego, tak jak się krzyczy patrząc na człowieka, który lada chwila może spaść ze skały; pamiętam nasze podniesione głosy, grymas uśmiechu na jego twarzy, miazdzący uścisk ręki, nerwowy śmiech. Okropnie niezdarnie się zachowywał. Świeca zagasła trzeszcząc — i wreszcie się to skończyło. Tylko z mroku doszedł mnie głos niby zgłuszony jęk. Oddalił się w końcu. Noc wchłonęła jego postać. Słyszałem szybki zgrzyt żwiru pod jego stopami. Biegł. Dosłownie biegł — i nie wiedział, dokąd się udać. A miał niespełna dwadzieścia cztery lata.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Spałem niewiele, zjadłem z pośpiechem śniadanie i po krótkim namyśle zaniechałem rannej bytności na swoim statku. Było to doprawdy niedbalstwo, bo mój pierwszy oficer, dzielny człowiek pod każdym względem, padał często ofiarą tak czarnych przywidzeń, że jeśli na przykład w oznaczonym czasie nie dostał listu od żony, szalał ze wścieklej zadrzości, wypuszczał z rąk robotę, klócił się ze wszystkimi i albo płakał u siebie w kajucie, albo podlegał takim napadom gwałtowności, iż doprowadzał załogę prawie do buntu. Nigdy nie mogłem zrozumieć tego człowieka; pobrali się przed trzynastu laty; widziałem kiedyś przelotnie jego żonę i mówiąc szczerze, trudno mi było pojąć, jak mógł pograżać się w grzechu z powodu niewierności osoby tak mało pociągającej. Nie wiem, czy dobrze zrobiłem powstrzymując się od powiedzenia biednemu Selwinowi, co o tym myślę: dręczył się jak potępieniec, a i ja cierpiałem przez to pośrednio, ale nie wyraziłem mu swego zdania z powodu pewnego rodzaju delikatności, zapewne fałszywej. Małżeńskie stosunki marynarzy byłyby tematem bardzo interesującym; mógłbym wam zacytować różne przy-

klady... Ale tu nie miejsce ani czas na to, zajmujemy się Jimem, który nie był żonaty. Przeczulone jego sumienie, duma, owe cudaczne zjawy i surowe widma — zgubni towarzysze jego młodości — wszystko to nie pozwalało mu uciec od szafotu; mnie zaś, którego oczywiście nie można podejrzewać o obcowanie z taką jak Jim kompanią, ciągnęło nieodparcie, aby ujrzeć jego toczącą się głowę. Poszedłem więc w stronę sądu. Nie cieszyłem się nadzieją, że doznam wstrząsających wrażeń, że będę szczególnie zbudowany, przejęty lub nawet przestraszony, albowiem porządny strach od czasu do czasu jest zbawienną tresurą dla tych, co mają jeszcze trochę życia przed sobą. Ale nie spodziewałem się także, iż mnie to tak okropnie przygnębi. Gorycz jego kary polegała na jej chłodnej, pospolitej atmosferze. Istotą przestępstwa jest nadużycie ludzkiego zaufania i z tego punktu widzenia Jim był nie tyle jakim przestępcą, ale jego egzekucja okazała się czymś po prostu nędznym. Nie było tam wysokiego rusztowania ani szkarłatnego sukna (czy mieli szkarłatne sukno na Tower Hill? powinni byli je mieć), ani też przejętego grozą tłumu, który by się przeraził jego winy i przejął do łez jego losem; kara, która spadła na Jima, nie wyglądała na ponure zadośćuczynienie. Natomiast gdy szedłem do sądu, błyszcząło słońce, zbyt olśniewające i namiętne, aby koić i uspokajać; ulice pełne były różnokolorowych plam, jak w zepsutym kalejdoskopie, żółtych, zielonych, błękitnych, oślepiająco białych: tu brunatna nagość odkrytego ramienia, tam wóz o czerwonym baldachimie, zaprzężony w bawoły, lub ciemnogłowy oddział krajowej piechoty w zakurzonych butach, maszerujący brunatną kolumną. Policjant-krajowiec, w ciemnym, ciasnym mundurze, przepasany skórzanym pasem, spojrzał na mnie żalnymi, wschodnimi oczami, jakby jego wędrowny duch cierpiał dotkliwie nad swoją nieprzewidzianą, jakże to się nazywa? awatarą³⁷ — wcieleniem. Na dziedzińcu przed sądem siedzieli w cieniu samotnego drzewa wieśniacy wplątani w sprawę o pobicie; tworzyli malowniczą grupę, podobną kubek w kubek do chromolitografii przedstawiającej obozowisko, z książki o podróży na Wschód. Brakowało tylko obowiązkowego słupa dymu na pierwszym planie i pasących się zwierząt jucznych. Za drzewem wznosiła się wyższa od niego naga żółta ściana i odbijała słoneczny blask. Sala sądowa była mroczna i robiła wrażenie obszerniejszej niż zwykle. Wysoko w półcieniu *punkah* kołysały się krótkim ruchem tam i na powrót. Gdzieś gdzie postać zawinięta w zwoje tkanin, zdrobniła wśród wysokich, nagich ścian, tkwiła bez ruchu między rzędami pustych ław, jakby pogrążona w pobożnych rozmyśleniach. Strona powodowa, krajowiec, który został pobity, otyły mężczyzna czekoladowej barwy, o ogolonej głowie, tłustych piersiach obnażonych z jednej strony i jasnożółtym piętne kastowym nad mostkiem nosa, siedział w pompatycznym bezruchu; połyskiwały tylko jego oczy, którymi toczył w mroku, a nozdrza rozdymały mu się gwałtownie przy oddychaniu. Brierly opadł na swoje krzesło; robił wrażenie zmęczonego, jakby spędził całą noc na ściganiu się po drodze wysypanej żużlem. Pobożny szyper żaglowca wydawał się podniecony i poruszał się niespokojnie, rzekłbyś, opanowując z trudnością poryw, aby wstać i wezwać nas żarliwie do modlitwy oraz żalu za grzechy. Twarz sędziego, blada i delikatna pod starannie zaczesanymi włosami, przypominała oblicze beznadziejnie chorego człowieka, którego uczesano, umyto i posadzono na łóżku. Odsunął na bok wazon z pękiem purpurowego kwiecica i paru różowymi kwiatami na długich łądogach, po czym chwycił oburącz długi arkusz niebieskiego papieru, przejrzał go, wsparł się łokciami o brzeg biurka i zaczął czytać głośno równym, wyraźnym, obojętnym tonem.

Jak mi Bóg miły! Bredziłem o szafotach i toczących się głowach, ale zapewniam was, że to było stokroć gorsze od ścięcia. Dotkliwe poczucie nieodwołalności unosiło się nad tym wszystkim, nie złagodzone nadzieją wypoczynku i bezpieczeństwa po ciosie topora. W tym wyroku była zimna mściwość skazania na śmierć i okrucieństwo skazania na wygnanie. Tak się na to zapatrywałem owego ranka — a nawet jeszcze dziś mi się zdaje, że w mym przesadnym ujęciu tego zwykłego zdarzenia było bezwzględnie trochę słuszności. A możecie sobie wystawić, jak głęboko czułem to w owej chwili. Może właśnie dlatego nie mogłem ani rusz uznać nieodwołalności wyroku. Byłem wiecznie zaprzętny tą kwestią, wiecznie spragniony cudzego zdania na ten temat, jakby sprawa nie była już przesądzona w ludzkiej opinii — w międzynarodowej opinii, czego przykładem było właśnie zdanie

³⁷awatar (sansk. *avatara*) — w hinduizmie: wcielenie bóstwa, zjawiającego się na ziemi w postaci śmiertelnej. [przypis edytorski]

owego Francuza; wypowiedział opinię swego narodu w beznamiętnej, ścisłej terminologii, której by użyła maszyna, gdyby maszyny mogły mówić. Twarz sędziego była na wół zasłonięta przez papier; czoło jego wyglądało jak alabaster.

Sąd miał odpowiedzieć na kilka pytań. Po pierwsze: czy statek był pod każdym względem odpowiednio wyekwipowany i gotów do podróży. Sąd uznał, że nie. Następne pytanie, o ile pamiętam, brzmiało: czy aż do chwili wypadku otaczano statek należytą marynarską opieką? Odpowiedzieli na to: tak — Bóg raczy wiedzieć dlaczego — a potem oświadczyli, że niczyje świadectwo nie ustaliło właściwej przyczyny rozbicia. Może „Patna” natknęła się na pływające szczątki jakiegoś statku? Pamiętam, że mniej więcej w tym samym czasie uznano za przepadły norweski bark z ładunkiem dziegciu, a był to właśnie ten rodzaj statku, który mógł się przewrócić wśród szkwału i pływać potem dnem do góry przez całe miesiące — niby morski zły duch czyhający na okręty, aby je mordować w ciemności. Takie wędrujące trupy są dość pospolite na północnym Atlantyku, który bywa nawiedzany przez wszystkie morskie grozy — mgły, góry lodowe, martwe okręty o złych zamiarach i długie ponure burze wpijające się w statek jak wampiry, póki nie wysą z załogi wszystkich sił, odwagi i nawet nadziei, tak że człowiek się czuje jak wyciśnięta cytryna; Ale tam — na tamtych morzach — podobny wypadek był dość rzadki i wyglądał na zrzędzenie złowrogiej opatrności, na jakiś zupełnie bezcelowy szatański kawał — chyba że miało to na celu zabicie trzeciego mechanika i sprowadzenie na Jima czegoś gorszego od śmierci. Te myśli odciągnęły moją uwagę. Przez pewien czas głos sędziego dochodził mnie tylko jak pusty dźwięk, ale naraz ukształtował się w wyraźne słowa i przemówił: „...z pełnym lekceważeniem najprostszych obowiązków...” Następne zdanie uszło mojej uwagi, a potem słuchałem znów: „...opuszczając w chwili niebezpieczeństwa powierzonych im ludzi oraz ich dobytek...” — ciągnął głos jednostajnie i zatrzymał się. Para oczu pod białym czołem strzeliła mrocznym spojrzeniem znad brzegu arkusza. Popatrzyłem szybko na Jima, jakbym się spodziewał, że zniknie. Siedział zupełnie nieruchomo, ale był tam wciąż na swym miejscu, jasnowłosa, różowa i niezmiernie uważny. „Z tego powodu...” — zaczął głos dobitnie. Jim wpatrywał się z rozchylonymi ustami w człowieka za biurkiem, chłonąc jego słowa. Rozlegały się wśród ciszy, niesione na fali powietrza wiejącego od *punkah*, a mnie tak pochłonęło śledzenie wrażeń na twarzy Jima, że wpadały mi w ucho tylko strzępy urzędowego stylu: „...Sąd... Gustaw taki a taki, kapitan... rodem z Niemiec... James taki a taki... oficer... świadectwa skasowane”.

Zapadło milczenie. Sędzia wypuścił z rąk papier i oparłszy się bokiem o poręcz krzesła, zaczął rozmawiać swobodnie z Brierly’em. Ludzie ruszyli ku wyjściu, inni pchali się na salę, a ja także poszedłem ku drzwiom. Przystanąłem na werandzie; gdy mię Jim mijał kierując się ku bramie, chwyciłem go za ramię i zatrzymałem. Rzucił mi spojrzenie, które zmieszało mię, jakbym był za jego los odpowiedzialny; popatrzył na mnie niby na wcielone zło życia.

— Już po wszystkim — bąknąłem.

— Tak — odrzekł niewyraźnie. — A teraz niech nikt... — wyszarpnął mi ramię. Patrzyłem za nim, gdy odchodził. Ulica była długa i przez pewien czas nie traciłem go z oczu. Szedł raczej pomału, rozstawiając nogi dosyć szeroko, jakby mu było trudno utrzymać się na prostej linii. Chwilę przedtem, zanim mi znikł z oczu, wydało mi się, że zachwiał się z lekka.

— Człowiek za burta! — rzekł za mną głęboki głos. Odwróciwszy się zobaczyłem pewnego marynarza, którego znałem bardzo mało, zachodniego Australijczyka nazwiskiem Chester. On także patrzył za Jimem. Chester miał niebywale rozwiniętą klatkę piersiową, chropowatą, wygoloną twarz barwy mahoni i dwie przystrzyżone kępki włosów siwych jak stal, gęstych i szczecinowatych. Zajmował się połowianiem pereł, przewożeniem ładunku z rozbitych statków, handlem, połowaniem na wieloryby, jak mi się zdaje — w ogóle, wedle jego własnych słów, uprawiał na morzu wszystkie możliwe zajęcia prócz korsarstwa. Ocean Spokojny, od północy aż na południe, był jego myśliwskim terenem, ale tym razem zawędrował aż tak daleko od zwykłych szlaków, poszukując jakiegoś taniego parowca na sprzedaż. Odkrył niedawno — jak mi mówił — wyspę z pokładami guana, lecz dojazd do niej był niebezpieczny, a grunt kotwiczny co najmniej niepewny.

— To po prostu kopalnia złota! — wykrzyknął. — W samym środku raf Walpole’a; prawda, że nigdzie naokoło nie można rzucić kotwicy płycej niż na czterdzieści sążni, ale co z tego? Jeszcze i huragany panują tam w dodatku. Cóż to za interes, palce lizać.

Prawdziwa żyła złota, co tam, lepsze to od żyły złota! A jednak żaden z tych durniów nie chce na to patrzeć. Nie mogę namówić ani jednego szypra czy armatora, żeby to obejrzał. No, więc postanowiłem, że sam będę zwoził ten, psiakrew, towar...

Na to właśnie był mu potrzebny parowiec; wiedziałem, że targował się zawzięcie z jakąś parsyjską³⁸ firmą o stary bryg, morski zabytek muzealny o sile dziewięćdziesięciu koni. Spotkaliśmy się i gawędziliśmy kilka razy. Patrzył doświadczonego okiem na Jima.

— Wziął to do serca? — spytał pogardliwie.

— Jeszcze jak! — odrzekłem.

— No, to nic nie jest wart — zawyrokował. — I o co tyle krzyku? O ten kawałek ośle skóry? Kariera człowieka nie zależy od jakiegoś tam świadectwa. Trzeba patrzeć jasno na rzeczy — a jeżeli się tego nie potrafi, to lepiej od razu się poddać: bo i tak nigdy na tym świecie nie dojdzie się do niczego. Niech pan spojrzy na mnie. Wziąłem sobie za zasadę nigdy nic nie brać do serca.

— Tak — rzekłem — pan to patrzy jasno na rzeczy.

— A teraz chciałbym wypatrzeć mego współnika — widzieć, że już nadchodzi. Czy pan go zna? To stary Robinson. Tak; *ten* Robinson. Czyżby pan nie wiedział? Oslawiony Robinson. Człowiek, który swego czasu przemycił więcej opium i upolował więcej fok niż ktokolwiek z żyjących marynarzy. Mówiono o nim, że napadał szkunery łowiące foki w okolicy Alaski podczas tak gęstej mgły, że tylko sam Pan Bóg mógł jednego człowieka od drugiego odróżnić. Robinson Święty Postrach. To ten właśnie. Robi ze mną w tym interesie z guanem. Najkorzystniejszy z interesów, jakie mu się trafiły w życiu. — Zbliżył usta do mego ucha. — Ludożerca? Cóż, przezywali go tak przed wielu laty. Pamięta pan tę historię? Rozbił się statek na zachód od wyspy Stewart... tak, dobrze mówię; siedmiu ludzi dostało się na brzeg i zdaje się, że coś nie bardzo się z sobą zgadzali. Niektórzy bywają tacy kłótlivi; jak wpadną w tarapaty, nie potrafią ani rusz zachować się odpowiednio, nie patrzą na rzeczy bez uprzedzeń, mój chłopcze! No i co im z tego? Oczywiście, że mają kłopoty, same kłopoty; obrywają po łbie, i dobrze im tak. Z takich kpów to największy jest pożytek, kiedy wyciągną kopyta. Chodzą gadki, że łódź okrętu Jej Królewskiej Mości „Wolverine” znalazła Robinsona klęczącego na brzegu, jak go Pan Bóg stworzył; wyśpiwywał jakiś psalm czy coś w tym rodzaju, a właśnie lekki śnieg padał. Robinson nie ruszył się, póki łódź nie podpłynęła na długość wiosła od brzegu, wtedy dopiero zerwał się i w nogi. Polowali na niego po skałach w górę i na dół, wreszcie jeden z majtków rzucił kamieniem, który dosięgnął go szczęśliwie za uchem i zwałił z nóg bez przytomności. Czy był sam na tej wyspie? Oczywiście. Ale z tym jest tak samo jak z owymi pogłoskami o szkunerach łowiących foki: jeden Pan Bóg wie, jak się tam odbyło. Na kutrze nie bawiono się tak dalece w badania. Zawinęli go w pokrowiec od łodzi i odbili jak najprędzej, bo zbliżała się ciemna noc, pogoda była groźna, a statek nawoływał ich wystrzałami z działa co pięć minut. W trzy tygodnie później Robinson miał się jak najlepiej. Krzyk, co się podniósł naokoło tej sprawy po jego powrocie, nie wzruszył go ani trochę; zaciął zęby i pozwolił ludziom gadać. I tak dosyć miał trosk; stracił swój statek i wszystko, co posiadał, toteż nie zwracał uwagi na obelgi. Taki człowiek to mi odpowiada. — Podniósł rękę i kiwnął na kogoś znajdującego się u końca ulicy. — Ma tam trochę pieniędzy, toteż musiałem go przypuścić do spółki. Musiałem! Byłoby grzechem nie skorzystać z takiej okazji, a sam byłem do cna splukany. Bardzo mi się nie chciało, ale cóż, patrzę jasno na rzeczy, i pomyślałem sobie: jeśli już muszę z kimś się dzielić, to niechże to będzie Robinson. Zostawiłem go w hotelu przy śniadaniu i poszedłem do sądu, bo mi zaświtała pewna myśl... A dzień dobry, panie kapitanie. Mój przyjaciel... kapitan Robinson.

Wychudły patriarcha o trzęsącej się ze starości głowie, w ubraniu z białej dymki i kasku z rondem podbitym zieloną podszewką, zbliżył się do nas drepcząc i suwając nogami. Stał, wsparty oburącz na rękojeści parasola. Biała broda o bursztynowych smugach zwisała mu się w kłakach aż po pas. Mrugał pomarszczonymi powiekami, patrząc na mnie w oszołomieniu.

— Witam pana, witam — pisnął uprzejmie i zachwiał się na nogach.

³⁸parsyjski — przym. od *Pars*: członek grupy etnicznej wywodzącej się od wyznających zaratusztrianizm staroż. Persów, którzy w ucieczce przed muzułmańskimi prześladowaniami w VIII–X wieku osiedlili się w Indiach; w XIX w. Parsowie stali się pośrednikami w handlu przy Kompanii Wschodnioindyjskiej. [przypis edytorski]

— Trochę jest głuchy — rzekł Chester na stronie.

— Więc pan włókł go za sobą sześć tysięcy mil, żeby kupić tanio parowiec? — zapytałem.

— Na moje kiwnięcie palcem objechałby dwa razy cały świat dookoła — rzekł Chester z wielką energią. — Ten parowiec postawi nas na nogi, mój chłopcze. Czy to moja wina, że wszyscy szyprowie i właściciele statków z całej Australazji okazali się skończonymi durniami? Raz to gadałem przez trzy godziny do jednego człowieka w Auckland. „Wyślij pan statek — mówię do niego — wyślijże statek. Dostaniesz pan pół pierwszego ładunku gratis, za darmo, byle tylko zrobić dobry początek”. A on mi na to: „Nie zrobiłbym tego, nawet gdyby to było jedyne miejsce na świecie, dokąd można statek posłać”. Skończony osioł, naturalnie. I gada dalej, że tam naokoło rafy, prądy, kotwowiska ani śladu, chyba czepiać się gołych skał, że żadne towarzystwo ubezpieczeń nie chciałoby wziąć na siebie takiego ryzyka; że nie widzi sposobu, aby załadować statek prędzej niż za trzy lata. Osioł! O mało co nie padłem przed nim na kolana. „Ależ patrz pan jasno na rzeczy — mówię. — Pal sześć skały i huragany. Spójrz pan na to bez uprzedzeń. Przecież tam jest guano, plantatorzy trzciny cukrowej z Queenslandu będą bili się o nie, będą bili się o nie na bulwarze!” Ale cóż głupiemu po rozumie? „To jeden z tych pańskich kawałów, Chester” — mówi do mnie. Ładny kawał! Ledwie się nie popłakałem. Niech pan spyta kapitana Robinsona... A drugi armator, w Wellington, opasły chłop w białej kamizelce, myślał widocznie, że knuję jakieś oszustwo. „Szukaj pan sobie innego durnia — mówi — bo ja jestem na razie zajęty. Do widzenia”. Straszna miałem ochotę wziąć go obiema rękami i wyrzucić przez okno jego własnego biura. Nie zrobiłem tego. Byłem łagodny jak baranek. „Niech pan nad tym pomyśli — mówię. — Niech pan doprawdy nad tym pomyśli. Jutro pana odwiedzę”. Mruknął coś, że „cały dzień nie będzie go w domu”. Na schodach o mały włos nie zacząłem walić głową o mur ze złości. Niechże kapitan Robinson poświadczy. Okropnie było myśleć o tym cudownym towarze marnującym się w słońcu, od tego trzcina cukrowa strzeliłaby pod same niebiosy. Cóż to za przyszłość dla Queenslandu! A w Brisbane, dokąd pojechałem, żeby spróbować po raz ostatni, zrobili ze mnie wariata. Idioci! Jedyne rozsądny człowiek, na którego się natknąłem, to dorożkarz, co mię obwoził. Zdaje się, że to był jakiś podupadły szykowniś, słyszy pan, kapitanie Robinson? Pamięta pan, co panu opowiadałem o moim dorożkarzu w Brisbane, co? Ten chłop to miał nadzwyczajne oko. W mig wszystko przeniknął. Rozkosz była z nim gadać. Raz wieczorem, po piekielnym dniu wśród tych armatorów, tak się źle czulem, że mówię do niego: „Muszę się upić. Chodź pan ze mną; muszę się upić, bo oszaleję”. „Jestem na pańskie rozkazy — mówi — sypmy”. Nie wiem, co bym był bez niego, zrobił. Słyszysz pan! Kapitanie Robinson!

Uderzył kulakiem w żebro swego współnika.

— Hi, hi, hi! — zaśmiał się staruch patrząc bezmyślnie wzdłuż ulicy, a potem spojrzął na mnie niepewnie smutnymi, mętnymi źrenicami. — Hi, hi, hi!

Wsparł się mocniej na parasolu i utkwił wzrok w ziemi. Nie potrzebuję wam mówić, że próbowałem odejść kilka razy, ale Chester udaremniał każdy mój wysiłek, chwytając mnie po prostu za marynarkę.

— Zaraz, zaraz. Przyszedł mi jeden pomysł.

— Cóż to za pomysł, u licha! — wybuchnąłem w końcu. — Jeśli pan myśli, że wejść z panem w spółkę...

— Nie, nie, mój chłopcze, za późno, choćby pan nie wiem jak tego pragnął. Parowiec już mamy.

— Macie widmo parowca — rzekłem.

— Wystarczy nam na początek — głowy sobie tym zawracać nie będziemy. Prawda, kapitanie Robinson?

— Tak, tak, tak — zakrakał stary grzyb nie podnosząc oczu, przy czym głowa zaczęła mu latać gwałtownie od tej determinacji.

— Pan chyba zna tego młodzika — rzekł Chester wskazując głową na ulicę, z której Jim znikł już od dawna. — Jedliście wczoraj razem obiad w hotelu „Malabar”, jak mi mówiono.

Powiedziałem, że to jest prawda. Chester rzekł na to, iż lubi także żyć wygodnie i na odpowiedniej stopie, ale na razie musi się liczyć z każdym penssem. „Potrzebuję ich jak

najwięcej na ten interes! Co, kapitanie Robinson?” Wysunął pierś i poglądził krótkie, gęste wąsy, a osławiony Robinson, pokaszlując u jego boku, trzymał się coraz mocniej rączki parasola, przy czym zdawało się, że lada chwila biernie opadnie na ziemię i przemieni się w kupę starych kości.

— Rozumie pan, stary ma pieniądze w garści — szepnął poufnie Chester — — Ja splukałem się do cna, usiłując puścić w ruch ten, psiakrew, interes. Ale poczekajmy trochę... Nadchodzą lepsze czasy. — Naraz wydał się zdumiony oznakami mej niecierpliwości. — Ee, cóż u Pana Boga — zawołał — ja panu opowiadam o najwspanialszym interesie, jaki sobie można wyobrazić, a pan...

— Umówiłem się z kimś — tłumaczyłem łagodnie.

— I cóż z tego? — zapytał ze szczerym zdumieniem — poczekają na pana.

— W tej chwili to ja właśnie czekam — zauważyłem. — Zechce mi pan powiedzieć, czego pan sobie życzy?

— Kupię dwadzieścia hoteli takich jak ten — mruknął pod nosem — i wszystkich tych błaznów, co się tam żywią... Więcej niż dwadzieścia! — Podniósł szybko głowę. — Ten chłopiec mi jest potrzebny.

— Nie rozumiem pana — odrzekłem.

— On już jest do niczego, co? — rzucił mi szorstko.

— Nie wiem, o co panu chodzi — oświadczyłem.

— Jakże, przecież pan mi sam mówił, że on tę sprawę wziął tak do serca — dowodził Chester. — Otóż według mnie, człowiek, który... Tak czy owak, co on tam może być wart; ale widzi pan, ja szukam teraz kogoś dla siebie i właśnie mam na myśli coś, co mu będzie odpowiadało. Dam mu zajęcie na mojej wyspie. — Pokiwał znacząco głową. — Osadzę tam czterdziestu kulisów — choćby ich miał ukraść. Ktoś musi przecież robić w tym interesie. O, ja chcę to postawić uczciwie: drewniana szopa, dach z falistej blachy — znam jednego człowieka w Hobart, który mi dostarczy materiałów na wymiar sześciomiesięczny. Mówię panu, że znam takiego. Słowo honoru. Potem trzeba się będzie postarać o zapas wody. Muszę się pokręcić i kogoś wystraszyć, żeby mi dostarczył okazjnie pół tuzina żelaznych zbiorników na kredyt. Będziemy łapać deszczową wodę, co? Niechże się ten chłopiec zajmie tym wszystkim. Zrobię go szefem kulisów. Dobra myśl, prawda? Co pan na to?

— Bywają lata, kiedy kropla deszczu nie spada na rąfy Walpole’a — rzekłem, zbyt zaskoczony, aby się roześmiać. Zagryzł wargi z zakłopotaniem.

— No, już ja tam coś dla nich urządzę albo też sprowadzę zapas wody. Do diabła z tym! Nie o to tu chodzi.

Nic nie odrzekłem. W błyskawicznej wizji ujrzałem Jima stojącego po kolana w guanie na skale pozbawionej cienia, z uszami pełnymi krzyku morskich ptaków, z rozpaloną kulą słońca nad głową; naokoło jak okiem sięgnąć puste niebo i pusty ocean, rozdygotane, smażące się w upale.

— Nie radziłbym najgorszemu wrogowi... — zacząłem.

— Co pana ugryzło? — zawołał Chester. — Chcę mu dać porządne wynagrodzenie, naturalnie, jak już interes będzie w ruchu. To żadna filozofia. Nic nie będzie miał do roboty; dwa sześciostrażalowce za pasem... Przecież nie będzie się bał jakiegoś kawału ze strony czterdziestu kulisów mając dwanaście strzałów na podorędziu i będąc jedynym uzbrojonym człowiekiem. Z daleka wygląda to znacznie gorzej. Chcę, żeby pan mi pomógł go namówić.

— Ani myślę! — krzyknąłem. Stary Robinson podniósł na chwilę ponure, mętne oczy, Chester zaś spojrział na mnie z nieskończoną pogardą.

— A więc pan mu tego doradzać nie będzie? — wyrzekł z wolna.

— Naturalnie, że nie! — odpowiedziałem z oburzeniem, jakby żądał, abym mu pomógł kogoś zamordować. — Przy tym jestem pewien, żeby się nie zgodził. Wprawdzie znajduje się w ciężkim położeniu, ale o ile wiem, nie ma bzika.

— On już jest absolutnie do niczego — rozmyślał głośno Chester — a mnie by świetnie odpowiadał. Gdyby pan umiał patrzeć jasno na rzeczy, zrozumiałby łatwo, że to jest właśnie to, czego mu trzeba. A w dodatku... Jakże! Przecież to jest najwspanialsza sposobność, pewna jak mur. — Nagle się rozgniewał. — Ja muszę mieć kogoś. Rozumie pan? — Tupnął nogą i uśmiechnął się nieprzyjemnie. — W każdym razie mógłbym mu

zaręczyć, że wyspa pod nim nie zatonie. A zdaje się, że on na tym punkcie jest trochę przeczulony.

— Do widzenia — rzekłem krótko. Chester spojrział na mnie jak na beznadziejnego durnia.

— Czas już na nas, panie kapitanie — wrzasnął nagle w ucho staremu. — Ci parsyjscy marynarze czekają na nas, żeby dobić targu. — Wziął mocno współnika pod ramię, obrócił nim i nagle zerknął w bok na mnie. — Chciałem mu wyświadczyć przysługę — wyrzekł z taką miną i takim tonem, że krew we mnie zawrzała.

— Dziękuję panu za tę przysługę w jego imieniu — odrzekłem.

— Jest pan diabło cięty — zadrwił — a poza tym taki sam jak wszyscy inni. Bujanie w obłokach. Zobaczmy, co *pan* potrafi dla niego zrobić.

— Nie twierdzą wcale, że chcę dla niego coś zrobić.

— Ach tak? — wykrztusił; jego siwe wąsy zjeżyły się z gniewu, obok niego zaś sławetny Robinson, wsparty na parasolu, stał tyłem do mnie, cierpliwy i nieruchomy jak stara szkapa dorożkarska.

— Ja wyspy z guanem nie znalazłem — rzekłem.

— Jestem pewien, że pan by jej nie dostrzegł, nawet gdyby pana za rękę wziąć i do niej przyprowadzić — odciął się szybko — a na tym świecie trzeba mieć dobry wzrok i nie tylko widzieć, ale na wskroś przejrzyć to, z czego później będzie się miało pożytek.

— I dobrać sobie takich, co wszystko potrafią dostrzec — wtrąciłem spoglądając na pochylone plecy u boku Chestera. Żachnął się na mnie.

— Oczy Robinsona są w porządku, niech pana o to głowa nie boli. To nie jest smarkacz.

— O, na pewno nie! — odrzekłem.

— Chodźmy, kapitanie — krzyknął Chester staremu pod rondo hełmu z pewnego rodzaju brutalnym szacunkiem; w odpowiedzi na to Święty Postrach wykonał potulnie coś na kształt podrygu. Cekał na nich parowiec-widmo i skarby Golkondy³⁹ na tej pięknej wyspie! Ciekawa z nich była para Argonautów. Chester szedł swobodnie, dobrze zbudowany, tęgi, z miną zwycięską; tamten zaś, długi, wychudzony, obwisły, trzymał się kurczowo jego ramienia, suwając wyschniętymi nogami z rozpaczliwym pośpiechem.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Nie zabrałem się zaraz do szukania Jima tylko dlatego, że musiałem się rzeczywiście z kimś spotkać. Pech zrzucił, iż w biurze mego agenta przygwoździł mi pewien człowiek, który przybył dopiero co z Madagaskaru i rozpowiadał o projekcie bajecznego interesu. Miało to coś wspólnego z bydłem, nabojami i niejakim księciem Ravonalo, ale osiłą całej historii była głupota jakiegoś admirała — nazwiskiem Pierre, zdaje mi się. Wszystko się koło tego obracało i facet nie mógł znaleźć słów dość silnych na wyrażenie swej wiary w świetność owego interesu. Miał okrągłe wylupiające oczy o rybim połysku, czoło całe w guzach i nosił długie włosy zaczesane w tył bez przedziału. Powtarzał wciąż tryumfująco ulubione swoje zdanie: „Minimum ryzyka przy maksimum korzyści — oto moje hasło. I co pan na to?” Przyprawił mię o ból głowy, zepsuł mi śniadanie, ale wydobył ze mnie wszystko, o co mu chodziło. Kiedy mu się wreszcie wyrwałem, poszedłem wprost na wybrzeże. Ujrzałem Jima wspartego o parapet bulwaru. Trzech wioślarzy krajowców kłóciło się tuż pod jego bokiem o pięć annów⁴⁰, hałasując okropnie. Nie słyszał, jak nadchodziłem, ale pod lekkim dotknięciem mego palca odwrócił się błyskawicznie, jakbym nacisnął w nim jakąś sprężynę.

— Tak sobie patrzę — wyjąkał.

Nie pamiętam już, co powiedziałem, w każdym razie nic ważnego, ale bez trudności dał się zaprowadzić do hotelu.

Szedł za mną, powolny jak małe dziecko, posłusznie i z prostotą; rzekłbyś, że czekał tam właśnie, abym przyszedł po niego. Ta jego potulność nie powinna była mnie zasko-

³⁹ *Golkonda* — twierdza w pld.-śr. Indiach, położona w pobliżu kopalni diamentów; w XVI w. stolica państwa noszącego tę samą nazwę; w XVI–XVII w. kwitnący ośrodek handlu diamentami i biżuterią; zyskała legendarną sławę królestwa niezmiernych bogactw i skarbów. [przypis edytorski]

⁴⁰ *ann* — właśc.: *anna*, drobna moneta miedziana używana w czasach kolonialnych w Indiach i Pakistanie, równa 1/16 rupii. [przypis edytorski]

czyć. Na całej kuli ziemskiej, która jednym wydaje się tak wielka, podczas gdy drudzy skłonni są uważać ją za mniejszą od ziarenka gorczycy, na całej kuli ziemskiej nie miał miejsca, dokąd by mógł — jakże, to powiedzieć? — dokąd by mógł się schronić. Otóż to właśnie! schronić się, zostać sam na sam ze swoją samotnością. Szedł obok mnie bardzo spokojnie, spoglądając tu i ówdzie, raz nawet odwrócił głowę, aby spojrzeć za strażakiem krajowcem ubranym w żakiet i żółtawe spodnie; czarna twarz tego człowieka miała jedwabne połyski jak złom antracytu. Wątpię jednak, aby Jim widział cokolwiek lub nawet zdawał sobie wciąż sprawę z mej obecności, bo gdybym go nie pchnął tu na prawo, a tam znów nie pociągnął na lewo, sądzę, że byłby szedł prosto przed siebie w jakimkolwiek kierunku, póki by się nie natknął na ścianę lub jaką inną przeszkodę.

Przyprowadziłem go do swego pokoju i zabrałem się natychmiast do pisania listów. Było to jedyne miejsce na świecie (wyjąwszy może rafy Walpole'a, ale tej nie było pod ręką), gdzie Jim mógł rozprawić się z sobą bez żadnych przeszkód ze strony pozostałego świata. Owa przekłeta historia — jak o niej mówił — nie uczyniła go niewidzialnym, ale zachowywałem się zupełnie tak, jakbym go wcale nie dostrzegł. Ledwie się znalazłem na krześle, pochyliłem się nad biurkiem niby średniowieczny skryba i pisałem siedząc nieporuszenie, pełen niepokoju. Nie mogę powiedzieć, abym się czuł zatrwożony, ale naprawdę zachowywałem się tak, jakby w pokoju znajdował się jakiś stwór niebezpieczny, którego najłżejszy mój ruch mógł pobudzić do skoku. Niewiele tam było sprzętów — wiecie, jak wyglądają te sypialnie: łóżko o czterech słupach z siatką od moskitów, dwa lub trzy krzesła, stół, przy którym pisałem, goła podłoga. Szklane drzwi wychodziły na werandę pierwszego piętra; Jim stał zwrócony do nich twarzą i cierpiał w jak największym odosobnieniu. Zapadał zmierzch; zapaliłem świecę powściągliwymi ruchami i z taką ostrożnością, jakby to była rzecz zakazana. Nie wątpię, iż przeżywał bardzo ciężkie chwile, ja także, i to do tego stopnia, że — muszę się przyznać — posyłałem go do wszystkich diabłów, a co najmniej na rafy Walpole'a. Parę razy przyszło mi na myśl, że jednak Chester jest może naprawdę człowiekiem odpowiednim do zaradzenia skutecznie takiemu nieszczęściu. Ten szczególny idealista znalazł od razu praktyczne wyjście z położenia, jakby wiedziony niezawodnym instynktem. Na tej podstawie można było przypuszczać, że umie istotnie przenikać sprawy, które wydają się tajemnicze lub zupełnie beznadziejne ludziom o mniej bujnej wyobraźni. Pisałem i pisałem; załatwiłem całą swoją zaległą korespondencję, a potem zacząłem pisać do ludzi, którzy nie mieli żadnego powodu oczekiwać ode mnie plotkarskiego listu o niczym. Od czasu do czasu rzucałem spod oka ukradkowe spojrzenie. Jim stał przykuty do miejsca, lecz plecy mu drgały jakby wstrząsane dreszczem; barki jego podnosiły się raptownie. Zmagał się z sobą i zmagił, jakby usiłując schwytać oddech. Masywne cienie, które prosty płomień świecy rzucał w jedną stronę, zdawały się posiadać jakąś ponurą świadomość; meble w swym bezruchu, rzekłbyś, nasłuchiwały, gdy zerkalem w bok po kryjomy. Zaczęło mi się coś przywidywać podczas tego pracowitego gryzmolenia; gdy szelest pióra na chwilę ustawał, zupełna cisza zapadała w pokoju, a mimo to czułem ów głęboki niepokój i zamęt w głowie, który jest zazwyczaj wynikiem gwałtownego i groźnego hałasu, na przykład podczas wielkiej burzy na morzu. Niektórzy z was rozumieją może, co mam na myśli, ową mieszaninę troski, strapienia i irytacji, do której przylączy się osobliwy rodzaj tchórzostwa, uczucie niezbyt przyjemne, lecz nadające szczególną wartość ludzkiej wytrzymałości. Nie uważam tego za żadną zasługę, że wytrzymałem napięcie wzruszeń Jima; znalazłem ucieczkę w listach: byłbym pisał do ludzi zupełnie mi obcych, gdyby zaszła tego potrzeba. Nagle, w chwili gdy sięgnąłem po świeży arkusz papieru, usłyszałem głuchy dźwięk, pierwszy, jaki doszedł mych uszu od czasu, gdyśmy się razem zamknęli w półmroku i ciszy. Zamarłem z głową spuszczoną i wyciągniętym ramieniem. Ci, którym zdarzało się czuć u łoża chorego, znają takie słabe odgłosy wyrwywające się wśród nocnego spokoju udręczonemu ciału lub znużonej duszy. Nagle Jim pchnął szklane drzwi z taką siłą, że wszystkie szyby zadźwięczały, i wyszedł na balkon; wstrzymałem oddech, wyczytyłem słuch, nie wiedząc, czego się właściwie spodziewam. Ten chłopiec doprawdy zbyt się przejął tą pustą formalnością, którą surowy krytycyzm Chestera uważał za niegodną uwagi człowieka patrzącego jasno na rzeczy. Pusta formalność; kawałek pergaminu. Nic więcej. Co się zaś tyczy niedostępnych pokładów guana, sprawa była tak oczywistej wagi, iż jasne jest, że mogłaby człowieka przyprowadzić o atak serca.

Słaby rozgwar głosów zmieszanych z brzękiem srebra i szkła przy płynął z sali jadalnej na dole; przez otwarte drzwi nagle światło padające od świecy sięgało pleców Jima, dalej zaś wszystko było czarne; stał na krawędzi rozległej ciemności jak samotna postać na wybrzeżu ponurego i beznadziejnego oceanu. Z pewnością znajdowały się tam i rafa Walpole'a, płamka w ciemnej pustce, słomka dla tonącego. Moje współczucie dla Jima wyraziło się w myśli, że nie chciałbym, aby kto z jego bliskich widział go w owej chwili. Nawet mnie było ciężko patrzeć na niego. Konwulsyjny oddech nie wstrząsał już jego plecami; stał, prosty jak strzała, ledwie widzialny i nieruchomy; a znaczenie tego bezruchu opadło na dno mej duszy jak olów w wodę i zaciężyło mi tak dotkliwie, że na chwilę zapragnąłem z całego serca, aby mi pozostało tylko jedno wyjście: zapłacić za pogrzeb Jima. Prawo już się z nim załatwiło. Pogrzebanie go byłoby tak łatwą przysługą! Zgadzałoby się z mądrością życia, która usuwa z widoku wszystko to, co przypomina nam nasze szaleństwa, naszą niemoc, naszą śmiertelność, wszystko, co osłabia w nas sprawność: pamięć o niepowodzeniach, uczucie wiecznej trwogi, ciała zmarłych przyjaciół. Może istotnie Jim brał to zanadto do serca. A w takim razie propozycja Chestera...

Tu sięgnąłem po nowy arkusz i zacząłem pisać z determinacją. Tylko ja jeden zarządzałem Jimowi drogę wiodącą ku czeluściom oceanu. Czulem się za niego odpowiedzialny. Czy ten udręczony chłopiec, stojący tam bez ruchu, skoczy w mrok i uchwyci się słomki, jeśli do niego przemówię? Przekonałem się wówczas, jak trudno jest czasem wydobyć z siebie głos. Dziwną moc posiada wypowiedziane słowo. Nie przestając pisać myślałem w kółko uparcie: dlaczegoż by, u diabła, nie miało się to udać? Nagle pod końcem pióra, na pustej karcie, zaczęły się pojawiać dwie postacie: Chestera i jego zgrzybiałego współnika. Bardzo wyraźne i dokładne w zarysie, ukazały się przede mną w ruchu, jakby objęte polem widzenia jakiejś optycznej zabawki. Śledziłem je przez chwilę. Nie! Były zbyt mgliste i cudaczne, aby mogły zaważyć na czyimś losie. Słowo ludzkie sięga daleko, bardzo daleko; rzucone w przestrzeń, przenika czas i tak jak pocisk sieje zniszczenie. Nie powiedziałem nic; a Jim stał tam na werandzie tyłem do światła, w milczeniu i bezruchu, jakby wszyscy niewidzialni wrogowie człowieka spętali go i zakneblowali mu usta.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Zbliżał się czas, kiedy miałem go ujrzeć otoczonego miłością, zaufaniem, podziwem, kiedy legenda siły i męstwa tworzyła się koło jego imienia, jakby w nim był materiał na bohatera. Zapewniam was, że to prawda, taka sama jak to, że tu siedzę i rozprawiam o nim bez celu. Jim posiadał łatwość wywoływania wizji swych pragnień i snów, a bez tego talentu nie byłoby na ziemi ani kochanków, ani miłośników przygód. Zdobył w puszczy wielką sławę i arkadyjską szczęśliwość (nie mówię nic o niewinności), a było to dla niego tym, czym jest dla innego człowieka sława i arkadyjska szczęśliwość wśród gwarynych ulic. Szczęście, szczęście... jakby to powiedzieć... pijemy je ze złotej czaszy pod wszelką szerokością geograficzną, ale jego smak jest naszą sprawą — wyłącznie naszą; i stopień upojenia, którym nas obdarza, zależy jedynie od nas. Jim był z gatunku ludzi, którzy wychylają czarę do dna, co sami możecie wywnioskować.

Zastałem go może nie dosłownie upojonego, lecz w każdym razie podnieconego cudownym napojem. Nie zdobył go od razu. Jak wiecie, przeszedł przez okres próby wśród owych piekielnych dostawców okrętowych; wycierpiał wiele w tym czasie, a ja się martwiłem... o... o — powiedzmy, zaufanie, jakie w nim pokładałem. Nie powiem, abym i teraz był o niego zupełnie spokojny po ujzeniu go w chwale i pełnym blasku. Takim mi się ukazał, kiedy go widziałem po raz ostatni; panował nad otoczeniem, a przy tym był w najzupełniejszej harmonii z życiem lasów i z życiem ludzi. Wyznaję, że zrobiło to na mnie wrażenie, ale muszę dodać, iż w gruncie rzeczy nie jest to moje najtrwalsze o nim wspomnienie. Strzegła go wówczas jego samotność, był tam jedyny ze swego, z wyższego ludzkiego gatunku i pozostawał w ścisłym związku z Przyrodą, która dochowuje swym kochankom wierności na tak łatwych warunkach. Lecz nie umiem ustalić sobie w oczach obrazu jego bezpieczeństwa. Będę zawsze Jima pamiętał tak, jak go widziałem przez otwarte drzwi na werandzie, przejętego może zbyt głęboko skutkami swego błędu. Cieszę się, naturalnie, że z powodu mych starań pewna pomyślność, a nawet chwała

stały się jego udziałem; ale mam niekiedy wrażenie, że dla spokoju mej duszy byłoby lepiej, gdybym nie stanął między nim a przeklętą hojnością Chestera. Ciekaw jestem, co bujna wyobraźnia Jima byłaby zrobiła z wysepki Walpole'a — tej beznadziejnie straconej okruszyny łądu na obliczu wód. Prawdopodobnie nie byłbym mógł nigdy ciekawości swej zaspokoić, bo muszę wam powiedzieć, że Chester, zatrzymawszy się w jakimś porcie australijskim, aby połączyć swój morski zabytek, wyruszył na Pacyfik z załogą liczącą zaledwie dwudziestu dwóch ludzi, i jedyną wiadomością, jaka mogła zaważyć na tajemniczym jego losie, była wiadomość o huraganie, który zawadził prawdopodobnie o rafi Walpole'a w miesiąc lub dwa po wyruszeniu wyprawy. Nie zostało najmniejszego śladu po Argonautach, żadne echo nie doszło z morskiego pustkowie. *Finis!*⁴¹ Pacyfik jest najdyskretniejszy z żywych, gwałtownych oceanów; zimny Antarktyk umie także dochować tajemnicy, ale raczej na modłę grobu.

W takiej dyskrekcji leży poczucie błogosławionego kresu i wszyscy godzimy się na to, że tak jest, mniej lub więcej szczerze, bo przecież to właśnie czyni nam znośną myśl o śmierci. Koniec! *Finis!* Potężne słowo, egzorcyzm, który wypędza z domu życia, nawiedzające nas widmo losu. Tego mi właśnie brak mimo świadectwa własnych oczu i gorliwych zapewnień Jima, gdy rozpamiętuję jego powodzenie. Zapewne, tam gdzie jest życie, jest też nadzieja, lecz i niepokój zarazem. Nie chcę przez to powiedzieć, że żałuję swego postępku albo że pamięć o nim nie daje mi spać po nocach; a jednak narzuca mi się refleksja, iż Jim przejął się tak bardzo swą hańbą, kiedy przecież tylko wina ma znaczenie. Nie był dla mnie wcale przejrzysty, że się tak wyrażę. A podejrzewam, że sam dla siebie także przejrzysty nie był. Dostrzegałem w nim szlachetną wrażliwość, szlachetne uczucia, szlachetne tęsknoty, coś w rodzaju wysubtelnionego, podniosłego samolubstwa. Był — pozwólcie mi się tak wyrazić — bardzo szlachetny i bardzo nieszczęśliwy. Nieco pospolitsza natura nie byłaby wytrzymała tej próby; byłaby musiała się z sobą pogodzić z westchnieniem, z mruknięciem lub nawet z wybuchem śmiechu; a jeszcze pospolitszy człowiek pozostałby nietknięty skutkiem swojej tępoty i wcale by nas nie interesował.

Ale Jim był zbyt zajmujący lub zbyt nieszczęśliwy, aby go rzucić na pożarcie psom lub choćby Chesterowi. Czulem to siedząc z głową pochyloną nad papierem, podczas gdy zmagał się z sobą tam, w moim pokoju, i dyszał walcząc ukradkiem o oddech z okropnym wysiłkiem; czulem to, gdy wybiegł na werandę, jakby się chciał z niej rzucić, czego jednak nie zrobił: i czulem to coraz wyraźniej przez cały czas, kiedy stał tam na tle ciemności, oświetlony słabym blaskiem świecy, niby na brzegu mrocznego i beznadziejnego morza.

Rozległ się nagły, głośny loskot; podniosłem głowę. Grom potoczył się dalej, gdy raptem badawcze, gwałtowne światło padło na ślepe oblicze nocy. Przeciągłe i olśniewające migotanie zdawało się trwać w nieskończoność. Warkot grzmotu wzmagął się stale, a ja patrzyłem na Jima, który stał niewzruszenie na brzegu morza jasności, wyraźny i czarny. W chwili gdy blask rozjarzył się najjaskrawiej, mrok przyskoczył na powrót z potężnie wzmożonym hukiem, a Jim znikł mi sprzed olśnionych oczu tak zupełnie, jakby go zerwało na strzępy. Wionęło burzliwe westchnienie; jakieś wściekle ręce zdawały się targać krzakami, zatrzaskiwać drzwi, tłuc okna wzdłuż frontu całego gmachu. Jim cofnął się do pokoju zamykając drzwi za sobą i zastał mię schyloną nad stołem; nie miałem pojęcia, co powie, i ogarnął mię nagle wielki niepokój, bardzo podobny do strachu.

— Czy mogę pana prosić o papierosa? — zapytał.

Podsunałem mu pudełko nie podnosząc głowy.

— Chce mi się... chce mi się palić — wymamrotał. Ulżyło mi niezmiernie na sercu.

— Zaraz, zaraz — mruknąłem uprzejmie. Przeszedł kilka kroków tam i z powrotem.

Usłyszałem, że mówi:

— Skończyło się. — Odległy grzmot doszedł nas od strony morza jak wystrzał armatni na alarm.

— Muson⁴² zaczyna się wcześniej w tym roku — zauważył Jim swobodnie, gdzieś za moimi plecami. To mię zachęciło do odwrócenia się, co uczyniłem po zaadresowaniu ostatniej koperty. Palił chciwie, stojąc na środku pokoju, i choć usłyszał mój ruch, stał jeszcze przez jakiś czas odwrócony plecami.

⁴¹*finis* (łac.) — koniec. [przypis edytorski]

⁴²*muson* — dziś popr.: *monsun*, wiatr sezonowo zmieniający kierunek, występujący u pld. i wsch. wybrzeży Azji; w lecie wieje od morza w stronę lądu, przynosząc deszcze. [przypis edytorski]

— No, zniosłem to wcale nieźle — rzekł obracając się nagle. — Wyrównałem część długu... niewielką. Ciekaw jestem, co będzie dalej. — Twarz jego nie zdradzała żadnego wzruszenia, tylko robiła wrażenie nieco ciemniejszej i nabrzmiałej, jak gdyby powstrzymał oddech. Uśmiechnął się, rzekłbyś, niechętnie i ciągnął dalej, podczas gdy patrzyłem na niego milcząc: — W każdym razie, dziękuję panu... Pański pokój jest... bardzo dogodny... dla człowieka... który podle się czuje... — Deszcz chlapał i syczał w ogrodzie; rynna (musiała być dziurawa) tuż za oknem przedrzeźniała rozpaczliwe łkania wśród bulgoczącego lamentu i zabawnych szlochów, przerywanych nagłymi chwilami milczenia. — Miałem się gdzie schronić — wymamrotał Jim i zamilkł.

Zygzak spłowiałej błyskawicy wpadł przez czarne ramy okien i odpłynął bez szmeru. Rozmyślałem, w jaki sposób mam się do Jima zbliżyć (nie miałem ochoty, aby znów mnie odepchnął), kiedy zaśmiał się z lekka.

— Jestem teraz po prostu włóczęgą — koniec papierosa dymił między jego palcami — bez... bez żadnego... — wyrzekł powoli — a jednak... — Urwał; deszcz lunął z podwójną gwałtownością. — Przyjdzie dzień, kiedy nadarzy mi się sposobność znów wszystko odzyskać. Musi przyjść! — szepnął wyraźnie z oczami wlepionymi w moje trzewiki.

Nie wiedziałem nawet, co pragnął tak bardzo odzyskać, czego mu tak strasznie brakowało. Było to może zbyt ważne, aby dało się wypowiedzieć. Kawalek oślejskiej skóry, według Chestera... Jim spojrzał na mnie badawczo.

— Może i przyjdzie, jeśli starczy życia — mruknąłem przez zęby z nieuzasadnionym gniewem. — Niech pan zbytnio na to nie liczy.

— Słowo panu daję, mam wrażenie, że nic mi się stać nie może — rzekł tonem ponurego przeświadczenia. — Jeśli mi ta sprawa nie dała rady, to nie ma strachu, aby zabrakło mi czasu na... na wygrzebanie się, i... — Spojrzał w górę.

Przyszło mi nagle na myśl, że to właśnie spomiędzy takich jak on rekrutuje się wielka armia włóczęgów i przybłędów, armia, która schodzi wciąż niżej i niżej poprzez wszystkie rynsztoki świata. Z chwilą kiedy Jim opuści mój pokój, „gdzie mógł się schronić”, zajmie swoje miejsce w szeregach i rozpocznie marsz ku bezdennej otchłani. Przynajmniej ja złudzeń nie miałem; ale nie kto inny, tylko ja właśnie byłem przed chwilą taki przeświadczony o potęgę słów, a teraz bałem się odezwać — jak człowiek, który lęka się poruszyć, aby nie stracić śliskiego oparcia. Dopiero gdy usiłujemy walczyć o istotną potrzebę innego człowieka, dostrzegamy, jak niezrozumiałe, jak chwiejne i mgliste są istoty, które dzielą z nami widok gwiazd i ciepło słońca. Rzekłbyś, iż samotność jest ciężkim i nieodzownym warunkiem istnienia; powłoka z ciała i krwi, na której zatrzymują się nasze oczy, rozplywa się pod wyciągniętą dłonią; pozostaje tylko kapryśny, nieukojoony i nieuchwytny duch, za którym oko nie pójdzie, którego nie ujmie ręka. Trwoga, aby mi się Jim nie wymknął, zamknęła mi usta, bo poczułem nagle z niewytłumaczoną siłą, że jeśli mu pozwolę ujść w ciemność, nigdy sobie tego nie daruję.

— No więc, raz jeszcze panu dziękuję. Pan był, hm, niezwykle... doprawdy, nie ma na to słów!... Niezwykle... I rzeczywiście, nie rozumiem dlaczego. Boję się, że nie jestem panu taki wdzięczny, jakby należało, ale to wszystko spadło na mnie tak brutalnie... Bo w gruncie rzeczy... nawet pan... pan sam... — Zająknął się.

— Możliwe — wtrąciłem. Ściągnął brwi.

— A jednak człowiek jest odpowiedzialny. — Śledził mnie jastrzębim wzrokiem.

— To prawda — odrzekłem.

— No więc, już się z tym uporałem i nie pozwolę rzucić sobie tego w twarz... nie darowałbym nikomu. — Zacisnął pięści.

— Tu odnajduję pana — powiedziałem z uśmiechem, Boże mój, dość smutnym. Spojrzał na mnie groźnie.

— I to już jest moja sprawa — dodał. Wyraz niezłomnego postanowienia zjawiał się na jego twarzy i znikł niby czczy, przelotny cień. Po chwili wyglądał znowu jak miły, zatroskany chłopczyk. Rzucił papierosa. — Do widzenia! — rzekł z nagłym pośpiechem, niby człowiek, który się zagadał, podczas gdy czeka nań pilna robota; potem zaś przez parę sekund stał bez najlżejszego ruchu. Deszcz lał z gwałtownym, nieprzerwanym impetem jak zmiatająca wszystko powódź, z rozpiętą, oszalałą wściekłością, która

przywodziła na myśl zapadające się mosty, drzewa wyrwane z korzeniami, podmyte góry. Nikt nie mógłby stawić czoła olbrzymiemu, gwałtownemu naporowi wody, rzekłbyś, rozbijającej się w wirach o mętną ciszę, która była naszym niepewnym schronieniem jak wyspa. Dziurawa rynna bulgotała, krztusiła się, pluła, pluskała wstrętnie i śmiesznie niby pływak walczący o życie.

— Deszcz leje — tłumaczyłem mu — a ja...

— Czy leje, czy nie — zaczął szorstko, urwał i podszedł do okna. — Istny potop — mruknął po chwili; oparł czoło o szybę. — I ciemno jest także.

— Tak, bardzo ciemno — rzekłem.

Obrócił się na pięcie, przeszedł przez pokój i otworzył drzwi prowadzące na korytarz, nim zdążyłem zerwać się z krzesła.

— Czekaj pan — krzyknąłem — chciałbym pana...

— Nie mogę dziś być u pana na obiedzie — rzucił mi stojąc już jedną nogą za drzwiami.

— Nie mam najmniejszego zamiaru pana zapraszać — zawołałem. Cofnął na to nogę z za progu, lecz zatrzymał się we drzwiach podejrzliwie. Z całą powagą jąłem mu perswadować, aby przestał się zachowywać jak narwaniec; poprosiłem go, aby wszedł do pokoju i zamknął drzwi.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Zdecydował się w końcu zawrócić, ale sądzę, że głównie deszcz się do tego przyczynił; lał wtedy właśnie z niszczącą siłą, która uspokajała się stopniowo podczas naszej rozmowy. Jim zachowywał się bardzo spokojnie i poprawnie; wyglądał teraz na małomównego człowieka opanowanego przez jakąś myśl. Mówiłem mu o materialnej stronie jego położenia, a wyłącznym mym celem było uratowanie go od upadku, zguby i rozpacz, które tam, na Wschodzie, opanowują tak szybko samotnych, bezdomnych ludzi; rozumowałem logicznie, namawiając go, aby przyjął moją pomoc, a za każdym razem, gdy zdarzyło mi się spojrzeć na jego skupioną, łagodną twarz, tak młodzieńczą i pełną powagi, ogarniało mię niepokojące uczucie, że nie jestem mu pomocą, a raczej przeszkadzam jego zranionej duszy w jakimś tajemniczym, niewytłumaczonym, nieuchwytnym wysiłku.

— Przypuszczam, że pan zamierza jeść i pić, i spać pod dachem jak zwykle — rzekłem wreszcie z rozdrażnieniem. — Pan przecież mówi, że pan nie tknie należących się panu pieniędzy. — Uczynił gest, który jak na człowieka opanowanego, był oznaką silnej odrazy. (Należała mu się pensja za trzy tygodnie i pięć dni jako oficerowi z „Patny”). — No tak, to jest zbyt mała suma, aby mogła mieć jakies znaczenie; ale co pan zrobi jutro? Dokąd pan się obróci? Trzeba przecież żyć...

— To nie o to chodzi — wyrwało mu się szeptem. Pomiąłem milczeniem jego słowa i w dalszym ciągu walczyłem z tym, co uważałem za skrupuły przesadnej delikatności. — Ze wszelkich względów — zakończyłem — musi pan przyjąć moją pomoc.

— Pan mi pomoc nie może — rzekł bardzo prosto i bardzo łagodnie, pochłonięty jakąś głęboką myślą, której przebliski dostrzegałem niby sadzawkę lśniąca w mroku, myśląc ze zniechęceniem, że nigdy się do niej nie zbliżę na tyle, aby ją zgłębić. Patrzyłem na jego harmonijną postać.

— W każdym razie — rzekłem — mogę przyjść z pomocą tej części pana osoby, która jest widzialna. Nie twierdzę, że zrobię coś więcej. — Potrząsnął głową z niedowierzaniem, nie patrząc na mnie. Zapalałem się coraz bardziej. — Otóż właśnie, że mogę panu pomóc. Mogę nawet zrobić jeszcze więcej. I *zrobię* to. Ja panu ufam...

— Te pieniądze... — zaczął.

— Słowo daję, zasługuje pan na to, żeby pana posłać do wszystkich diabłów! — krzyknąłem z przesadzonym oburzeniem. Zaskoczyło go to; uśmiechnął się, a ja nacierałem w dalszym ciągu. — Tu wcale nie chodzi o pieniądze. Pan jest zbyt powierzchowny — rzekłem (a w tej samej chwili myślałem sobie: „Aha, tum cię czekał! A może i jest zbyt powierzchowny — mimo wszystko”). — Niech pan spojrzy na ten list, który pan ma zabrać. Piszę tu do człowieka, którego nigdy o nic nie prosiłem; piszę o panu w takich słowach, jakich ośmielamy się użyć mówiąc tylko o bliskim przyjacielu. W tym liście ni mniej, ni więcej biorę na siebie bezwzględna odpowiedzialność za pana. I doprawdy, jeśli

pan tylko zastanowi się trochę, co to znaczy...

Podniósł głowę. Deszcz już minął; tylko rynna za oknem wciąż jeszcze wylewała idiotyczne lzy: kap, kap. W pokoju panował wielki spokój; cienie przycupnęły po kątach, daleko od cichego płomienia świecy, który jaśniał prostopadle w kształcie miecza. Wydawało mi się po chwili, że odbłask łagodnego światła zalewa twarz Jima, jakby świt już się był zaczął.

— Boże mój! — wyszeptał. — Jaki pan szlachetny!

Nie czułbym się bardziej upokorzony, gdyby mi nagle pokazał język. „Dobrze ci tak, podlizujący się blagierze!” — powiedziałem do siebie. Jim patrzył na mnie jaśniejącymi oczami, ale spostrzegłem, że blask ich nie był szyderczy. Ogarnęło go w mig gorączkowe wzburzenie; przypominał płaskiego drewnianego pajaca wprawianego w ruch za pomocą sznurka. Podniósł ramiona i opuścił trzępnięwszy rękami o uda. Stał się zupełnie innym człowiekiem.

— A ja wcale nie rozumiałem! — krzyknął; nagle zagryzł wargi i zmarszczył się. — Co za osioł ze mnie — rzekł bardzo wolno z lękiem. — Na pana to można liczyć — zawołał stłumionym głosem. Porwał mnie za rękę, jakby ją ujrzał po raz pierwszy, i puścił ją natychmiast. — Jak to! Przecież to jest właśnie to, czego ja... pan... ja... — zająknął się i zaczął mówić niezręcznie z nawrotem dawnego, tępego uporu: — Byłbym teraz bydlęciami, gdybym... — Głos mu się załamał.

— Tak, tak, rozumiem — rzekłem. Byłem prawie zaniepokojony tym wybuchem uczuć, z których przebijało dziwne uniesienie. Pociągnąłem przypadkowo za sznurek; nie rozumiałem dokładnie mechanizmu zabawki.

— Teraz już muszę iść — powiedział. — Mój Boże, pan naprawdę mi pomógł! Nie mogę usiedzieć w miejscu. To jest właśnie to, czego mi było trzeba! — spojrzął na mnie ze zdumieniem i podziwem. — Właśnie to...

Tak, tego właśnie było mu trzeba. Z całym prawdopodobieństwem ocaliłem go od głodu, od tego rodzaju głodu, który jest prawie nieuchronnie związany z pijaństwem. I to wszystko. Nie miałem pod tym względem żadnych złudzeń, ale patrząc na Jima zadawałem sobie pytanie, jakiego rodzaju złudzenie zawiadnęło nim tak widocznie w ciągu tych trzech ostatnich minut? Podsunąłem mu sposobność do prowadzenia w dalszym ciągu przyzwoitego życia, do poważnej pracy, do zarabiania w zwykły sposób na jedzenie, picie, dach nad głową — w chwili gdy jego zraniony duch, jak ptak o przetrąconym skrzydle, byłby się zawlókł, trzepocząc, do jakiejś nory, aby zamrzeć tam spokojnie z wyczerpania. Narzuciłem mu rzecz drobną bezwzględnie; i — patrzcie! przyjął ją w taki sposób, że zamajaczyła w mętym świetle świecy jak wielki cień, niewyraźny, a może i niebezpieczny.

— Pan mi nie bierze za złe, że nie wypowiadam tego, co należałoby panu powiedzieć — wybuchnął — ale mi brak słów. Już wczoraj wieczorem wyświadczył mi pan nieskończenie wiele dobrego — słuchając mnie — pan to na pewno rozumie. Daję panu na to słowo, myślałem nieraz, że głowa mi się rozleci w kawałki... — Rzucił się dosłownie tu i tam po pokoju, wpychał ręce do kieszeni, wyszarpywał je znów, wsadził z rozmachem czapkę na głowę. Nie miałem pojęcia, że potrafi być taki lekki i żwawy. Przyszedł mi na myśl suchy liść wirujący w wietrze i tajemniczy niepokój, ciężar nieokreślonego zwątpienia przygwoździł mię do krzesła. Nagle Jim stanął jak wryty, rzekłbyś, skamieniał wskutek jakiegoś dokonanego odkrycia. — Pan mi zaufa! — oświadczył z prostotą.

— Na miłość boską, dosyć tego, kochany chłopcze! — błagałem, jak gdyby mię uraził.

— Dobrze. Będę milczał, i teraz, i zawsze. Ale myśleć mi pan zabronić nie może... Wszystko jedno! Ja jeszcze dowiodę... — Podeszedł śpiesznie do drzwi, zatrzymał się ze spuszczoną głową i wrócił stąpając powoli. — Myślałem zawsze, że gdyby było można zacząć wszystko na nowo, od czystej karty... A teraz pan... do pewnego stopnia... tak... od czystej karty.

Kiwnąłem mu przyjaźnie ręką i odszedł nie oglądając się więcej. Odgłos jego kroków zamarł stopniowo za zamkniętymi drzwiami; był to pewny krok człowieka stąpającego w jasnym świetle dnia.

Ja zaś pozostałem naprzeciw samotnej świecy i wszystko wydało mi się dziwnie niejasne. Nie byłem już dość młody, aby na każdym kroku, który czynimy w dobrym czy złym kierunku, dostrzegać wspaniałość towarzyszącą naszym błahym poczynaniom. Uśmiechnąłem się na myśl, że właściwie z nas dwóch on jest tym, który nie odczuwa braku światła.

I ogarnął mnie smutek. Zacząć od czystej karty, tak powiedział? Jak gdyby rozstrzygające słowo o losie każdego z nas nie było już wyryte na obliczu skały niezniszczalnymi zgłoskami.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

W sześć miesięcy później dostałem list od mego przyjaciela, który posiadał luszczarnię ryżu (był to kawaler w więcej niż średnim wieku, cynik o reputacji dziwaka); poleciłem mu Jima bardzo gorąco, więc też chciał mi zrobić przyjemność i rozwodził się szeroko o jego doskonałościach. Jim posiadał zalety, które się nie rzucały w oczy, ale były niezawodne. Przyjaciel mój pisał: „Nie mogłem dotychczas zdobyć się na nic więcej ponad zrezygnowaną pobłażliwość dla przedstawicieli rodzaju ludzkiego i dlatego mieszkalem samotnie w domu, który nawet w tym parnym klimacie można uważać za zbyt obszerny dla jednego człowieka. Już od jakiegoś czasu prosiłem Jima, aby ze mną zamieszkał. Zdaje mi się, że robiąc mu tę propozycję postąpiłem właściwie”. Czytając ten list odniosłem wrażenie, iż mój przyjaciel znalazł w swym sercu coś więcej niż wyrozumiałość dla Jima, że to był początek istotnego przywiązania. Oczywiście wyjaśniał mi w charakterystyczny dla siebie sposób przyczyny tego uczucia. Po pierwsze, Jim w tamtym klimacie nie tracił wcale na świeżości. „Gdyby był młodą panną — pisał mój przyjaciel — można by powiedzieć, że kwitnie, kwitnie skromnie jak fiołek, nie zaś jak niektóre z tych jaskrawych kwiatów podzwrotnikowych. Jest już u mnie w domu od sześciu tygodni, a dotychczas ani razu nie usiłował poklepać mnie po plecach albo powiedzieć do mnie »mój stary«, albo dać mi odczuć, że jestem przedpotopowym wykopaliskiem. Nie ma w nim ani trochę nieznośnej gadatliwości młodego chłopca. Odznacza się miłym charakterem, niewiele ma do powiedzenia i Bogu dzięki wcale nie jest sprytny”. Zdaje się jednak, że Jim był dość sprytny na to, aby przejawiać w spokojny sposób uznanie dla dowcipu gospodarza, z drugiej zaś strony bawił go swą naiwnością. „Życie jeszcze z niego nie starło puchu, a odkąd miałem szczęśliwą myśl, aby dać mu pokój w swym domu i zaprosić go do stołu, czuję się sam odświeżony. Któregoś dnia przyszło mu do głowy przejść przez pokój po prostu w tym celu, żeby otworzyć przede mną drzwi; już od lat nie czułem się tak blisko zespolony z ludzkością. Czy to nie śmieszne? Domyślam się naturalnie, że on ma coś poza sobą, jakąś okropnie przykrą historię, o której ty wiesz wszystko; ale gdybym nawet był pewny, że to coś szkaradnego, sądzę, że można by mu to wybaczyć. Co się mnie tyczy, oświadczam, że nie umiem sobie wyobrazić, aby popełnił coś gorszego od obrabowania sadu. Czy to coś *daleko* gorszego? Może powinienes mi być o tym powiedzieć; ale upłynęło już wiele lat, odkąd staliśmy się obaj świętymi, i mogłeś zapomnieć, że i my także grzeszyliśmy w swoim czasie. Przyjdzie pewno dzień, kiedy będę musiał o to zapytać, a wówczas liczę na to, że mi odpowiesz. Nie chciałbym go sam wypytywać, póki nie mam pojęcia, co to takiego. Zresztą jest jeszcze za wcześnie. Niech jeszcze parę razy drzwi przede mną otworzy...”

Tyle co do mego przyjaciela. Ucieszyłem się potrójnie: z obiecującego sprawowania się Jima, z tonu listu, z mej własnej przemyślności. Wiedziałem widać, co robię. Umiałem przejrzeć na wskroś charaktery tych ludzi — i tak dalej. A może wyniknie stąd jakaś rzecz niespodziana i cudowna? Owego wieczoru, spoczywając na leżaku pod płóciennym dachem na rufie mego statku, było to w porcie Hong-kong, położyłem kamień węgielny pod zamek na lodzie — na intencję Jima.

Odbyłem podróż na północ, a po powrocie zastałem znów czekający na mnie list od przyjaciela. Otworzyłem go natychmiast. „Nie brakuje mi łezeczek, o ile wiem — brzmiały pierwsze słowa — za mało mnie to interesuje, aby sprawdzać. Jim odszedł zostawiając na stole zastawionym do śniadania banalną kartkę z przeprosinami, która jest albo głupia, albo bez serca. Prawdopodobnie i jedno, i drugie, co mnie nic nie obchodzi. Pozwól sobie powiedzieć na wypadek, gdybyś miał w zapasie więcej takich tajemniczych młodzieńców, że skończyłem z tym bezwzględnie i raz na zawsze. To już ostatnie dziwactwo, jakie mam na sumieniu. Nie wyobrażaj sobie przypadkiem, aby mię to obeszło, ale jego partnerzy z tenisa bardzo żałują, że go już nie ma; przez wzgląd na siebie samego musiałem opowiedzieć w klubie jakieś prawdopodobne kłamstwo...” Rzuciłem list i zacząłem grzebać w stosie kopert na stole, póki nie natrafiłem na pismo Jima. Czy dacie wiarę?

Wydarzyła się jedna możliwość na sto! Ale zawsze się ta setna wydarzy. Otóż ów mały drugi mechanik z „Patny” zjawił się tam w dość oplakany stan i dostał w łuszczarni chwilowe zajęcie przy pilnowaniu maszyn. „Nie mogłem znieść poufałości tego łajdaka — pisał do mnie Jim z portu położonego siedemset mil na południe od miejsca, gdzie powinien być się czuć jak w raj. — Jestem chwilowo w firmie Egström i Blake, dostawców okrętowych, jako ich, no, po prostu goniec, nazywając rzecz po imieniu. Powołałem się na pana, gdyż znają pana oczywiście, a gdyby pan zechciał do nich słówko o mnie napisać, zatrzymaliby mię na stałe”. Uczułem się zmiażdżony pod ruinami mego statku, ale naturalnie napisałem list, którego Jim żądał. Przed końcem roku nowy kontrakt zaprowadził mię w tamte strony i miałem znów sposobność zobaczyć się z Jimem.

Był jeszcze ciągle w firmie Egström i Blake; spotkaliśmy się w tak zwanym „salonie”, którego drzwi wychodziły na sklep. Jim wrócił był właśnie z wyprawy na jakiś okręt i stanął przede mną ze spuszczoną głową, gotów do walki.

— Co pan ma na swoje usprawiedliwienie? — zacząłem natychmiast po przywitaniu.

— To, co panu napisałem, nic więcej — rzekł z uporem.

— Tamten drań wyapał czy co? — zapytałem. Jim spojrzał na mnie z niepewnym uśmiechem.

— Ach nie, nic podobnego. Ale uważał, że jesteśmy związani czymś w rodzaju poufnego porozumienia. Przybierał wściekle tajemniczą minę za każdym razem, kiedym przyszedł do młyna, i mrugał do mnie z szacunkiem, jakby chciał powiedzieć: „Już co my wiemy, to wiemy”. Łasił się z ohydą poufałością, i tak dalej. — Jim rzucił się na krzesło patrząc na swoje nogi. — Zdarzyło się raz, że zostaliśmy sami, i ten człowiek miał bezczelność mi powiedzieć: „No, panie James (nazywano mnie tam panem Jamesem, jakbym był synem domu), znowuśmy się zesłi. Lepiej tu niż na tamtym starym statku, co?” Czyż to nie było okropne? Spojrzałem na niego, a on przybrał znaczącą minę. „Niechże pan będzie spokojny — mówił dalej — ja od razu poznaję prawdziwego pana, dość mi raz spojrzeć, i wiem także, co prawdziwy pan czuje. Ale mam nadzieję, że pan mię zatrzyma tu, przy tej robocie. Ja też przeszedłem porządne cięgi po awanturze o tę starą, parszywą »Patnę«. To było straszne — ciągnął Jim. — Nie wiem, co bym był wówczas powiedział lub zrobił, gdyby pan Denver nie zawołał na mnie z korytarza. Podano właśnie drugie śniadanie. Przeszliśmy razem przez dziedziniec i ogród do willi. Zaczął żartować ze mnie w swój miły sposób... Zdaje mi się, że mię lubił...

Zamilkł na chwilę.

— Wiem, że mię lubił. Właśnie dlatego było to takie ciężkie. To taki zacny człowiek! Tego rana wziął mnie pod rękę... On się też odnosił do mnie z poufałością. — Jim zaśmiał się krótko i opuścił głowę na piersi. — Brr! Kiedy sobie przypomnę, jak ten podły wyskrobek do mnie mówił... — zaczął znów drżącym głosem. — Nie mogłem znieść siebie po prostu... Pan mnie chyba rozumie... — Skinąłem głową. — Pan Denver był dla mnie jak ojciec! — krzyknął; głos mu się załamał. — Byłbym musiał mu powiedzieć. Nie mogłem pozwolić, aby to dłużej trwało, niech pan sam powie.

— No więc? — szepnąłem po chwili.

— Wołałem odejść — rzekł z wolna — trzeba na tym położyć krzyżyk.

Słychać było, jak Blake wymawiał coś w sklepie Egströmowi obelżywym, podniesionym tonem. Byli w spółce od wielu lat i co dzień, od chwili otwarcia sklepu aż do ostatniej minuty przed zamknięciem, Blake, mały człowieczek o gładkich włosach, czarnych jak dżet, i smutnych, krągłych oczach, nie przestawał wymyślać swemu współnikowi z pewnego rodzaju pogardliwą i żalną wściekłością. Hałas nieustannego łajania był czymś tak nierozłącznym ze sklepem, że niemal należał do inwentarza; nawet obcy ludzie wnet przestawali na to zwracać uwagę, czasem tylko ktoś mruknął: „A to piła”, lub wstał nagle i zamknął drzwi od „salonu”. Sam Egström, wychudły, ociężały Skandynaw o olbrzymich jasnych bokobrodach, wiecznie czymś zajęty, wydawał polecenia, sprawdzał paczki, wystawiał rachunki lub pisał listy w sklepie, stojąc przy pulpicie, i w ogóle zachowywał się w tym hałasie niby człowiek głuchy jak pień. Od czasu do czasu wyrzucał z siebie machinalnie „szysz” udreżonym tonem; nie wywierało to żadnego skutku, którego się też nikt nie spodziewał.

— Bardzo tu są przyzwoici w stosunku do mnie — rzekł Jim. — Blake trochę jest ordynarny, ale Egström to przyzwoity facet. — Podniósł się szybko i podszedł miarowym

krokiem do teleskopu, który stał na trójnogu, zwrócony w stronę przystani. Przytknął do niego oko. — Oto właśnie ten statek, który od samego rana był unieruchomiony przez ciszę; dostał teraz wiatru i wjeżdża do portu — rzekł cierpliwie. — Muszę jechać na jego spotkanie. — Uścisnęliśmy sobie ręce w milczeniu i Jim zwrócił się ku drzwiom.

— Jimie! — krzyknąłem. Obejrzał się z ręką na kłamce. — Pan... pan... to tak, jakbyś pan odrzucił majątek! — Wrócił do mnie ode drzwi.

— Taki kochany staruszek — rzekł. — Jakże ja mogłem? Jak mogłem... — Wargi mu drgnęły. — *Tutaj* to jest mi wszystko jedno.

— Doprawdy, pan jest... — zacząłem i szukałem odpowiedniego słowa, ale nim sobie zdałem sprawę, że nie ma wyrazu, który by się tu nadał, Jima już nie było. Doszedł mnie głęboki, łagodny głos Egströma mówiący wesoło:

— To „Sarah W. Granger”, Jimmy. Niech pan się postara dostać pierwszy na pokład. — Zaraz potem wtrącił się Blake skrzeczając jak wściekłe kakadu:

— Powiedz pan kapitanowi, że mamy tu dla niego trochę listów. Weźmie się na to. Słyszysz pan, panie tego? — A Jim odpowiedział Egströmowi chłopięcym tonem:

— Dobrze, dobrze. Będzie to wyścig, co się zowie. — Miałem wrażenie, że Jim szuka pociechy w żeglarskich funkcjach swego marnego zawodu.

Nie zobaczyłem go już podczas tej podróży, ale gdy przejeżdżałem następnym razem (miałem kontrakt sześciomiesięczny), poszedłem znów do sklepu. Już z odległości dziesięciu jardów doszło mnie wymyślanie Blake’a; gdym wszedł, rzucił mi rozpaczliwe spojrzenie, a Egström, cały w uśmiechach, zbliżył się wyciągając wielką kościstą rękę.

— Jakże mi miło pana widzieć, kapitanie... szszsz... Tak też sobie myślałem, że pan będzie musiał tędy wracać. Co pan kapitan mówi? Szszsz... Aha, o niego panu chodzi? Opuścił nas. Niechże kapitan pozwoli do salonu... — Po zatrzaśnięciu drzwi wytężony głos Blake’a osłabł i wydał się głosem człowieka wymyślającego rozpaczliwie na puszczy. — Naraził nas przy tym na okropne kłopoty. Muszę powiedzieć, że brzydko sobie względem nas postąpił...

— Dokądże on pojechał? Nie wie pan? — zapytałem.

— Nie. I nie warto pytać — rzekł Skandynaw o bujnych bokobrodach, stojąc przede mną uprzejmie z rękoma dyndającymi niezgrabnie u boków; cienki srebrny łańcuszek od zegarka zwisał nisko na jego pofałdowanej kamizelce z granatowego szewiotu⁴³. — Tacy jak on nie jeżdżą w żadnym określonym kierunku. — Zbyt mię obeszła usłyszana wiadomość, toteż nie zapytałem, co Egström ma właściwie na myśli, a on ciągnął dalej: — Opuścił nas... zaraz, niech sobie przypomnę... w dzień przyjazdu parowca wiozącego pielgrzymów wracających z Morza Czerwonego; śruba okrętowa miała dwa skrzydła złamane. Tak; trzy tygodnie temu.

— Czy nie było wówczas mowy o wypadku z „Patną”? — zapytałem, tknięty najgorszym przeczuciem. Wzdrygnął się i spojrzał na mnie, jakbym był czarownikiem.

— Ależ tak! Skąd pan wie o tym? Kilku ludzi rozmawiało tu właśnie na ten temat. Było między nimi paru kapitanów, kierownik portowych warsztatów reperacyjnych Vanloo’a, jeszcze dwóch czy trzech innych ludzi, no i ja. Jim był tu także, jadł właśnie sandwicz i popijał piwem; bo widzi pan, panie kapitanie, kiedy wre robota, to nie ma czasu na porządny posiłek. Stał przy tym oto stole i jadł, a my wszyscy obścapiiliśmy teleskop przyglądając się wjazdowi parowca; od słowa do słowa, kierownik warsztatów zaczął mówić o kapitanie „Patny”; naprawiał coś tam kiedyś dla niego. Potem rozpowiadał nam, jakie to było stare pudło, ta „Patna”, i ile z niej wyciągnęli pieniędzy. Wspomniał o jej ostatniej podróży, a potem już wszyscyśmy dokładali swoje. Jedni mówili to, drudzy owo, nie gadaliśmy znów tak wiele, to samo, co by pan albo każdy inny człowiek powiedział; było też trochę śmiechu. Kapitan O’Brien ze statku „Sarah W. Granger”, wielki, hałaśliwy starzec, siedział w tym oto fotelu z laską w rękę, przysłuchując się nam; nagle stuknął kijem w podłogę i krzyknął: „Tchórze!” Podskoczyliśmy wszyscy. Kierownik warsztatów mruga na nas i mówi: „O cóż panu chodzi, panie kapitanie?” „Chodzi, chodzi! — zaczął krzyżeć stary. — Z czegoż wy się śmiejecie, dzikusy? To nie jest żaden powód do śmiechu. To hańba dla ludzkiego rodu, ot co! Tfu, nie chciałbym się znaleźć w pokoju z którymś z tych ludzi. Tak, mój panie!” Zdawało mi się, że oczy nasze się spotkały i mu-

⁴³szewiot — rodzaj wełnianej tkaniny. [przypis edytorski]

siałem przez grzeczność coś odpowiedzieć. „Tchórze — mówię — no tak, naturalnie, panie kapitanie, i ja sam nie chciałbym żadnego z nich mieć u siebie, więc też pan jest zupełnie w tym pokoju bezpieczny. Niechże się pan napije czegoś chłodnego”. „Dajże mi pan pokój, do diabła — mówi z błyskiem w oczach — kiedy mi się zechce pić, to sam krzyknę, żeby mi co dali. Idę sobie. Śmierdzi mi tutaj”. Wszyscy inni wybuchnęli na to śmiechem i dalej wychodzić za starym. A wówczas, panie kapitanie, ten szelma Jim odkłada sandwicz, który trzymał w ręku, obchodzi stół naokoło i zbliża się do mnie. Na stole stała jego szklanka piwa, pełniutka, dopiero co nalana. „Odchodzę” — mówi ot tak sobie, po prostu. „Nie ma jeszcze wół do drugiej — odpowiadam — zdąży pan wypalić papierosa”. Myślałem, że czas mu iść do roboty. Kiedy zrozumiałem wreszcie, o co mu chodzi, ręce mi opadły, o tak! Rozumie pan, panie kapitanie, takiego człowieka to się co dzień nie znajduje; prawdziwy diabeł w prowadzeniu żaglówki, gotów był wypłynąć kilka mil na morze o każdej pogodzie, żeby spotkać okręt. Nie raz i nie dwa różni kapitanowie przychodzili tu do mnie okropnie tym przejęci i zaraz tak zaczęli: „Panie Egström, cóż to za nieustraszone szalenie z tego pańskiego subiekta! Wymacywałem drogę o świcie pod skróconymi żaglami, kiedy raptem wylatuje z mgły tuż pod zagięcie dziobu łódka na wół zalana wodą, wśród bryzgów górujących nad masztem, z dwoma struchlałymi Negrami na belkach dna i wrzeszczącym czarterem u sternicy: »Hej, hej! Tam na statku! Hej, hej! Kapitanie! Tu firma Egström i Blake pierwsza pana wita! Hej, hej! Egström i Blake! Halo! Hej! Hu, hu, hu!« Daje kopniaka Negrom, skraca żagle, jednocześnie uderza szkwał, a ten wariat pędzi, okrzykując się, ku dziobowi i wrzeszczy, abym dodał żagli, to on mnie wprowadzi do portu, istny diabeł, nie człowiek. Nigdy w życiu nie widziałem, aby kto tak łódź prowadził. Chyba nie mógł być pijany, co? Taki spokojny chłopak, mówił takim cichym głosem, kiedy się dostał na pokład, a czerwienił się jak dziewczyna...” Mówię panu, panie kapitanie, nikt nie mógł Jima ubiec, kiedy chodziło o zdobycie dla nas nowego statku. Inni dostawcy okrętowi zachowywali tylko po prostu swych dawnych klientów, i...

Wzruszenie przygniotło Egströma.

— Doprawdy, zdawało się, że nie wahałby się puścić ze sto mil na morze w starym bucie, byle tylko capnąć statek dla firmy. Gdyby interes był jego własny i chodziło o wyrobienie sobie klienteli na samym początku, nie mógłby się zdobyć na więcej. A teraz... nagle... w taki sposób! Pomyślałem sobie: „Oho! chce wyśrubować pensję, o to mu chodzi z pewnością”. „Dobrze, Jimmy — mówię — ale po co te wszystkie termedia⁴⁴? Niech pan wymieni po prostu cyfrę. Byle nie przesadzoną”. Spojrzał na mnie, jakby chciał przełknąć coś, co mu utkwilo w gardle. „Nie mogę tu zostać”. „Cóż to za kawał, u licha?” — pytam. Potrząsnął głową i widziałem po jego oczach, panie kapitanie, że już tak, jakby go nie było. Więc jak ja na niego nie wsiądę — nawymyślałem mu, ile wlezie. „Od czegożże uciekasz, człowieku? — pytam. — Kto cię skrzywdził? Co cię stąd wypłasza? Mniej masz rozsądku niż szczur, bo one nie opuszczają dobrego okrętu. Gdzież się spodziewasz dostać lepsze miejsce? Ty taki, ty owaki...” Zzieleniał po prostu, słowo daję. „Nasz interes nie zatoni” — powiadam. Podskoczył, o, tak. „Żegnam pana — mówi kiwając mi głową jak jaki lord. — Dobry z pana chłop, Egström. Daję panu słowo, gdyby pan znał moje powody, nie chciałby pan mnie mieć u siebie”. „To największe kłamstwo, jakie panu przeszło przez gardło — mówię — wiem lepiej od pana, co bym zrobił”. Tak mnie rozzłościł, że zacząłem się śmiać. „Jak to, więc pan nawet nie ma czasu wypić tej szklanki piwa? Et, śmieszny wariat z pana!” Nie mam pojęcia, co go napadło; zdawało się, że nie może trafić do drzwi; mówię panu, panie kapitanie, to było po prostu komiczne. Wziąłem i wypilem sam jego piwo. „No, jeśli panu tak się spieszy, piję za pana zdrowie pańskim własnym piwem — mówię — tylko zapamiętaj pan sobie moje słowa: jeśli pan będzie dalej tak sobie poczynał, przekona się pan wkrótce, że ziemia jest dla pana za mała, to wszystko”. Rzucił mi ponure spojrzenie i wybiegł z twarzą straszną jak noc.

Egström prychnął z goryczą i przeczesał jasny bak sękatymi palcami.

— Odtąd nie udało mi się już dostać człowieka, który by był do rzeczy. Nic, tylko same kłopoty i kłopoty... A czy mi wolno zapytać, gdzie pan się z nim spotkał, panie kapitanie?

⁴⁴termedia (daw.) — zwykle w lm.: skomplikowane zabiegi; awantury. [przypis edytorski]

— Był pomocnikiem na „Patnie” właśnie podczas tamtej podróży — rzekłem poczuwając się do wyjaśnienia. Egström zamarł na chwilę z palcami pograżonymi we włosach zaczesanych na bok i wreszcie wybuchnął.

— A kogóż to, u diabła, obchodzi?

— Pewnie, że nikogo — zacząłem.

— I co, u diabła, za ćwieka ma w głowie, żeby tak postępować? — Wepchnął nagle lewy bak do ust i stał w zdumieniu. — A to ci dopiero! — wykrzyknął. — Powiedziałem mu, że wkrótce powierzchni ziemi nie starczy dla jego wybryków!

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Opowiedziałem wam szczegółowo te dwa epizody, aby pokazać, jak Jim porał się ze sobą wśród nowych warunków życia. Epizodów w tym rodzaju było dużo, więcej, niżbym mógł zliczyć na palcach obu rąk.

A wszystkie cechowała bezsensowna wzniosłość intencji, nadająca tym blahym zajęciom wzruszającą głębię. Może to jest akt prozaicznego bohaterstwa, jeśli człowiek odrzuca powszedni chleb dla zmagania się z upiorem. Robili to już inni przed Jimem — a ludzie, którzy mają chleba w bród i nie boją się, aby im go zabrakło, przyklaskiwali ich szlachetnemu szaleństwu. My, którzyśmy poznali życie, wiemy dobrze, że to nie dusza nawiedzana przez widma, tylko głodne ciało wykołaja człowieka. Jim był naprawdę nieszczęśliwy, bo pomimo swych zapamiętałych wysiłków nie mógł się uwolnić od niesławy. Wątpliwości co do jego odwagi wciąż się ludzi trzymały. Chyba to prawda, że niepodobna pokonać ducha faktu. Można tylko stawić mu czoło lub go unikać, a spotkałem nawet paru ludzi, którzy z prześladowającymi ich widmami żyli w dobrej komitywie. Jim oczywiście nie należał do tej kategorii, ale nie mogłem nigdy ustalić, jak właściwie postępuje: czy unika swego upiora, czy też mu stawia czoło.

Wysiliłem całą swą przenikliwość i przekonałem się tylko, że nie zdołam tego rozstrzygnąć, gdyż odcienie w postępowaniu Jima były zbyt nieuchwytnie, takie same zresztą jak różnice w postępowaniu każdego z nas. Mogła to być i ucieczka, i jego metoda walki. Stał się ogólnie znany z tego, że nigdzie miejsca nie zagrzewał, ponieważ ta strona jego sprawy bawiła ludzi; w obrębie swych wędrówek o średnicy, powiedzmy, trzech tysięcy mil zdobył rozgłos tego samego rodzaju co prowincjonalny dziwak, który jest znany w całej okolicy. Na przykład w Bangkoku, gdzie Jim dostał zajęcie u braci Yuckerów, dzierżawców okrętów i handlarzy drzewem tekowym⁴⁵ tragiczny był wprost widok tego chłopca, który chodził w słońcu, ukrywając troskliwie swą tajemnicę, znaną nawet kłodom drzewa na rzece. Schomberg, włochaty Alzatzczyk o zachowaniu pełnym męskiej energii, właściciel hotelu, gdzie się Jim stołował, nieposkromiony plotkarz, walcujący wszystkie skandale miasta, opierał się łokciami o stół i dzielił ulepszoną wersję historii o „Patnie” z każdym gościem, który miał ochotę wchłaniać te wiadomości, podlewane co kosztowniejszymi trunkami.

— I niech pan sobie wyobrazi, to najmiłszy w świecie chłopiec — kończył hotelarz wspaniałomyślnie — człowiek ponad zwykłą miarę.

To, że Jim mógł wytrzymać w Bangkoku całe sześć miesięcy, świadczy pochlebnie o przygodnych grupach ludzi odwiedzających zakład Schomberga. Zauważyłem, że lubili go nawet ludzie zupełnie obcy, tak jak się lubi grzeczne dziecko. Obejście Jima było powściągliwe, ale zdawało się, że sam jego wygląd, jego włosy, oczy, uśmiech przyciągają sympatię wszystkich, z którymi się stykał. No i oczywiście nie był wcale głupi. Zygmunt Yucker (rodem z Szwajcarii), łagodny człowieczyna udręczony przez okrutny katar żołądka i tak strasznie kulawy, że głowa jego zakreślała ćwierć koła za każdym krokiem, otóż Zygmunt Yucker oświadczył z uznaniem, co sam słyszałem, że jak na tak młodego człowieka Jim „jest niezwykle zdolny”.

— Dlaczego pan go nie wyśle w głąb kraju — poddałem gorliwie, wiedząc, że bracia Yucker mają tam koncesje i lasy tekowe. — Jeśli on jest tak zdolny, jak pan mówi, połapie się szybko w robocie. I ma po temu wszelkie dane fizyczne, ponieważ ma świetne zdrowie.

⁴⁵ *drzewo tekowe* — gatunek drzewa podzwrotnikowego używanego m. in. do budowy okrętów, ze względu na fakt, iż słabo wchłania wodę. [przypis edytorski]

— Ach! Nie mieć kataru żołądka to wielka rzecz w tym kraju — westchnął biedny Yucker z zazdrością, zerkając ukradkiem na swój zrujnowany żołądek. Gdy odchodziłem, bębnił palcami po pulpicie i mruczał: „*Es ist eine Idee. Es ist eine Idee*”.⁴⁶ — Na nieszczęście tego samego wieczoru wydarzył się w hotelu przykry wypadek.

Nie mogę bardzo potępić Jima, ale było to doprawdy zajście godne pożałowania. Należało do oplakanej kategorii bójek zdarzających się w barach, a przeciwnikiem Jima był pewien zezowaty Duńczyk, na którego karcie wizytowej pod dziwnym nazwiskiem widniał tytuł: „Pierwszy oficer królewskiej syjamskiej marynarki”. Ten facet grał w bilard wręcz beznadziejnie, ale sądzę, iż przegrywać nie lubił. Wypił przy tym sporo, tak że po szóstej partii rozłościł się i rąbnął coś pogardliwie na karb opinii Jima. Większość obecnych nie dosłyszała, co powiedział, a tym, co słyszeli, wypadły jego słowa z pamięci, jakby wypłoszone przez groźne skutki, które natychmiast z tego wynikły. Całe szczęście dla Duńczyka, że umiał pływać, gdyż pokój wychodził na werandę, pod nią zaś płynął Menam, bardzo szeroki i czarny. Łódź z Chińczykami, którzy wyruszyli pewno na jakąś złodziejską wyprawę, wyłowiła oficera królewskiej syjamskiej marynarki, a Jim zjawił się u mnie na pokładzie około północy, bez kapelusza.

— Zdawało mi się, że wszyscy w pokoju znają moją historię — mówił, jakby zdyszany jeszcze od walki. W zasadzie żałował tego, co zaszło, choć twierdził, że w danych okolicznościach nie pozostawało mu nic innego. Ale przeraził go fakt, iż wszyscy wiedzieli tak dokładnie o jego tajemnicy, jakby ją miał wypisaną na twarzy. Po tym, co się stało, nie mógł naturalnie zostać w Bangkoku. Potępiano go ogólnie za brutalną gwałtowność, tak nieodpowiednią dla człowieka w jego delikatnym położeniu; niektórzy twierdzili, że był wówczas haniebnie pijany, inni znów zarzucali mu brak taktu. Nawet Schomberg był tym bardzo zmartwiony.

— To miły chłopiec — przekładał mi — ale porucznik to także pierwsza klasa. Co wieczór jadał obiad przy moim *table d'hôte*⁴⁷, uważa pan. W dodatku złamali mi kij bilardowy. Nie mogę na takie rzeczy pozwalać. Dziś rano poszedłem zaraz przeprosić porucznika i jeśli chodzi o mnie, to zdaje się, że sprawę załagodziłem; ale niech pan tylko pomyśli, panie kapitanie, gdyby każdy zaczął takie hece wyprawiać! Przecież ten człowiek mógł się utopić. A przy tym tu w Bangkoku nie można wybiec w sąsiednią ulicę do sklepu po nowy kij bilardowy. Muszę go wypisać z Europy. Nie, nie! To za gwałtowny temperament! — Temat ten był bardzo dotkliwy dla Schomberga.

To był najprzykrejszy ze wszystkich wypadków po... po dymisji Jima. Nikt nie bolał nad tym bardziej ode mnie. Wprawdzie słyszałem już raz, jak ktoś powiedział o Jimie, kiedy była o nim mowa: „O tak, wiem, on tu się ciągle wałęsa”, lecz jak dotąd Jim zdołał jakoś uniknąć ciężkich guzów i obrażeń. Tymczasem ostatnie zajście poważnie mnie zaniepokoiło, bo gdyby wskutek niezmiernej swej wrażliwości zaczął się wplątywać w karczemne bijatyki, straciłby opinię niewinnego, choć kłopotliwego narwańca, a utarłoby się, że jest zwykłym włóczęgą. Pomimo całego zaufania, które w nim pokładałem, mimo woli przyszło mi na myśl, iż w takim wypadku od nazwy do istotnego stanu rzeczy jest tylko krok. Myślę, iż zrozumiecie, że w owym czasie było już nie do pomyślenia, abym mógł pozostawić Jima własnemu losowi. Zabrałem go z Bangkoku na swym statku i odbyliśmy razem dość długą podróż. Żałośnie było patrzeć, jak się w sobie zamykał. Marynarz, nawet jeśli jest tylko pasażerem, interesuje się wszystkim na statku i przygląda się morskemu życiu z przyjemnością i krytycyzmem, jak, dajmy na to, malarz patrzący na dzieło kolegi. Marynarz, w każdym tego słowa znaczeniu, jest „na pokładzie”. Tymczasem mój Jim krył się po większej części na dole w kajucie, jakby jechał na gapę. Tak to na mnie podziałało, że unikałem rozmowy o zawodowych sprawach, które nasuwają się same przez się dwom marynarzom w czasie podróży. Całymi dniami nie zamienialiśmy ani słowa. Bardzo mi też było przykro wydawać oficerom rozkazy w obecności Jima. A często, kiedy siedzieliśmy sam na sam w kajucie lub na pokładzie, nie wiedzieliśmy, gdzie podziać oczy.

Umieściłem go u De Jongha, jak wiecie, zadowolony, iż w ogóle coś dla niego znalazłem, ale czułem, że jego położenie staje się teraz wprost nie do wytrzymania. Stracił był

⁴⁶*Es ist eine Idee* (niem.) — To jest pomysł. [przypis edytorski]

⁴⁷*table d'hôte* (fr.) — dosł.: stół gospodarza; przen.: posiłki podawane w hotelu, pensjonacie itp. wszystkim gościom o ustalonej porze i w stałej cenie. [przypis edytorski]

do pewnego stopnia tę elastyczność, dzięki której mógł się odprężyć po każdej porażce i zająć znów nieustępliwe stanowisko. Pewnego dnia, udawszy się na brzeg, zobaczyłem Jima stojącego na bulwarze; woda na redzie i otwarte morze tworzyły jedną gładką, wznoszącą się równię, a najdalej zakotwiczone okręty zdawały się tkwić nieruchomo na niebie. Jim czekał na swoją łódź, do której ładowano u naszych stóp małe paczki z różnymi towarami dla jakiegoś wyruszającego okrętu. Przywitawszy się staliśmy ramię w ramię milcząc.

— Boże ty mój — odezwał się nagle — jakież to zabójcze zajęcie.

I uśmiechnął się do mnie; trzeba przyznać, że na ogół umiał zawsze się zdobyć na uśmiech. Nic nie odrzekłem. Wiedziałem doskonale, że Jim nie miał na myśli swoich obowiązków; u De Jongha było mu zupełnie dobrze. A jednak jak tylko wypowiedział te słowa, zrozumiałem, że to jego położenie jest zabójcze. Nie spojrzałem nawet na niego.

— Czyby pan nie chciał — rzekłem. — opuścić zupełnie tej części świata; spróbować jakiegoś zajęcia w Kalifornii lub na zachodnim wybrzeżu? Pomyślę nad tym, co mógłbym zrobić...

Przerwał mi nieco pogardliwie:

— I cóż by to była za różnica?

Poczułem natychmiast, że Jim ma słuszność. Nie byłoby w tym żadnej różnicy; Jim wcale nie pragnął ulgi; zaczęło mi niewyraźnie świtać, że to, czego chciał, na co jak gdyby czekał, nie dawało się łatwo określić; że pragnął czegoś w rodzaju okazji, szansy. Te sposobności, które mu nastreczyłem, pozwalały mu tylko zarabiać na chleb. Ale cóż więcej można było zrobić? Położenie wydało mi się beznadziejne; przypomniałem sobie słowa biednego kapitana Brierly: „Niech się wpakuje dwadzieścia stóp pod ziemię i niech tam zostanie”. Przyszło mi na myśl, że może to by było lepsze niż wieczne oczekiwanie czegoś niemożliwego — na ziemi. Ale i tego nie byłem pewien. W tej samej chwili, zanim łódź Jima oddaliła się od bulwaru o trzy długości wiosła, postanowiłem, że pójdę wieczorem do Steina, aby zasięgnąć jego rady.

Ów Stein był kupcem bogatym i szanowanym. Jego „dom handlowy” (miał dom handlowy pod firmą Stein i S-ka oraz coś w rodzaju wspólnika, który — według słów Steina — „pilnował Moluków⁴⁸”), otóż jego dom handlowy prowadził na wielką skalę interesy na wyspach; mnóstwo handlowych placówek, pozakładanych w najbardziej zatraconych miejscach, gromadziło dlań produkty. Bogactwo Steina i ogólny szacunek, jakim się cieszył, nie były właściwą przyczyną, dla której chciałem zasięgnąć jego rady. Pragnąłem zwierzyć mu się zę swych kłopotów, ponieważ był to jeden z ludzi najbardziej godnych zaufania, jakich kiedykolwiek spotkałem. Łagodne światło prostej, jakby niezmordowanej, inteligentnej dobroci rozjaśniło jego długą, wygoloną twarz o głębokich, prostopadłych bruzdach, bladą jak u człowieka, który prowadził zawsze życie siedzące — co nie zgadzało się wcale z rzeczywistością. Włosy miał rzadkie, zaczesane w tył z potężnego i wyniosłego czoła. Można było sobie wyobrazić, że kiedy miał lat dwadzieścia, wyglądał prawie tak samo jak teraz, przekroczywszy już sześćdziesiątkę. Miał twarz uczonego; tylko brwi — prawie zupełnie białe, gęste i krzaczaste, oraz stanowcze, badawcze spojrzenie nie harmonizowały z jego powierzchownością książkowego mola. Stein był wysoki, chód miał elastyczny; jego lekko pochylona postać i niewinny uśmiech robiły wrażenie, że gotów jest życzliwie słuchać zwierzeń; długie ramiona o dużych bladych rękach poruszały się nieczęsto, powolnymi ruchami, jakby coś wskazywał i objaśniał. Rozwodzę się nad tym szeroko, gdyż pod tą powierzchownością ukrywał się człowiek o naturze prawej, pełnej wyrozumiałości, o duchu nieustraszonem i fizycznej odwadze, którą można by nazwać zuchwałą, gdyby nie wydawała się przyrodzoną funkcją organizmu, jak na przykład dobre trawienie, funkcją najzupełniej nieświadomą. Mówi się czasem o człowieku, że trzyma w ręku swoje życie. Takie powiedzenie nie byłoby odpowiednie w stosunku do Steina; przez wczesny okres pobytu na Wschodzie igrał tym życiem jak piłką. Wszystko to należało do przeszłości, ale znałem jego historię i źródła majątku. Był także dość wybitnym przyrodnikiem czy też, powiedzmy, uczonym zbieraczem. Zajmował się specjalnie entomologią. Jego zbiór *Buprestidae* i *Longicornes* — samych chrząszczy — okropnych

⁴⁸Moluki — Wyspy Korzenne; grupa wysp we wschodniej części Archipelagu Malajskiego, wchodząca w skład Indonezji. [przypis edytorski]

potworów w miniaturze, wyglądających złowrogo w śmierci i bezruchu, jego gabloty z pięknymi motylami, ważącymi się pod szkłem skrzynek na martwych skrzydłach, rozslawily go szeroko. Nazwisko tego kupca, miłośnika przygód, ongi doradcy malajskiego sultana (o którym mówił zawsze: „mój biedny Mohammed Bonso”), z powodu kilku korcy martwych motyli stało się znane uczonym ludziom Europy, którzy nie mieli żadnego pojęcia o życiu lub charakterze Steina i których z pewnością nic to nie obchodziło. Wiedząc o nim dużo, uważałem, że jest szczególnie odpowiedni do wysłuchania zwierzeń o kłopotach Jima, a także i moich własnych.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Późnym wieczorem wszedłem do jego gabinetu, minąwszy imponującą, lecz pustą salę jadalną oświetloną bardzo skąpo. W domu panowała cisza. Poprzedzał mię ponury jawajski służący w starszym wieku, ubrany w swoistego rodzaju liberię złożoną z białej kurtki i żółtego sarongu⁴⁹; otworzył drzwi, zawołał zniżonym głosem: „O panie!”, i usunąwszy się na bok, znikł w tajemniczy sposób, jak duch, który się zmaterializował tylko na chwilę dla wykonania tej jednej usługi.

Stein odwrócił się z krzesłem i w tej samej chwili okulary podjechały mu wysoko na czoło, jakby je kto posunął. Powitał mię swym spokojnym i żartobliwym głosem. Tylko jeden róg obszernego pokoju, róg, w którym stało biurko, był silnie oświetlony stojącą lampą o ciemnym kloszu, a reszta rozległego gabinetu gubiła się w niewyraźnym mroku, niby jaskinia. Wąskie półki, zastawione ciemnymi skrzynkami jednostajnego kształtu i barwy, biegły naokoło ścian na kształt ciemnego pasa szerokości jakich czterech stóp. Katakumby chrząszczów. Drewniane tabliczki wisiały nad nimi w nieregularnych odstępach. Światło sięgało jednej z tabliczek i słowo *Coleoptera*, wypisane złotymi literami, błyszczało tajemniczo wśród rozległej, mrocznej przestrzeni. Szklane skrzynki zawierające zbiór motyli stały trzema długimi rzędami na małych cienkonogich stolikach. Jedna z tych skrzynek, usunięta ze zwykłego miejsca, znajdowała się na biurku wśród podłużnych pasków papieru pokrytych drobnymi pismem.

— Więc tak oto mnie pan zastaje — rzekł Stein. Jego ręka zawisała nad skrzynką, gdzie wspaniałe motyl rozpościerał samotnie ciemnobrązowe skrzydła o średnicy siedmiu cali lub więcej, z przedziwnymi białymi żyłkami i pysznym obramowaniem z żółtych plam. — Tylko jeden taki okaz mają w *waszym* Londynie — i to wszystko. Zapiszę ten zbiór memu rodzinnemu miasteczku. To cząstka mnie samego. Najlepsza.

Wychylił się z krzesła i oparłszy brodę o skrzynkę, wpatrywał się z natężeniem w motyla. Stałem za jego plecami.

— Cudowny — szepnął i zdawał się zapominać o mej obecności.

Historia Steina była ciekawa. Urodził się w Bawarii i jako dwudziestoletni młodzieniec brał czynny udział w ruchu rewolucyjnym 1848 roku. Był mocno skompromitowany, ale udało mu się uciec; z początku znalazł schronienie w Trieście u biednego zegarmistrza, republikanina. Stamtąd udał się do Trypolisu z zapasem tanich zegarków na sprzedaż; początek ten nie był wspaniały, ale okazał się wcale szczęśliwy, ponieważ Stein napotkał w Trypolisie holenderskiego podróżnika, człowieka, o ile mi się zdaje, dość znanego, nie pamiętam, jak się nazywał. Ten to przyrodnik właśnie zaangażował go w charakterze niejako pomocnika i zabrał na Wschód. Podróżowali po archipelagu razem i oddzielnie, zbierając ptaki i owady, z jakie cztery lata lub więcej. Potem przyrodnik wrócił do kraju, a Stein, nie mając domu, do którego by mógł wrócić, został u pewnego starego kupca, z którym się spotkał uprzednio, podróżując po wnętrzu wyspy Celebes — jeśli można w ogóle powiedzieć, że Celebes ma wnętrze. Ów stary Szkot, jedyny biały, któremu pozwolono wówczas przebywać w tym kraju, był uprzywilejowanym przyjacielem władczyni państw Wajo. Słyszałem często Steina opowiadającego, jak stary kupiec, który był dotknięty lekkim paraliżem jednej strony ciała, wprowadził go na dwór tubylczy; wkrótce potem drugi atak powalił ostatecznie starego. Był to ociążały człowiek o patriarchalnej białej brodzie i imponującej postawie. Wszedł na salę obrad, gdzie wszyscy radzowie,

⁴⁹*sarong* — rodzaj spódnicy z długiego pasa materiału owijanego wokół bioder, noszony przez kobiety i mężczyzn na Malajach. [przypis edytorski]

pangeranowie⁵⁰ i dowódcy byli zebrani wokoło królowej, otyłej i pomarszczonej kobiety (bardzo swobodnej w mowie według słów Steina), spoczywającej na wysokim łożu pod baldachimem. Idąc powlóczył nogą i stukał kijem; chwyciwszy Steina za ramię, zaprowadził go prosto do łoża.

— Patrz, królowo, i wy, radzowie, oto mój syn — oświadczył stentorowym głosem. — Handlowałem z waszymi ojcami, a kiedy umrę, on będzie handlował z wami i waszymi synami.

Za pomocą tej prostej formalności Stein odziedziczył uprzywilejowane stanowisko Szkota i cały zapas jego towarów wraz z ufortyfikowanym domem na brzegu jedynej spławnej rzeki w kraju. Wkrótce potem stara królowa, tak swobodna w mowie, umarła i kraj ogarnęły zamieszki wzniecone przez różnych pretendentów do tronu. Stein przyłączył się do stronnictwa jednego z młodszych synów, tego samego, o którym po upływie trzydziestu lat nie mówił nigdy inaczej jak „mój biedny Mohammed Bonso”. Stali się obaj bohaterami niezliczonych walecznych czynów, spotykały ich nadzwyczajne przygody, a raz wytrzymali przez miesiąc oblężenie w domu Szkota, mając tylko dwudziestu ludzi przeciwko całej armii. Jestem pewien, że krajowcy mówią do dziś dnia o tej wojnie. A tymczasem Stein nie omieszkiał nigdy dołączyć do swych zbiorów każdego motyla czy chrząszcza, który się dostał do jego rąk. Po jakichś ośmiu latach wojen, układów, fałszywych rozejmów, godzenia się, zdrad i tak dalej, właśnie w chwili gdy pokój zdawał się utrwalać na stałe, „biedny Mohammed Bonso” został zamordowany u wrót własnej królewskiej rezydencji, w chwili gdy zsiadał z konia w najweselszym usposobieniu, wróciwszy z świetnego polowania na jelenie. Wskutek tego wypadku pozycja Steina stała się niezmiernie niebezpieczna, ale mimo to byłby może w kraju pozostał, gdyby w krótki czas potem nie stracił siostry Mohammeda („mojej drogiej żony, księżniczki”, mawiał uroczyście), z którą miał córkę. I matka, i dziecko umarły w ciągu trzech dni na jakąś zaraźliwą gorączkę. Wówczas Stein opuścił kraj, którego nie mógł znieść po tej okrutnej stracie. Tak się zakończył pierwszy — pełen przygód — okres jego życia. To, co nastąpiło potem, było tak różne, że gdyby nie rzeczywistość bólu, który w Steinie pozostał, tamten dziwny okres mógłby mu się wydawać snem. Miał trochę pieniędzy; rozpoczął życie na nowo i w ciągu lat zdobył znaczny majątek. Z początku podróżował wiele między wyspami, ale później już wiek zaczął mu ciężać; w ostatnich czasach opuszczał rzadko swój obszerny dom leżący o trzy mile za miastem w wielkim ogrodzie, wśród stajen, kuchen oraz bambusowych chatek dla służby i licznych oficjalistów. Co rano Stein jeździł bryczką do miasta, gdzie miał biuro pełne białych i chińskich urzędników. Był właścicielem niewielkiej floty, złożonej ze szkunerów i statków krajowych i prowadził rozległy handel produktami z wysp. Poza tym żył samotnie, choć ludzi nie unikał, wśród swoich książek i zbiorów, klasyfikując i preparując okazy, korespondując z entomologami w Europie, zestawiając opisowy katalog swych skarbów. Taka była historia człowieka, do którego się udałem po radę w sprawie Jima, nie mając żadnej określonej nadziei, ale czując, że już samo wysłuchanie tego, co Stein będzie miał do powiedzenia, przyniesie mi ulgę. Bardzo mi zależało na zdaniu Steina, lecz nie śmiałem się odezwać. Szanowałem wyteżone, prawie namiętne skupienie, z jakim wpatrywał się w motyla, jak gdyby w brązowym lśnieniu kruchych skrzydeł, w białych arabeskach i wspaniałych wzorach dostrzegał i inne rzeczy, wizerunek czegoś, co jest równie znikome jak te delikatne i martwe tkanki, a tak jak one urąga zniszczeniu i roztacza przepych skażony śmiercią.

— Cudowny! — powtórzył spoglądając ku mnie w górę. — Niech pan patrzy! Skończenie piękny; ale to jeszcze nic, proszę spojrzeć na tę dokładność, na tę harmonię. Jakie to delikatne! Jakie wyraziste! Jakie nieskazitelne! Oto przyroda, równowaga olbrzymich sił. Każda gwiazda jest taka i każde źdźbło trawy stoi tak, i potężny Kosmos w doskonałej równowadze wydaje... to. Ten cud, to arcydzieło przyrody, wielkiego artysty.

— Nie słyszałem nigdy, aby entomolog tak się wyrażał — zauważyłem wesoło. — Arcydzieło! A co pan powie o człowieku?

— Człowiek jest zdumiewający, ale arcydziełem nie jest — rzekł utkwivszy oczy w szklanej skrzynce. — Może artysta był trochę szalony. Co? Jak pan myśli? Zdaje mi się czasem, że człowiek zjawia się tam, gdzie go nie chcą, gdzie nie ma dla niego miejsca;

⁵⁰pangeran — malezyjski lub indonezyjski książę lub inny arystokrata o wysokiej pozycji. [przypis edytorski]

bo jeśli tak nie jest, to czemu żąda dla siebie całej ziemi? Czemu biega w kółko tu i tam, robiąc naokoło siebie wiele hałasu, czemu rozprawia o gwiazdach, przeszkadza żdźbłom trawy?...

— Łowi motyle — podsunąłem w tym samym tonie.

Uśmiechnął się, rozparł w fotelu i wyciągnął nogi.

— Niech pan siada — rzekł. — Schwyciłem własnoręcznie ten rzadki okaz pewnego bardzo pięknego ranka. A było to dla mnie bardzo wielkie wzruszenie. Pan nie wie, czym jest dla zbieracza schwytanie takiego rzadkiego okazu. Pan tego wiedzieć nie może.

Uśmiechnąłem się siedząc wygodnie w bujającym fotelu. Oczy Steina zdawały się spoglądać daleko poza ścianę, w której były utkwione. Opowiedział mi, jak pewnej nocy przybył wysłaniec od „biednego Mohammeda” wzywając Steina do „rezydencji” — jak się wyraził — oddalonej o jakie dziewięć lub dziesięć mil; jechało się tam wąską ścieżką przez uprawną równinę, pokrytą tu i ówdzie plamami lasów. Wyruszył wczesnym rankiem z ufortyfikowanego domu, uściskawszy malutką Emmę i zdawszy dowództwo „księżniczce”, swej żonie. Opisywał mi, jak go odprowadziła aż do bramy, trzymając rękę na szyi jego wierzchowca; miała na sobie białą kurtkę, złote szpilki we włosach, a przez lewe jej ramię biegł brunatny skórzany pas, w którym tkwił rewolwer.

— Mówiła do mnie — opowiadał — jak to zwykle kobiety, że bardzo to brzydko z mej strony wyruszać samotnie; przykazywała, abym się miał na baczności i starał się wrócić przed zapadnięciem zmroku. Prowadziliśmy wojnę i okolica nie była bezpieczna; moi ludzie zakładali okiennice chroniące od kul i nabijali strzelby, a żona prosiła, abym się o nią nie lękał. Potrafi obronić dom przed wszystkimi, dopóki nie wrócę. A ja się zaśmiałem z uciechy. Miło mi było na nią patrzeć, taką mężną i młodą, i silną. Ja także byłem wówczas młody. U wrót wzięła mnie za rękę, uściśnęła ją i cofnęła się. Zatrzymałem konia za częstokołem, dopókim nie usłyszał, że bramę zaryglowano. Miałem zażartego nieprzyjaciela, człowieka wielkiego rodu, a przy tym skończonego łotra, który włóczył się ze swoją bandą po okolicy. Ujechałem wolnym klusem cztery czy pięć mil; w nocy padał deszcz, ale mgła się podniosła i oblicze ziemi było czyste; uśmiechało się do mnie, świeże i niewinne jak u małego dziecka. Nagle posypał się grad kul, przynajmniej ze dwadzieścia, jak mi się zdawało. Słyszałem je świszczące koło uszu, kapelusz zjechał mi na tył głowy. Rozumie pan, to był taki sobie mały spiszek. Nakłonili mego biednego Mohammeda, aby po mnie posłał, a potem urządzili tę zasadzkę. Zrozumiałem to wszystko w lot i myślę sobie: „Tu nieco roztropności nie zawadzi”. Mój kuc chrapnął, skoczył i stanął, a ja opadłem powoli twarzą na jego grzywę. Ruszył znów stępa; zerknąłem jednym okiem znad jego szyi i dostrzegłem nikły obłok dymu unoszący się po lewej stronie nad kępą bambusów. Myślę sobie: „Aha! moi mili, dlaczego nie poczekaliście dłużej ze strzałami? To jeszcze nie jest *gelungen*⁵¹. O nie!” Prawą ręką sięgam po rewolwer, spokojnie, spokojnie. Ostatecznie było tylko siedmiu tych zbójów. Wstają z trawy i puszczają się pędem, podkaszawszy sarongi, wymachując włóczniami nad głową i wrzeszcząc do siebie, że trzeba złapać konia, bo ja już nie żyję. Dopuściłem ich do siebie tak blisko jak do tych drzwi, a potem paf, paf, paf, celuję za każdym razem. Posłałem jeszcze jedną kulę w czyjeś plecy, alem spudłował. Było już za daleko. I znów siedzę samotnie na koniu, naokoło uśmiecha się czysta ziemia, a tam oto leżą ciała trzech martwych ludzi. Jeden był zwinięty w kłębek jak pies, drugi, wyciągnięty na wznak, miał rękę przerzuconą przez oczy, jakby się chronił od słońca, a trzeci podciągnął nogę bardzo wolno i wyprostował ją jednym ruchem. Śledzę go z konia bardzo bacznie, ale na tym koniec, *er bleibt ganz ruhig*⁵², leży nieruchomo. I w chwili gdy wypatrywałem znaku życia na jego twarzy, zauważyłem nagle jakby nikły cień, który przesunął mu się po czole. Był to cień tego motyla. Niech pan spojrzysz na kształt skrzydeł. Ten gatunek fruwa wysoko i lot ma szybki. Podniosłem oczy i spostrzegłem, jak odlatywał. Myślę sobie: „Czyżby to było możliwe?” Znikł mi z oczu. Zsiadłem z konia i zacząłem iść bardzo wolno, trzymając lejce i rewolwer jedną ręką, a oczy latały mi w górę i w dół, w prawo i w lewo, wszędzie. Wreszcie zobaczyłem go na małej kupce nawozu, o dziesięć stóp ode mnie. Serce zaczęło mi walić natychmiast. Puściłem konia trzymając wciąż rewolwer, a drugą ręką zerwałem z głowy miękki

⁵¹*gelungen* (niem.) — udany, zakończony powodzeniem. [przypis edytorski]

⁵²*er bleibt ganz ruhig* (niem.) — pozostaje całkiem spokojny. [przypis edytorski]

filcowy kapelusz. Posunąłem się o krok naprzód. Spokojnie. Jeszcze jeden krok. Hop! Mam go! Kiedy się podniosłem, trzęsłem się jak liść z podniecenia, a kiedy rozwarłem te piękne skrzydła i przekonałem się, jaki rzadki, jak skończenie doskonały okaz mam w ręku, zakręciło mi się w głowie, a nogi tak mi ze wzruszenia osłabły, że musiałem usiąść na ziemi. Pragnąłem gorąco zdobyć okaz tego gatunku, jeszcze kiedym pracował dla profesora. Odbywałem długie podróże, znosiłem wielkie niewygody; śniłem o nim po nocach, a oto nagle miałem go w ręku, dla siebie. Tak jak to mówi poeta (wymówił: boeta):

*So halt ich's endlich denn in meinen Händen
Und nenn' es in gewissem Sinne mein.*⁵³

Podkreślił ostatnie słowo zniżwszy nagle głos i odwrócił z wolna oczy od mojej twarzy. Zaczął w milczeniu napełniać pilnie tytoniem długą fajkę, po czym znów spojrzął na mnie znacząco, trzymając wielki palec na otworze fajki.

— Tak, kochany mój przyjacielu, owego dnia nie pragnąłem niczego; dokuczyłem porządnie największemu wrogowi; byłem młody, silny; posiadałem przyjaźń, posiadałem miłość kobiety, miałem dziecko, które napełniało mi serce tkliwością, a nawet to, o czym we śnie marzyłem, znalazło się w moim ręku.

Potarł zapalkę, która zabłysła gwałtownie. Po jego myślącej, spokojnej twarzy przebiegł skurcz.

— Przyjaciel, żona, dziecko — mówił z wolna, patrząc na drobny płomyk — phu!

Zdmuchnięta zapalka zgasła. Westchnął i zwrócił się znowu do szklanej skrzynki. Delikatne, cudowne skrzydła drgnęły leciutko, jakby tchnienie Steina zbudziło na chwilę do życia wspaniałą cel jego marzeń.

— Praca posuwa się szybko — zaczął nagle zwykłym tonem, łagodnym i pełnym otuchy, wskazując na rozrzucone paski papieru. — Opisywałem właśnie ten rzadki okaz... *Na!*⁵⁴ A jakież dobre wieści pan mi przynosi?

— Jeśli mam wyznać prawdę — rzekłem z wysiłkiem, który mię zdziwił — przyszedłem, aby panu opisać pewien okaz...

— Motyla? — zapytał z niedowierzaniem i żartobliwym zapalem.

— Coś daleko mniej doskonałego — odrzekłem czując nagle, że tracę odwagę, ogarnięty różnymi wątpliwościami. — Człowieka!

— Ach tak! — szepnął; uśmiechnięta jego twarz zwrócona ku mnie spoważniała. Popatrzył na mnie przez chwilę i rzekł powoli: — No, ja także jestem człowiekiem.

Oto go macie całego; tak szczerze umiał dodawać ducha, że człowiek delikatny skłonny był zawahać się u progu zwierzeń; ale jeśli się zawahałem, nie trwało to długo.

Wysłuchał mnie siedząc z nogą założoną na nogę. Niekiedy głowa jego zniknęła zupełnie w wielkim kłębie dymu i współczujące pomruki dobywały się z tego obłoku. Kiedy skończyłem, Stein wyprostował nogi, odłożył fajkę, pochylił się ku mnie poważnie i oparł łokciami o poręcz krzesła, złączywszy czubkami palców obie ręce.

— Rozumiem bardzo dobrze. To jest romantyk.

Postawił diagnozę, która zaskoczyła mnie swoją prostotą. Nasza narada była zupełnie podobna do konsultacji u doktora; Stein, wyglądający na uczonego, siedział przed biurkiem w fotelu, a ja w drugim naprzeciwko, trochę z boku, tak że z całą naturalnością nasunęło mi się pytanie:

— Co na to poradzić?

Podniósł długi palec wskazujący:

— Tylko jeden jest na to środek. Jedna jedyna rzecz może uleczyć nas od samych siebie.

Palec opadł na biurko i stuknął głośno. Sprawa, która w oświetleniu Steina wydawała się przedtem taka prosta, stała się, o ile to możliwe, jeszcze prostsza — i zupełnie beznadziejna. Zapadła cisza.

⁵³*So halt ich's endlich denn in meinen Händen...* (niem.) — Więc wreszcie trzymam go w swych rękach / I w pewnym sensie mogę nazwać swoim (Goethe *Torquato Tasso*, akt I, scena 3). [przypis edytorski]

⁵⁴*na* (niem.) — no. [przypis edytorski]

— Tak — rzekłem — ale ściśle biorąc, nie o to chodzi, jak się wyleczyć, tylko jak żyć.

Skinął potakująco głową, wydało mi się, że trochę smutno.

— *Ja, ja!*⁵⁵ W ogóle, według słów waszego wielkiego poety: „Oto jest pytanie...” — Kiwał wciąż głową ze współczuciem: — Być? Ach! ale jak?

Podniósł się trzymając końce palców na biurku.

— Chcielibyśmy żyć tak rozmaicie — zaczął znowu. — Ten przepyszny motyl znajdzie małą kupkę nawozu i siedzi na niej spokojnie; ale człowiek nie wytrwa nigdy spokojnie na swojej kupce błota. Chce być to tym, to znów owym... — Podniósł rękę i opuścił ją. — Chce być świętym i chce być diabłem, a za każdym razem, gdy zamknie oczy, widzi siebie w bardzo udanej postaci, widzi siebie tak doskonałym, jakim nigdy być nie może... W marzeniu...

Opuścił szklane wieko, automatyczny zamek dźwięknął ostro; Stein wziął skrzynkę oburącz i odniósł ją z religijną czcią na miejsce, przechodząc z jasnego koła lampy do kręgu słabszego światła i ginąc wreszcie w niewyraźnym zmroku. Sprawilo to dziwne wrażenie, jakby tych kilka kroków wywiodło go poza nasz konkretny i zagmatwany świat. Wysoka, niby odcieleśniona postać Steina unosiła się bezszelestnie wśród niewidzialnych przedmiotów pochylając się nieokreślonym ruchem. Dostrzegało się go z daleka, zajętego tajemniczo niematerialnymi sprawami, a głos jego tracił dobitność, zdawał się toczyć, silny, poważny, złagodzony przez oddalenie.

— A ponieważ nie zawsze można zamykać oczy, rodzi się najprawdziwsza troska, ból serca, ból świata. Mówię panu, kochany przyjacielu, niemiło się przekonać, że człowiek nie może urzeczywistnić swego marzenia, bo ma za mało sił albo za mało zdolności. *Ja!*... A przy tym człowiek widzi siebie zawsze w tej wymarzonej postaci. *Wie? Was? Gott im Himmel!*⁵⁶ Jakże to może być? Cha, cha, cha!

Cień myszkujący wśród motyli grobów zaśmiał się hałaśliwie.

— Tak! Ta straszna rzecz jest bardzo zabawna. Człowiek, który się rodzi, wpada w marzenie, jak się wpada do morza. Jeżeli usiłuje się wydostać — a robią to niedoświadczeni — topi się, *nicht wahr?*...⁵⁷ Nie! mówię panu! Jedyny sposób to poddać się niszczącemu żywiołowi i wysiłkami rąk i nóg sprawić, że głębokie, głębokie morze utrzyma człowieka. Więc jeśli pan mnie zapyta: jak żyć? — Podniósł głos z niezmierną siłą, jak gdyby czyjś podszept zesłał mu, tam w mroku, natchnienie. — Powiem panu! Na to jest także tylko jedna rada.

Szurając śpiesznie pantoflami, zamajaczył w kręgu słabego światła i nagle ukazał się w jasnym kole lampy. Jego wyciągnięta ręka celowała w moją pierś jak pistolet; głęboko osadzone oczy zdawały się na wskroś mnie przenikać, lecz drgające wargi nie wymówiły ani słowa, a z twarzy znikło surowe uniesienie wywołane pewnością, którą ujrzał w mroku. Ręka godząca w moją pierś opadła; zbliżywszy się o krok, położył mi łagodnie dłoń na ramieniu. Są rzeczy — rzekł pośpiesnie — które może nigdy nie dadzą się wypowiedzieć... — ale on, Stein, tyle czasu przeżył samotnie, że czasem zapomina o tym, zapomina. Światło lampy zniszczyło pewność, którą go natchnęła odległy mrok pokoju. Usiadł i tarł czoło oparłszy się łokciami o biurko.

— A jednak to jest prawda, to jest prawda. Zanurzyć się w niszczącym żywiole... — Mówił stłumionym głosem, nie patrząc na mnie, ująwszy twarz w obie dłonie. — To jedyna właściwa droga. Iść za marzeniem i znowu iść za marzeniem — i tak *ewig*⁵⁸ *usque ad finem*...⁵⁹

Jego szept pełen przekonania zdawał się otwierać przede mną rozległą, nieokreśloną przestrzeń, niby widnokrąg mrocznej równiny o świcie, a może o zmierzchu? Nie miałem odwagi rozstrzygnąć; lecz to czarowne, zwodnicze światło zasnuwało nieuchwytną mglistą poezją wilcze doły i groby. Życie Steina zaczęło się od entuzjazmu, od poświęcenia dla szlachetnych idei; odbywał dalekie podróże po różnych szlakach, po dziwnych ścieżkach, a cokolwiek zamierzył, wykonywał bez wahania, zatem bez wstydu i żalu. Pod tym

⁵⁵*Ja, ja!* (niem.) — Tak, tak! [przypis edytorski]

⁵⁶*Wie? Was? Gott im Himmel!* (niem.) — Jak? Co? Boże na niebie! [przypis edytorski]

⁵⁷*nicht wahr?* (niem.) — nieprawdaż? [przypis edytorski]

⁵⁸*ewig* (niem.) — wiecznie. [przypis edytorski]

⁵⁹*usque ad finem* (łac.) — aż do końca. [przypis edytorski]

względem miał słuszość. Jest to niewątpliwie najlepszy sposób postępowania. A jednak mimo wszystko, owa wielka równina, po której ludzie wędrują wśród grobów i wilczych dołów, wyglądała bardzo smutno w tym półcieniu pełnym nieuchwytnej poezji. Mroczna pośrodku, o krańcach rozświetlonych, była jakby otoczona przepaścią pełną płomieni. Przerwałem wreszcie ciszę, aby wyrazić przekonanie, że nikt nie może być większym romantykiem od niego, Steina.

Potrząsnął z wolna głową, a potem spojrzął na mnie cierpliwym i badawczym spojrzeniem.

— To wstyd doprawdy — powiedział. — Oto siedzimy i gadamy jak dwa dzieciaki zamiast się skupić i wynaleźć coś praktycznego — jakiś praktyczny środek... przeciw złu... przeciw wielkiemu złu — powtórzył z żartobliwym i wyrozumiałym uśmiechem.

Mimo to jednak rozmowa nasza nie stała się „praktyczniejsza”. Staraliśmy się nie wymawiać imienia Jima, jak gdyby usiłując wyłączyć z rozmowy wszystko, co realne, i jakby Jim był tylko błędnym duchem, cieniem cierpiącym i bezimiennym.

— *Na!* — rzekł Stein wstając. — Przenocuje pan u mnie, a jutro rano uradzimy coś praktycznego, bardzo praktycznego...

Zapalił dwuramienny świecznik i poszedł naprzód. Mijaliśmy puste, ciemne pokoje, odprowadzani przez błyski padające od światel niesionych przez Steina. Ślizgały się po woskowanych posadzkach, muskając tu i ówdzie gładką powierzchnię stołu, niekiedy zalsniły na wygiętym fragmencie jakiegoś mebla lub błysnęły prostopadle w odległych lustrach, a postacie dwóch mężczyzn i migot dwóch świec ukazywały się na chwilę sunąc bezgłośnie przez głębie kryształowej pustki. Stein szedł powoli o krok przede mną, uprzejmie pochylony. W jego twarzy był głęboki, jakby zasluchany spokój; długie lniane pukle przetkane białymi nićmi wiły się z rzadka po nieco zgiętym karku.

— On jest romantykiem, tak, romantykiem — powtórzył. — A to bardzo źle... bardzo źle... Ale i bardzo dobrze — dodał.

— Czyżby z niego był naprawdę romantyk? — zapytałem.

— *Gewiss*⁶⁰ — odrzekł i przystanął wznosząc kandelabr, ale nie spojrzął na mnie. — Oczywiście. Czymże jest to, co przez wewnętrzny ból zmusza go do poznania samego siebie? Czym jest to, co sprawia, że on dla pana i dla mnie istnieje?

W owej chwili trudno mi było uwierzyć w to istnienie Jima, które się wywodziło z wiejskiego probostwa, przesłonięte tłumem ludzi jakby kłębam pyłu i zagłuszone przez sprzeczne żądania życia i śmierci na tym zmaterializowanym świecie. Lecz jakaś inna, niezniszczalna rzeczywistość tego człowieka nagle stanęła przede mną z przekonywającą, z nieodpartą siłą. Ujrzałem ją żywo, jakbyśmy, posuwając się tak przez wysokie, ciche pokoje wśród przelotnych błysków światła i nagłych zjawiań się ludzkich postaci, skradali się z pelgającymi płomykami przez niezmierzone, przejrzyste głębie, jakbyśmy się zbliżali do absolutnej Prawdy, która — tak jak Piękno nieuchwytna i niepojęta — pływa po spokojnych, cichych wodach tajemnicy, na wpół w nich pogrążona.

— Być może, Jim jest romantykiem — przyznałem z lekkim śmiechem, który zabrzmiał nadszpejdowaniem głośno, tak że zniżyłem głos natychmiast — ale pan to jest nim z wszelką pewnością.

Ruszył znów naprzód z głową spuszczoną na piersi, trzymając świecznik wysoko.

— Przecież ja także istnieję — powiedział.

Szedł przede mną. Śledziłem jego ruchy, ale nie widziałem w nim szefa firmy, pożądanego gościa popołudniowych zebrań, korespondenta uczonych towarzystw, gospodarza podejmującego wędrownych przyrodników; widziałem tylko istotę jego przeznaczenia, za którym umiał iść pewnym krokiem — to jego życie rozpoczęte wśród skromnych warunków, bogate w szlachetny zapach, w przyjaźń, miłość, walkę, we wszystkie sławione pierwiastki romantyzmu. U drzwi mego pokoju zwrócił się ku mnie.

— Tak — rzekłem, jakby prowadząc w dalszym ciągu rozmowę — a oprócz innych marzeń, zapragnął pan namiętnie pewnego motyla; gdy zaś w piękny poranek marzenie to zaszło panu drogę, chwycił pan w lot wspaniałą sposobność. Prawda? Podczas gdy on...

Stein podniósł rękę.

⁶⁰*gewiss* (niem.) — bez wątpienia. [przypis edytorski]

— A czy pan wie, ilu sposobnościom pozwoliłem uciec, ile utraciłem marzeń, które zaszyły mi drogę? — — Pokiwał głową z żalem. — Zdaje mi się, że niektóre z nich byłyby bardzo piękne, gdybym je umiał urzeczywistnić. Wie pan, ile ich było? Może i ja sam nawet nie wiem.

— Czy marzenia Jima piękne były, czy nie — odrzekłem — pamięta on na pewno o jednym, którego nie pochwycił.

— Każdy z nas pamięta o paru takich — powiedział Stein — i to właśnie sprawa przykrość, wielką przykrość...

Podał mi rękę na progu i rzucił wzrokiem w głąb pokoju pod swym wzniesionym ramieniem.

— Niech pan dobrze śpi. A jutro musimy uradzić coś praktycznego, bardzo praktycznego...

Chociaż sypialnia Steina znajdowała się za moją, zobaczyłem, że szedł z powrotem tą samą drogą. Wracał do swoich motyli.

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/lord-jim-tom-pierwszy>

Tekst opracowany na podstawie: Joseph Conrad, *Lord Jim, tom pierwszy*, tłum. A. Zagórska, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1966.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Pauliny Choromańskiej. Publikacja sfinansowana ze środków pozostałych ze zbiorów, które nie zakończyły się sukcesem.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Monika Myszowska, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

Okładka na podstawie: [iKobe!@Flickr](https://www.flickr.com/photos/iKobe/), CC BY-SA 2.0

ISBN 978-83-288-0131-8

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając **zbiórkę na stronie wolnelektury.pl**.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.